

# SKANDYNAWIA NA ŚLĄSKU?

www.slaskgtl.pl

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

20.  
ROK  
ZE ŚLĄSKIEM

# ŚLĄSK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

Nr 3 (232) • ROK XX • MARZEC 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

ISSN 1425-3917



9 771425 391509

\_\_\_\_\_ „Rozmowa na 20-lecie”: prof. **JAN MIODEK**  
\_\_\_\_\_ **GRZEGORZ SZTOLER** – Ślązak na farmie wikingów  
\_\_\_\_\_ Fenomen skandynawskiego kryminału  
\_\_\_\_\_ **JACEK KUREK** – Legenda o siedmiu marzeniach  
\_\_\_ Poezja i proza: **PETER LAUGESSEN, AINO TROSSELL, JAN ERIK VOLD**  
\_\_\_\_\_ Kolekcja jubileuszowa „Śląska”: **MAŁGORZATA LAZAREK**



Uroczystego otwarcia Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 roku dokonał prezydent RP Bronisław Komorowski. Na miejsce, skąd odprawiano Górnoszlązaków, przybyli świadkowie historii – rodziny wywiezionych do Związku Radzieckiego. W otwarciu uczestniczyli także samorządowcy i parlamentarzyści. W uroczystościach uczestniczył metropolita katowicki abp Wiktor Skworec.  
Rok 2015 został uchwalony przez Sejmik Województwa Śląskiego Rokiem Pamięci Ofiar Tragedii Górnoszląskiej.



Fot. Witold Trólika/BP

Fot. Zbigniew Sawicz



Wielkim muzycznym wydarzeniem było śląskie prawykonanie od dawna oczekiwanej IV Symfonii *Tansman Episody* op. 85 Henryka Mikołaja Góreckiego, którego wykonawcą była Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod dyrekcją maestro Mirosława Jacka Błaszczyka. W gronie zaproszonych gości obecny był Andrzej Wendland, dyrektor łódzkiego Tansman Festiwal, podczas którego 15 lutego tego roku odbyło się polskie prawykonanie tego dzieła. Światowa prezentacja IV Symfonii miała miejsce w londyńskiej Royal Festival Hall 12 kwietnia ubiegłego roku, następnie usłyszeli ją melomani w Los Angeles i Amsterdamie. Koncert w Katowicach odbył się 27 lutego br.

O poprzedzającym koncert wernisażu fotografii prezentującej Henryka Mikołaja Góreckiego w fotografii Zbigniewa Sawicza, piszemy wewnątrz numeru, natomiast o konkursie „zasłuchani.pl”, ogłoszonym z okazji prawykonania IV Symfonii przez Filharmonię Śląską, napiszemy w kwietniowym wydaniu „Śląska”. Przedstawimy laureatów oraz opublikujemy nagrodzone prace. Miesięcznik „Śląsk” był patronem medialnym śląskiego prawykonania IV Symfonii, a także współorganizatorem konkursu „zasłuchani.pl”.

Największe zgromadzenie śląskich fotoreporterów, którzy w latach 1960-1989 związani byli z redakcją „Dziennika Zachodniego” i „Trybuny Robotniczej” odbyło się za sprawą promocji książki autorstwa Arkadiusza Goli zatytułowanej „Poziom na dwa łamy”, która miała miejsce w katowickim Kinoteatrze „Rialto”, 19 lutego 2015 roku. Arkadiusz Gola to znakomity fotoreporter, doktorant Instytutu Kreatywnej Fotografii Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, związany od osiemnastu lat z „Dziennikiem Zachodnim”. Należy także do grona fotoreporterów współpracujących z naszym miesięcznikiem.  
O fotografowaniu i fotografii i z tamtych czasach opowiadali m.in. Józef Makal, Bogdan Kułakowski, Ryszard d'Antoni i Zygmunt Wiczorek.



Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

# PETER LAUGESSEN

*Z języka duńskiego przełożyła  
BOGUSŁAWA SOCHAŃSKA*

\* \* \*

Lewicową pomyłkę  
zastąpiła prawicowa,  
poza tym nic wielkiego w świecie się nie wydarzyło  
odkąd ostatni raz wymieniliśmy listy, szanowny panie.  
Na odległej galaktyce  
o której wszelkie wspomnienie wkrótce utracę,  
bo taki jest wpływ trującej atmosfery tej planety  
na i tak dość solidną maszynę wspomnień  
(w tysiącach pokoleń doznawała przecież  
genetycznych wstrząsów)  
wyda się to może przesadzone albo obojętne,  
przykro mi też że to ja  
wysyłam tę wiadomość,  
ale nikogo innego już nie ma.  
Sytuacja zjadła swoje krnąbrne dzieci,  
i oto ostatnie z nich układa teraz cały ten kram do snu.



*Rys. Wojtek Łuka*

**Peter Laugesen** jest laureatem wielu nagród, w tym najważniejszej duńskiej nagrody literackiej, Wielkiej Nagrody Duńskiej Akademii Literatury (1992). W 1997 roku został członkiem Akademii, od 1989 roku otrzymuje dożywotnie stypendium twórcze Duńskiej Fundacji Sztuki. W 2009 roku otrzymał nominację do Nagrody Literackiej Rady Nordyckiej. W 2013 roku był z rekomendacji Duńskiego Instytutu Kultury gościem XLII Warszawskiej Jesieni Poezji.

WYDAWCA:  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH  
TADEUSZ SIERNY  
prezes

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel. 32 253-62-21  
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:  
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA  
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1  
tel. centr. 32 20 83 700  
informacja: info@bs.katowice.pl  
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

**DARIUSZ ROTT**  
Redaktor naczelny

**WIESŁAWA KONOPELSKA**  
Zastępca redaktora naczelnego,  
Sekretarz redakcji

**KATARZYNA BERETA**  
Dział krytyki literackiej  
portal www.slaskgtl.pl

**FELIKS NETZ**  
Dział poezji i prozy

**MARIA SZTUKA**  
Dział kultury

**BOGDAN WIDERA**  
Dział społeczno-historyczny

**WOJCIECH ŁUKA**  
Dział graficzny

**IRENA FALKIN-SIBIGA**  
Korekta

ADRES REDAKCJI:  
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13  
tel./fax 32 206-82-71  
e-mail: redakcjask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”  
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12  
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48  
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań  
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja  
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-  
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji.

**Warunki prenumeraty:** poprzez Oddziały i Delega-  
tury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośred-  
nio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocz-  
towych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – re-  
dakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice  
92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna  
– 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w pre-  
numeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez do-  
datkowych opłat.

**Prenumerata zagraniczna:** poprzez Dział S.A.  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
jest dostępne w wersji elektronicznej  
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

## W NUMERZE:

## PUBLICYSTYKA

6. *Grzegorz Sztolcer* ŚLĄZAK NA FARMIE WIKINGÓW  
9. *Aleksandra Jochymek, Grzegorz Bartusik* SAGA O ŚLĄSKICH NORDYSTACH  
10. „ROZMOWA NA 20-LECIE”  
*Rozmowa z prof. dr. hab. Janem Miodkiem* NIE TYLKO O MOWIE REJÓW I KOCHANOWSKICH  
14. *Jacek Kurek* LEGENDA O SIĘDMIU MARZENIACH  
18. *Rozmowa z prof. dr. hab. Ewą Teodorowicz-Hellman* O POLONISTYCE W SZWECJI  
21. *Grażyna Barbara Szewczyk* O NOWYM TRENDZIE WE WSPÓŁCZESNEJ LITERATURZE  
SKANDYNAWSKIEJ  
26. *Henryk Szczepański* 150 LAT KATOWICE. KATOWICE ZA KERNERA  
29. *Jakub Morawiec* O SPOŁECZENSTWIE I KULTURZE SKANDYNAWSKIEJ EPOKI WIKINGÓW  
30. *Jakub Morawiec* PROJEKT EDDA, CZYLI PRZYWRÓCIĆ PAMIĘĆ O APOLONII  
ZALUSKIEJ-STRÖMBERG  
38. *Maria Lipok-Bierwiaczonek* NIEOCZYWISTE TYCHY  
44. *Rozmowa z Moniką i Rafalem Chojnackimi* FENOMEN SKANDYNAWSKIEGO KRYMINAŁU  
46. *Rozmowa z Marią Danielską* NORDALIA – NA CO TO KOMU?  
52. *Alicja Badetko* POLSKIE DROGI W SZWECJI  
56. *Wiesława Konopelska* CZESŁAW ŚLANIA – POLAK, KTÓRY ROZSLAWIŁ SZWECJĘ  
58. *Ryszard Bednarczyk* DO DOMÓW WRACALI WYCIĘCZENI  
60. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO  
*Krzysztof Kosiński* BO UDAŁO SIĘ W... PORTO ALEGRE

## FELIETONY

17. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA  
*Marek S. Szczepański* REGION NA STRATEGICZNYM ROZDROŻU  
43. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzczyżNA  
*Jan Miodek* ZA BAJTLA  
59. PORADNIA JĘZYKOWA  
*Katarzyna Wyrwas* INTERNISAZ  
66. MIĘDZY NUTAMI  
*Magdalena Dziadek* NA POŻEGNANIE BOŻEGO NARODZENIA. W ZENICIE KARNAWAŁU.  
MŁODA MUZYKA W NOSPR. KORD I GAVRYLUK W NOSPR  
75. Z MOICH GÓREK  
*Witold Turant* MEDIA CHAMORUM  
83. ANEGDOTY *Henryka Bzdoka*  
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA  
*Jarosław Starzyk* FRANZ JOSEF I, MIŁOSZ I...

## PLASTYKA

34. *Katarzyna Bereta* MALARZ ŚLĄSKI? Adam Bunsch w opowieściach Franciszka Bunscha i Adama Bunscha jr.  
48. *Maciej M. Szczawiński* O CZYM MÓWIĄ PIWONIE, KOGUTY, RÓZE I KACZKI  
49. *ANNA LAMPE* Malarstwo  
50. *URSZULA FIGIEL-SZCZEPKA* Malarstwo  
51. *Wiesława Konopelska* ZAPATRZONA W PEJZAŻ  
56. *Wiesława Konopelska* CZESŁAW ŚLANIA, POLAK KTÓRY ROZSLAWIŁ SZWECJĘ.  
O miniaturowych arcydziełach Czesława Ślania  
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”. MAŁGORZATA LAZAREK

## KSIĄŻKI

69. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH  
70. *Sylvia Borowik* ŻYCIE JEST BAŚNIA  
71. *Edyta Antoniak-Kiedos* PROSTOTA W PIEŚNI ODKRYTA  
72. *Jacek Lyszczyzna* LAMENT NAD ŚMIERCIĄ HISZPAŃSKIEGO TOREADORA  
73. *Bogdan Widera* OSZUST W RATUSZU?  
73. *Adriana Urgacz-Kuźniak* Z RADOŚCIĄ UTONĘŁAM W KROPLI

## TEATR

64. *Joanna Warońska* GUMKI BB  
65. *Witold Kociński* PALCE GRZYŻ I BRZUCHY TRZYMAĆ

## POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE  
*Peter Laugesen* \* \* \* (lewicową pomyłkę)  
22. *Aino Trosell* NA ODLUDNEJ WYSPIE. *Przekład Grażyna B. Szewczyk*  
32. *Peter Laugesen* WIERSZE  
40. *Jan Erik Vold* WIERSZE

## EKOLOGIA

62. *Jolanta Matiakowska* KADRY Z ŻYCIA LEŚNIKA

## STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC  
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. ZANIM ZABRZMIAŁO ŚLĄSKIE PRAWYKONANIE  
*IV SYMFONII H.M. GORECKIEGO*  
68. OPOLSKIE  
74. Z ŻYCIA BIBLIOTEK  
*Bogna Dobrakowska, Izabela Kochańczyk, Marta Kryś* „A DROGA WIEDZIE W PRZÓD I W PRZÓD...”

## NOTATNIKI KULTURALNE

76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE  
78. *Jan Picheta* BIELSKO  
79. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA  
80. *Janusz Wójcik* OPOLE  
81. *Maria Sztuka* ZAGŁĘBIE  
82. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

## NA OKŁADCE:

Islandzki lodowiec  
Fotografia: Dariusz Rott

## *Drodzy Czytelnicy*

Marcowy – „międzynarodowy” – numer miesięcznika „Śląsk”, który oddajemy w Państwa ręce, w dużej mierze poświęcony jest tematyce skandynawskiej. To nie przypadek. Zainteresowanie Europą północną w naszym regionie przybiera nie tylko różnorodne oblicza, ale ma już swoją długoletnią tradycję, o czym nie zawsze pamiętamy. Co ważne, Skandynawom już nie tylko zazdrościmy, patrząc na nich czasem z podziwem, czasem ze zdziwieniem. Coraz intensywniej Skandynawii doświadczamy empirycznie i wypada się cieszyć, że nie ogranicza się to jedynie do imigracji zarobkowej. Żywe wzajemne kontakty kulturalne, biznesowe i naukowe są już codziennością. To one sprawiają między innymi, że Górny Śląsk, ze swoim ludzkim i intelektualnym potencjałem, jest rozpoznawany i doceniany po drugiej stronie Bałtyku. Dowodem na to jest choćby fenomen festiwalu „Nordalia” (jesteśmy jego patronem medialnym), który od kilkunastu już lat z pasją i poświęceniem organizowany jest przez panią Marię Danielską. Gorąco polecamy wywiad z nią na łamach tego numeru. O ile imprez kulturalnych poświęconych Skandynawii w naszym kraju nie brakuje, „Nordalia” z wielu względów pozostają wyjątkowe. To szeroka oferta kierowana do wszystkich grup wiekowych. Dzięki niej śląska publiczność ma okazję poznać wiele osobowości, których działalność jest żywym dowodem na to, jak ciekawa i fascynująca może być Skandynawia i mieszkający tam ludzie. Wiedzą o tym dobrze Monika i Rafał Chojnacy, którzy od paru lat przybliżają czytelnikom na Śląsku świat skandynawskich kryminałów. Polecamy rozmowę z nimi. Festiwal pokazuje ponadto każdego roku, jak olbrzymi jest stopień fascynacji Północą wśród naszych miejscowych podróżników, artystów, naukowców, nauczycieli czy dziennikarzy. Bez wątpienia, dzięki festiwalowi październik to miesiąc, w czasie którego województwo śląskie pozostaje najbardziej skandynawskim regionem w Polsce.

Coraz więcej inicjatyw naukowo-kulturalnych dotyczących Skandynawii powstaje w Uniwersytecie Śląskim. Absolutnie nie dziwi rozgłos wokół świeżo uruchomionych tam studiów polarnych, które są wspaniałym ukoronowaniem długoletniej obecności botaników czy też glaciologów śląskiej *Alma Mater* na Północy. W tym numerze przybliżamy z kolei najnowszą ofertę dydaktyczną Uniwersytetu Śląskiego, który, *de facto* jako jedyny w kraju, proponuje swoim studentom zajęcia poświęcone Skandynawii epoki wikingów, które prowadzą wybitni specjaliści z Norwegii i Islandii. Na kanwie rosnącego zainteresowania wśród studentów historią i literaturą średniowiecznej Skandynawii parę lat temu powołane do życia zostało Forum Nordystyczne. To wyjątkowa przestrzeń dyskusji na tematy staroskandynawskie i nie tylko, która może się już poszczycić imponującą listą gości-prelegentów. Jedno z zadań, jakie stawia sobie Forum to popularyzacja literatury staroskandynawskiej. Wiąże się z tym wspomnienie o Apolonii Załuskiej-Strömberg, polskiej pionierce w badaniach nad sagami. Jej dorobek i fascynujący życiorys stały się przedmiotem pewnej inicjatywy, o której piszemy w tym numerze, a do udziału w której zaproszonym może czuć się każdy, kogo zafascynowała ta wyjątkowa literatura. Blok tekstów skandynawskich uzupełniają rozważania profesor Grażyny Szewczyk na temat nowych trendów we współczesnej literaturze szwedzkiej, rozmowa z profesorem Ewą Teodorowicz z Uniwersytetu Sztokholmskiego, sylwetka urodzonego w Czeladzi Czesława Ślani – nadwornego grawera króla Szwecji, przypomnianego przez Wiesławę Konopelską, reportaż Alicji Badetko i Grzegorza Sztolera oraz znakomite przekłady prozy i poezji skandynawskich twórców.

Nie zapominamy o naszym dwudziestoleciu: w kolekcji jubileuszowej prezentujemy Małgorzatę Lazarek. Czy trzeba dodatkowej zachęty do lektury rozmowy na 20-lecie z profesorem Janem „śląską ojczyzną polszczyzną” Miodkiem, którą przeprowadziła Maria Sztuka?



■ TYLKO w pierwszy weekend lutego w Chorzowie i Imielinie tlenkiem węgla podtruło się 13 osób. Tlenek węgla, po zatruciach lekami i alkoholem zajmuje w statystykach zastruć trzecie miejsce. Żeby go uniknąć – co teoretycznie wiedzą wszyscy – wystarczy systematycznie sprawdzać stan pieców, instalacji grzewczych, przewodów kominowych i wentylacji. Można też zapobiegliwie zakupić czujkę dymu wraz z czujką tlenku węgla za kilkadziesiąt złotych. Niewiele, a życie może uratować.

■ STAJNIE Książęce w Pszczynie, reprezentacyjny obiekt wyremontowany za pieniądze unijne, stały się miejscem prezentacji obrazów Wiesława Ochmana, znanego tenora. Wystawę otworzył dyrektor Muzeum Zamkowego Maciej Kluss. Ponad 70 prac zawisło w dawnych końskich boksach. Obrazy można podziwiać do listopada.

■ JUŻ początkiem lutego kierowców rozgrzała informacja, że wiecznie remontowana autostrada A4 z Katowic do Krakowa drożeje od 1 marca z 36 zł na 40 zł. Radzimy omijać ten trakt i korzystać z utartych, darmowych szlaków.

■ PASAŻEROWIE dalej skarżą się na tłok w składach Kolei Śląskich – by wymienić tylko linię Zawiercie – Sosnowiec – które po prostu są za krótkie. Decydenci spółki zachowują się jak typowi ignoranci – nie widzą problemu twierdząc... że wszystko już zrobili.

■ PROTEST związkowców z Jastrzębskiej Spółki Węglowej zaostrzał się przez cały początek lutego. Doszło do niepotrzebnych konfrontacji z policją w Jastrzębiu, przed siedzibą spółki, gdzie użyto nawet broni (okoliczności tego bada specjalna komisja). Związkowcy w zasadzie domagali się wyłącznie jednej rzeczy – dymisji prezesa Jarosława Zagórowskiego, który spółkę wywindował do dobrej pozycji ekonomicznej. Przyszłł jednak krach, który pogrzyżył całą węglową branżę. Prezes chciał oszczędności, rozpasani związkowcy – dymisji przewidującego prezesa. I wygrali (porozumienie podpisano 13 lutego) prezes

ustąpił. Trwający dwa i pół tygodnia strajk kosztował spółkę 350 mln zł.

■ AUSTRALIJSKI węgiel tymczasem uratował koksownie ArcelorMittal Poland, w tym tą największą, w polskich Zdzieszowicach (osiem baterii, 15 tysięcy ton węgla koksującego dziennie). Do tej pory 60 proc. zapotrzebowania koncernu pokrywały dostawy w JSW, która straciła mocno na wiarygodności w opinii swoich kontrahentów.

■ MUZEUM Śląskie, zgodnie z zapowiedziami, już się pakuje. Zaczęto wielką przeprowadzkę – 118 tysięcy eksponatów trzeba przewieźć do nowej i wciąż pustej siedziby w ciągu pięciu miesięcy. Wśród nich ceną kolekcję malarstwa polskiego (Fałat, Boznańska, Matejko, Kossak, Makowicz, Chełmoński). Trzeba przygotować sześć wystaw stałych i rozstrzygnąć około 20 przetargów na wyposażenie czy system identyfikacji wizualnej.

■ SILESIA NISTYKA, czyli studia śląskie uruchamia od września Uniwersytet Śląski. Jakie będą? Na pewno prestiżowe i nowatorskie, a zarazem interdyscyplinarne. W ich uruchomienie zaangażowali się znani śląscy wykładowcy.

■ ZABYTKI przemysłowe stają się popularniejsze od przysłowiowych muzeów. W zeszłym roku zabrzańska kopalnię Guido odwiedziło 122,5 tysiąca gości. Muzeum Browaru Żywiec odnotowało liczbę 90 tysięcy zwiedzających. Natomiast Kopalnię Srebra w Tarnowskich Górach zobaczyło blisko 74 tysiące osób, zaś Kompleks „Szttygarka” w Chorzowie ok. 43,2 tys. turystów.

■ LUSTRACJA burmistrza Żywca, Antoniego Szlagora do powtórki. Sąd apelacyjny uchylił orzeczenie sądu okręgowego, że „Szlagor nie był kłamcą lustracyjnym”. Więc sprawa musi być ponownie rozpatrzona w sądzie I instancji. IPN zarzucał burmistrzowi Żywca kłamstwo lustracyjne.

■ RYSZKA po Bienkowskiej. W wyborach uzupełniających do Senatu RP, jakie odbyły się 8 lutego w 148 obwodach okręgu wyborczego nr 75 (Tychy, Mysłowice, powiat bieruńsko-lędziński), fotel senatorski po komisarz Elżbiecie Bienkowskiej zajął Czesław Ryszka z PiS.

■ JEŻELI czteroosobowa rodzina turystów spędzała ferie w Beskidach – dajmy na to Wiśle, Szczyrku, bądź Brennej – to do rachunku doliczyć musi jeszcze kwotę 122 zł. To obowiązkowa tzw. opłata miejscowa, zwana częściej klimatyczną. Tymczasem zdaniem fachowców zanieczyszczenia powietrza w tych tzw. miejscowościach turystycznych, od Zakopanego po Szczyrk, jest na tyle duże... że gmi-

ny powinny z niej zrezygnować. Bo klimat w nich jest – głównie z powodu niskiej emisji – szkodliwy dla zdrowia.

■ DZIEKI Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków pamięć o Tragedii Górnośląskiej pozostanie żywa. Centrum otwarto w Radzionkowie, w wyremontowanym budynku starego dworca. Powstałe tu muzeum w 70 lat po wywózkach Ślązaków dokumentuje ich tragedię. Do jego powstania przyczyniła się determinacja władz Radzionkowa i wsparcie wielu śląskich samorządów.

■ ZABYTKOWY kościół św. Walentego w Bieruniu Starym został podniesiony do rangi sanktuarium. W uroczystości uczestniczył metropolita katowicki abp Wiktor Skworec. Kult św. Walentego ma w Bieruniu rodowód średniowieczny, tutejszy odpust jest największym i najslawniejszym w regionie, a w miejscowym Walencinku, jak nazywa się drewniany kościółek, chętnie zawierane są śluby.

■ KAMPANIA prezydentka nabiera rozmachu i nawet zaangażowali się w nią – pozostający z reguły apolityczni – samorządowcy. Spośród 29 prezydentów polskich miast, którzy udzielili 14 lutego w sali NOSPR w Katowicach poparcia urzędującemu prezydentowi RP, aż dziesięciu to śląscy samorządowcy.

■ PYRZOWICE mają już nowy pas startowy. Oficjalnie zostanie on uruchomiony 28 maja. Lotnisko trzeba będzie dwukrotnie zamknąć na kilka godzin, bo wymagają tego prace przygotowawcze. Samoloty również będą przekierowywane gdzie indziej.

■ GDYBY śląszczyznę uznać za gwara, a nie jak chce wielu Ślązaków – język regionalny, to wtedy prezydent Bronisław Komorowski byłby skłonny poprzeć jej wpisanie do listy języków regionalnych. Taka deklaracja padła z ust posłanki PO Danuty Pietraszewskiej. W ten sposób uzyskano by pieniądze na jej ochronę i promowanie.

■ BUDYNEK Muzeum Ognia w Żorach został nominowany do konkursu Polska Architektura Roku 2014. O wygraną powalczy m.in. z NOSPR w Katowicach czy Muzeum Śląskim. Żorskie muzeum działa od 3 grudnia 2014 roku. Jego siedzibę zaprojektowano w formie płomienia ognia, stąd jako pokrycie zastosowano specjalną blachę miedzianą. Obok zachwyty zdarzają się też krytyczne uwagi kierowane pod adresem żorskiego „blaszaka”.

■ GLIWICKI wikary palii marihuanę z nastolatkami. „Postępowego” księdza zatrzymali policjanci, a kościelna „góra” zadecydowała o jego zawieszaniu.



KRAJOBRAZY ISLANDII



Zdjęcia: Dariusz Rott



Farma Kristine położona jest w takiej okolicy.

# Śluzak na farmie wikingów

Tekst i zdjęcia:  
GRZEGORZ  
SZTOLER

**Odludzie. Może nie dla Norwegów, ale dla przeciętnego Europejczyka odległość dwudziestu minut jazdy samochodem do najbliższego sklepu jest porażająca. Malownicze odludzie. Wokół same pola i lasy układające się falami w lekkie wzgórza. Kolory dojrzewających zbóż. Najbliższy sąsiad oddalony o pół kilometra, a następny jeszcze dalej. Do najbliższej stacji kolejowej pół godziny marszu. Byliśmy na farmie zupełnie sami, może poza litewskimi robotnikami, i Knutem, mężem Kristine Lillestrøm, mojej dawnej znajomej ze studenckich czasów. Postanowiłem odwiedzić ją po latach, na tym rajskim odludziu, tuż za Oslo.**

## Pracowity jak Norweg

Knut nie lubił za dużo mówić o sobie mówić. Jak twierdził, cenił sobie spokój i anonimowość. Może dlatego wybrał to miejsce. Kupił go kilkanaście lat temu od pewnej wdowy. Jak to zrobił – nie wiadomo. Miejsce naprawdę wyjątkowe. W transakcji znalazł się zapis, że nie wolno niczego zmieniać.

Dom, szopa, budynek gospodarczy i garaż, a wszystko to otoczone malinami, lasem i polami. Budynek w kolorach typowych dla protestanckiej Norwegii – dom mieszkalny biały, a zabudowania gospodarcze w brązie. Tylko garaż wylamał się z tej tradycji i pomalowany został na kolor cytrynowy, a właściwie oranżowy, zbliżony do odcienia futra ulubionego kotka Ingebjorg, córki Kristine i Knuta.

– Jeśli jesteś pracowity w końcu zostaniesz doceniony i zauważony – twierdził Knut. I rzeczywiście, mimo że pragnął spokoju, jego

niezwykłe hobby czyniło go sławnym na całą okolicę. – Nie wiem, skąd sąsiedzi tyle o nas wiedzą – dziwiła się Kristine. Knut bowiem zbierał stare samochody. Zauważyliśmy amerykańskiego chevroleta w zaroślach obok garażu. Ale wszelkie pytania o liczbę pojazdów Knut kwitował głębokim milczeniem. Na pewno było ich kilka, z tym że tylko połowa „na chodzie”. Knut, kolekcjoner mechanicznych koni, nie miał na razie czasu na czasochłonną renowację swoich podopiecznych. Zaangażował się bowiem w organizację międzynarodowego zlotu miłośników pojazdów zabytkowych. Większość telefonów wykonał jeszcze przed moim odlotem.

## Od świtu do zmroku



Norwegowie pracują bardzo ciężko na swój sukces. Książdz Eryk, który kojarzył Knuta z powodu jego szlachetnej pasji, każdej niedzieli musiał pokonać koło stu kilometrów, by odprawić kolejną mszę

świętą. Sąsiad bauer zaczynał koszenie łąki olbrzymią maszyną o jedenastej w nocy. Co prawda słońce w Norwegii świeci latem do dziesiątej wieczorem, ale i tak pracować musiał przy reflektorach. Knut dzielnie kończył remont drewnianego garażu. W ciągu pięciu dni wykonał fundamenty, posadzkę, pomalował garaż na ohydny zdaniem jego matki kolor cytrynowy i wymienił dach. Przez cały mój pobyt nie miał czasu, by na spokojnie usiąść i porozmawiać. Jedynie w pociągu do Oslo zdołał zamienić ze mną kilka słów więcej.

## Twarde życie na farmie

Dzień rozpoczynał się śniadaniem pociech o dziewiątej. Knut już dawno był w pracy albo klepał coś w szopie z litewskimi majstrami. Chrystian z Ingebjorg na przemian wskazywali mamie, które z potraw rozmieszczonych na stole mają znaleźć się na ich porcjach. Najchętniej oczywiście smarowali chleb czekoladą. Mama im na to pozwalała, inaczej bowiem orkiestra maluchów mogła zastrajkować. Ingebjorg umiała mówić i to aktywnie, ale Chrystian tylko pomrukami zadowolenia lub też nie dawał mamie do zrozumienia, co sądzi o jej wyborze. A na stole była kielbasa krakowska i szynka przywieziona przez gościa z Polski, norweski słodki ser, miód, ser żółty i czekolada. Zjadaliśmy ze smakiem, często uprzedzając życzenia maluchów, a potem ekipa ładowała się do starego forda taunusa. Ingebjorg z Chrystianem na foteliki, Kristine za kierownicą, a ja z Joasią z tyłu samochodu i w drogę. Tyle że zanim wyruszyliśmy trzeba było przygotować kanapki, a do tego zaprosić maluchy do wnętrza samochodu. Udawało się zwykle obietnicą rychłej zabawy (ulubiona zabawka to traktor, betoniarka lub samochód). W Norwegii bowiem nigdzie nie brakuje miejsc do zabawy dla niepełnoletnich. I właściwie jest tylko problem z zabranianiem dzieci z takiego miejsca uciech.

W południe kawa z kanapkami w ogrodzie wśród malin. Potem znowu czas pracy albo spacerów po okolicy. W międzyczasie maluchy domagały się bajki w telewizorze lub komputerze. Koło szóstej wieczorem ciepła kolacja, coś w rodzaju naszej obiadokolacji i... znowu po krótkim oddechu do roboty albo zajęć przyjemniejszych (to goście). Dopiero, kiedy maluchy powędrowały spać, zwykle koło dziesiątej wieczorem, dorośli, a właściwie rodzice, mieli czas dla siebie i dla nas, gości. Można było siąść przy piwie albo kawie i w promieniach zachodzącego słońca porozmawiać. Najczęściej odbywały się te dysputy z Kristine – po pierwsze dlatego, że były prowadzone po polsku (nauczyła się go ambitnie sama, wspierałem ją w tym wysyłając np. „Trylogię” Sienkiewicza, o której marzyła). Po drugie, ponieważ widniało jeszcze do dziesiątej wieczorem, Knut zajęty był wiecznie robotą. Kiedy ściągał o jedenastej do kuchni był już naprawdę okrutnie zmęczony, co przyjmowaliśmy z głębokim zrozumieniem i może nawet współczuciem.

## Rajski zaulek

Łąka za stodołą lekko opadała w niewielką dolinę, a nad wszystkim górowały wzniesienia porośnięte lasem i ozdobione



skalami. Brakowało tylko jeziora, a i tak do najbliższego było tylko pół godziny spaceru. Wszystkie wznieśnienia, doliny porośnięte były dojrzewającymi zbożami. W Polsce już dawno było po żniwach. Tu w połowie sierpnia nikt jeszcze nie myślał o zwożeniu niczego do stodoły. Jeden z gospodarzy kończył konstruować monstrualną konstrukcję z drewna, w której rozpoznałem stodołę. Robotników nie było widać ilekroć przechodziłem obok wzgórze w drodze nad jezioro. Ale było słychać odgłosy pracy – stukanie, wiertanie, i znów miarowe stukanie, które można było pomylić ze... stukaniem dzięcioła (wcale tu nierzadkim).

Moje spacerowały wiodły nie tylko nad jezioro czy skaliste wzgórze, na którym sąsiedzi postawili sobie chatkę do wypoczynku. Przez uroczą rzekę, wielkości naszej Wisły, można było przepłynąć się na drugą stronę rzeki nowoczesnym mostem. Potem wędrowało się wzdłuż osiedla kolorowych domków, do najbliższej stacji kolejowej. Stąd już wiodł most na drugą stronę rzeki zbudowany, jak zdążyłem zapamiętać w 1927 roku. Początkowo użytkowany był dla normalnego ruchu kołowego, ale po wybudowaniu nowocześniejszego kilkaset metrów dalej, stary stalowy most przeznaczono dla ruchu pieszego. A pobliska stacja stała się przez kilka dni końcową stacją moich eskapad do Oslo.

### Miasto króla Haralda

Koło osiemnastej trafiłem na zmianę warty koło zamku w Oslo, stojącego u zwieńczenia Karl Johans Gate. Wojacy w pomponikach i mundurach wymaszerowali zgodnie z niewielkiej drewnianej altanki, przemaszerali wokół zamku dokonując zmian wartowników i skierowali się do fortu, gdzie również pełni się straż, choć w sam obiekt przeznaczony jest do zwiedzania. Przy zamku rozciąga się park, w nim dziesiątki, setki odpoczywających Norwegów i turystów. I tak w każdym zakątku Oslo, gdzie tylko jest ławka albo zielony skwer i fontanna. Ludzie czytają książki, piją kawę z termosów, rozmawiają, urządzają sobie pikniki. Od zamku rozciąga się wspaniały widok na królewską aleję prowadzącą aż do dworca. Tysiące, tysiące ludzi i kafejek, sklepików tworzą niezwykłą atmosferę tego miejsca. Nic nie jest w stanie zepsuć tego klimatu odprężenia. Upał zanika. Na zielonym skwerze z fontanną, w pobliżu teatru narodowego, natrafiam na mnóstwo stolików z parasolami. Muzycy przy aplauzie widowni złożonej z klientów tej kafejki, improwizują melodie na trąbkę, puzon, fortepian i perkusję. Obficie, mimo wysokich cen, leje się piwo. Damy palą cygara. Turyści zamawiają pizzę z sołą, bo tania. Klimat oderwania się od codziennych problemów, relaksu weekendowego popołudnia udziela się wszystkim.

Naprzeciwno dwuwieżowego ratusza z czerwonej cegły rozkłada się cyrk. Słychać polską mowę. To robotnicy. Grodzą teren wokół fontanny i placu przed ratuszem, po którym jeszcze wczoraj można było spokojnie przejść do pobliskiej przystani i portu. Właśnie – port. To on decyduje, poza fontannami, zielenią i niemożliwą wręcz do pojęcia czystością, o tutejszej specyfice. Tworzy klimat miejsca.

Oslo nie zbyt wiekowe, choć początki ma zamierzchnie. Zabudowa, szczególnie nabrzeża i okolice ratusza przywodzi raczej na myśl

wiek dwudziesty. Ratuszowe nabrzeże, Radhusbrygge, jest otwarte, cumują przy nim żaglowce i statki turystyczne, jak też większe jednostki. Nadaje stylowego koloru centrum Oslo. Tu właśnie turyści ustawiają się w kolejkach po bilety na wyspy pełne plaż (w tym naturystyczną), zabytków (klasztor cysterski na wyspie Hovedøya), jak i malowniczych domów z przystaniami. Bo na posiadłość na fiordzie – które są w cenie – najłatwiej dojechać promem. Polecam zresztą wycieczkę po Oslofiordzie. Jest wspaniała.

Kilka kroków od nabrzeża portowego znajduje się nowoczesny kompleks szklanych budowli powstałych na miejscu starego portu, zwany Aker Brygge. Jest tu wszystko i nic. A więc sklepy, kawiarnie, fastfoody, mniej czy bardziej wytworne, które radzę omijać szerokim łukiem. Mimo że cały ten kwartał miasta kosztował ładnych parę milionów dolarów, cały jego urok polega na tym, że ma szczęście znajdować się nad samą wodą, od której dzieli go tylko deptak spacerowy zakończony pomnikiem-kotwicą. Często na cumujących statkach gra muzyka – jazz, rock'n'roll. Wystarczy wtedy przysiąść na drewnianych stopniach nabrzeża i wsłuchać się w koncert jednej z grup. Kilka gitar, głośnik, statek, piwo i „robi się” koncert. Kilkusetosobowa widownia słucha, klaszcze i się bawi siedząc w kafejkach na cumujących łodziach albo po prostu zwyczajnie siedząc. Zapamiętałem, że dziewczyna jednego z gitarzystów pisała wiersze...

I jeszcze to stoisko z wusztami na norweskim nabrzeżu... Przypominający siwobrodego wikinga sprzedawca pokazuje mi cierpliwie cały asortyment. Zaczyna od czerwonego salami, barwionego specjalnie winem. Wyborne! Wybór został dokonany... Nieśmiało spytałem o kielbasę z poczciwego, rogatego norweskiego zwierzęcia. – Ja, Elg – domyślił się sprzedawca i wskazał kilogram suszonych wspaniałości. I zachęcił do degustacji. W moim gastronomicznym odczuciu kielbasa z łosia lokowana się gdzieś za koniną... Ale postanowiłem ten rarytas nabyć – dla bliskich. Na skosztowanie.

### Joasia przedszkolanka

Pada, już drugi dzień. Dzwoni telefon. Kristine mówi, że za chwilę wpadnie na kawę jej dobra znajoma z Oslo. Pyta, czy nie mam nic przeciwko tej wizycie. Nie, absolutnie nie. W gruncie rzeczy cieszę się, że jest jakiś sposób na zabicie tej nudy. A spotkanie i rozmowa z kimś, kto mieszka w Norwegii od lat na pewno jest okazją, której nie wolno zmarnować. Tak się szczęśliwie składa, że tuż przed przyjazdem Joasi, dociera z lotniska mój zagubiony bagaż, zupełnie nienaruszony. Miłe zaskoczenie... No i wpada Joasia. Po krótkim cześć, rozmowa nabiera tempa. Dziewczyny siedzą w kuchni i pitraszą lunch, a właściwie kolację dla wszystkich domowników, gości i robotników. Wcześniej oczywiście – kawa. Joasia prosi o nadesłanie mojej ostatniej książki. Pracuje w przedszkolu, w Oslo, od kilkunastu już lat. Mieszka w Norwegii. Poznała ten kraj dzięki polsko-norweskiej rodzinie, w której pracowała jako opiekunka do dziecka. Proponuje, że oprowadzi mnie po Oslo.

Joasia pochodzi z Torunia. Przywiozła słodkie pierniki specjalnie dla Kristine i dzieciaków. Zdecydowała już dawno, że jej drugą ojczyzną pozostanie Norwegia. Ma

obywatelstwo tego kraju, a uzyskanie go wcale nie było łatwe. Tu też jest ogromna biurokracja. Na odpowiedź z ministerstwa spraw wewnętrznych czekała prawie rok. W końcu jednak udało się. Jest samotna, ale ma przyjaciół. Kilkrotnie w ciągu roku odwiedza Polskę. Przyjeżdża tam samolotem. Ostatnio z inną znajomą i przyjaciółką i jej trzynastoletnim synem podróżowały po Polsce. Zwiedzały Biebrzański Park Narodowy. – Tam też są łosie – śmieje się.

### Jak można polubić Polskę

Nie spotykałem w Norwegii krajanów. Przynajmniej niezbyt często. Język polski był jednak obok angielskiego również często używany w domu Kristine. Pytałem ją, jak Polskę odbiera Knut. – Obawiam się, że niezbyt chętnie – zasępiła się. – Ostatnio zbyt często opowiadałam mu chyba o polskiej służbie zdrowia...

Kristine zorientowała się, że obraz Polski, jaki może mieć Knut jest zbyt przyciemniony.

Przy całej znajomości naszej kultury, cech, języka, Kristine, moja dobra znajoma, nieopatrnie i niechcący powieliła negatywny obraz naszego kraju, jaki powszechnie panuje w mediach. Dodam, że Kristine regularnie czyta od lat krakowski „Tygodnik Powszechny”, w którym i tak panują wyważone i niepowierzchlowe sądy o Polsce i Polakach. Pismo to kreuje pozytywny wizerunek naszego kraju i raczej nie wpada w nadmierną histerię w oczernianiu nas samych. A mimo to poczciwy Knut mógł wynieść niechętny obraz Polski i Polaków. Dlatego – delikatnie i z rozważką – rozpoczęliśmy kampanię prostowania nadmiernie krzywych stereotypów. Preludium była oczywiście żubrówka, którą Knut docenił ze smakiem i błyskiem w oczach (u nas nie ma takich alkoholi – westchnął). Oczywiście, wspólna konsumpcja okraszona została opowieścią o polskich, przepraszam – książkowych żubrach, przerażając podobnych do amerykańskich bizonów. Potem kilka piw czeskich (z Czech, niedaleko Śląska). Kielbasa krakowska, podsuszana, w sam raz do piwa i alkoholu. Kilka puszek polskiej szynki. No i wedlowskie słodycze dla maluchów i rodziny. To podstawowy ekwipunek każdego budziciela przychylności do śląskości, czy też polskości. Nieważne. Potem kilka kłopotliwych dla Norwega pytań, które mają na celu wzbudzenie atmosfery wzajemnej szczerości i zrozumienia (ach ci politycy, ach te podatki, ach ta monarchia jest droga – to ostatnie w wersji zamiennej z prezydenturą). Po wyliczeniu sobie wzajemnych problemów i słabości narodowych – bez nadmiernego upolitycznienia oczywiście – stajemy się sobie bardziej bliscy i europejscy (bo – ach ta Bruksela, ach te nowe stolki polityków, ach te dotacje – są za małe, ach jesteśmy tak mali i mamy się ach i tak dobrze, że aż się boimy czy w Europie będzie jeszcze lepiej czy nie?). Tu dodajmy następującą uwagę, że ustrojowym wzorcem dla Norwegii jest Anglia, w której wspaniałą monarchię jak i tradycję demokratyczną, Norwegia jest namiętnie wpatrzona.

Potem były ćwiczonka językowe w rodzaju: „w Strzebrzeszynie chrząszcz brzmi w trzcinie”. Knut raczył nas norweskimi powiedzeniami, a Kristine niemieckimi. Było to też doskonałym wstępem do zrozumienia zasad języka norweskiego. Budowy zdań, sposobu wymowy poszczególnych głosek. Z biegiem czasu zaczęliśmy pytać naszych gospodarzy o lokalne nazwy, historię. Na przy-

kład jezioro, nad które chodziliśmy się kąpać. Norweski brzmiał melodyjnie, szczególnie w kościele, ale był trudny do zrozumienia bez wersji pisanej. Ale i tak z pomocą Ingebjorg udało mi się sporo zrozumieć z bajki o Mr. Bobie i jego maszynach, które budują domy, czy urządzą geburststæg, czyli urodziny. Wyjątkową estymą Ingebjorg darzyła błękitnego kota-pluszaka, mówiąc pieszczotliwie o nim „puss”. Ja pytałem: „Blu puss?”, a Ingebjorg potwierdzała. A potem łamaną niemiezczyzną i norweskim pytałem, w jakim kolorze jest ich domowy kot. A Ingebjorg: „oranż-kat”. I tak już pussowi zostało. Wołaliśmy na niego „oranż ket”. Wykastrowanemu zwierzakowi było wszystko jedno. Łasił się do wszystkich z jednakową kocią namiętnością. I wchodził po desce, i przez dziurę w ścianie po swoje ulubione jedzenie z puszkii.

### Dziwny jest ten kraj

**Już** norweski dwulatek uczony jest wyrzucania resztek jedzenia do kosza. I zasad demokracji i zdrowej rywalizacji. Christian mimo że nie potrafił wymówić zbyt wielu słów, aktywnie walczył o swoje przywileje. Sprawiedliwy rozdział kakao i czekolady przy śniadaniu. Jednakowego noszenia przez rodziców. Równego dostępu do bajki. Swobody w dotarciu do lodówki z chłodnym mlekiem. Dopominał się o beztróską zabawę i prawo do poobiedniego wypoczynku. Jedyne w przedszkolu, pierwszego dnia, gdy zobaczył tłum dzieciaków, z wrażeń zapomniał o śnie. Mama cierpliwie tłumaczyła i wypełniała polecenia. Wydawało się, że czasem maluchy stają jej na głowie. Ale to były złudzenia. Kristine z żelazną konsekwencją umiała zadbać o porządek.

### Emigracja, emigranci

**Knut** przyniósł wiadomość, że jutro z Ingebjorg, która niespecjalnie chciała jechać do babci. Christian owszem, ale babcia niespecjalnie za nim tęskniła, bo jak na schorowaną 60-letnią kobietę, mały wiking był za szybki. W końcu uzgodniliśmy, że w niedzielę dzieci zostaną odwiezione do rodziców Knuta, a my tj. Kristine z nami pojedziemy na norweską mszę do niewielkiego miasta z rynkiem i pomnikiem łosia. I tak też się stało.

Mszę miał odprawić Więtnamczyk, ale był akurat inny ksiądz. Po mszy, to właśnie chcę zaznaczyć, zeszliśmy zwyczajowo na kawę i ciastko (za które uiszcza się drobną opłatę kilku koron). Naprzeciw nas rozsiadł się jegomości w kolorowej kaszuli z paskiem w spodniach w lekki kancik. Jegomościowi towarzyszyła zakonnica. Przsiedli się do nas i zawzięcie dyskutowali z duchownym. Nie wiedzieliśmy, że są – jak się później okazało – Polakami. – Nie tęsknię za nimi – powiedziałem szczerze Kristine. Ale z grzeczności po wypiciu kawy podszedłem do dwóch starszawych blondyn, które – jak twierdziła Kristine – są Polkami, bo też zareagowały na nasze polskie pozdrowienie. Ale pomyłka się szybko wyjaśniła. To były Norweżki, które znały słowo „dzień dobry”. – Tu chyba nie ma Polaków? – zwałpitem. – A co chcecie wiedzieć? – wyrwało się jegomościowi z naprzeciwka. Zacząłem go męczyć pytaniami o Polskę. Jegomości powiedział, że przyjechał do Norwegii w latach 80. dwudziestego wieku, do siostry, która mieszka tu już od czterech dekad i że to ona wie więcej. Niestety, sio-



Oslo. Na końcu drogi – pałac.

stra była zajęta konwersacją z równie sędziwymi przyjaciółkami. Zapytałem więc po prostu, czy Polonia trzyma się razem. Starszy jegomości zaprzeczył. – Każda grupa, emigracja powojenna, solidarnościowa i zarobkowa trzyma się osobno – oświadczył. Po czym jał narzekać na sytuację polityczną Polski, i stwierdził kategorycznie, że „jak tak dłużej będzie to w tym kraju zostaną sami emeryci. Młodzież nam ucieka z kraju”.

– A jak się panu mieszka w Norwegii? – sprowadzałem naszą dysputę na spokojniejszy ton.

– Oj, dawniej to był spokojny kraj, bez żadnych przestępstw. Nie to, co teraz. Nie tak dawno jakiś mużulanin zakął bez powodu kilka osób w tramwaju. To ci kolorowi przynieśli tu te wszystkie narkotyki i przestępstwa. Nawet dzieci biorą te świństwa – zaczął się rozpałać.

I nagle przerwał, niespokojnie zakręcił głową, jakby wzrokiem szukał prześladowcy. – Ale na prowincji nie jest chyba tak źle. Mieszkam na farmie u mojej znajomej Kristine, a tam życie jest ciężkie i surowe i nie ma tych wszystkich pokus – odparłem.

Mój rozmówca zgodził się ze mną... po czym znów zaczął zawodzić nad opuszczającą ojczyznę młodzieżą, w którym wszystko się wali. – Nie wszyscy stamtąd uciekają – zaoponowałem. – Widzi pan, jestem z Górnego Śląska i czuję się związany z tą ziemią. To jest moje miejsce i nie zamierzam go opuszczać.

Jegomości zmienił ton na bardziej radosny. – Gdyby tak wszyscy dbali o swoje, czuli własny region tak jak Ślązacy na Górnym Śląsku – westchnął. – To cenna wartość.

Pożegnaliśmy się czule, ale stanowczo.

### Piknik po norwesku

nie był zbyt imponujący, choć poznaliśmy ciekawych ludzi. Rodzinę Knuta. Zjawili się w niedzielne popołudnie na grilla na dacy Knuta położonej w górskiej okolicy. – Norwegowie są leniwi – uprzedzała nas przekornie ironiczna Kristine. Rzeczywiście. Pomoc Knuta ograniczyła się tylko do rozpalenia ogniska przy pomocy pełnej butelki łatwopalnego środka i smażenia, a właściwie przypalania kiełbasek. *Wot* cały grill. Nie tak jak w Polsce, na Śląsku, czy – ojczystych stronach Kristine i innych cywilizowanych stronach świata, gdzie smaży się uprzednio peklowane kawałki mięsa, mniaaam – dziesiątki steków, tabuny kiełbas, czasem polewanych piwem. Gdzie tam. Heretycki naród, rzekłby Zagłoba. Przymażone kiełbaski owijają w placki i obficie

uprzednio polewając specjalnym sosem lub zwykłym ketchupem konsumują ze smakiem popijając wodą bądź coca-colą. Żadnego piwa. Nic. Ale woda jest smaczna, a i powietrze świeże, co chyba ma wielki wpływ na apetyt, bo mimo lekko parsywego przyrządzenia, ichniejsze przysmaki smakowały nam wybornie.

Po rozmowie o polityce i politykach, pieniądzech, rolnictwie i Brukseli pojechaliśmy zażyć kąpeli w kolejnym jeziorze. Towarzyszyły nam dorastające córki szwagra pilota, kropla w krople podobne do matki. Ofiarnie zabawiały młodszą kuzynkę, a nad jeziorkiem użyczyły jej nawet dmuchanego materaca.

### Kraj pionierów

**Do** Norwegii przyjeżdżają na wczasy raczej bogatsze nacje Europy – by wspomnieć Niemców. Czynią tak także ci, którzy kochają dziką przyrodę i otwarte przestrzenie norweskiej północy. Mniej zasobne narody jak Polacy czy Litwini wolą przebywać tu na saksach, bo można nieźle zarobić. Sami Norwegowie uciekają na południe Europy, by się wygrzać.

Nie istnieją w Norwegii wiejskie wspólnoty, typowe wsie. Gospodarstwa są rozrzucone na ogromnej przestrzeni. Sąsiad od sąsiada jest oddalony o kilometr lub więcej. Nawet protestancka świątynia oddalona jest o pół godziny jazdy samochodem – podobnie jak knajpa. I jak tu mówić o tworzeniu lokalnych wspólnot?

Niedzielne popołudnia, tak jak sobotnie wieczory, są tu wyjątkowo spokojne. Norwegowie spędzają je często we własnym domu, bywają też z dziećmi na festynach, placach zabaw, piknikach, weekendowej dacy, rodzinnych imprezach. Ale przy okazji takich spotkań nie gra muzyka, nikt nie naużywa alkoholu. Norwegowie bawią się cicho. Tylko przyjezdni hałasują.

W krajobrazie protestanckiej Norwegii Polakowi brakuje jednego istotnego elementu – malowniczych kapliczek przydrożnych i krzyży. To już inna tradycja. Bardziej surowa. Choć pełno w Norwegii malowniczych wzgórz z kościołami, cmentarzami i jeziorkami, czuje się, że to jednak nie Polska ani Bawaria. Dopiero tu widać jak bardzo mentalnościowo różni się społeczność katolicka od protestanckiej (to wyznanie deklaruje 75 procent Norwegów).

A czego należy zazdrościć Norwegom? Zaradności, systematyczności. To naród pionierów, zdobywców, który może być z siebie dumny.

# Saga o śląskich nordystach

**Tej wiosny mijają trzy lata odkąd za sprawą studenckiej inicjatywy przy Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego regularnie odbywają się spotkania dyskusyjne i gościnne wykłady, poświęcone wiekom średnim w Skandynawii – jej kulturze i historii, tak blisko związanymi z literaturą. Spotkania, których było już kilkanaście, sprawdziły się zwłaszcza jako przestrzeń dyskusyjna, integrująca ludzi, których łączy zainteresowanie epoką wikingów i średniowieczną historią państw skandynawskich: historyków, filologów, historyków literatury.**



**D**o funkcji tej nawiązuje nazwa *Forum Nordystyczne*, która w nieplanowany sposób zaczęła być kojarzona z przedsięwzięciem i obecnie jest jego swoistym znakiem rozpoznawczym.

Organizując spotkania Forum Nordystyczne zależało nam na tym, aby stworzyć na Uniwersytecie Śląskim przestrzeń, w której mogłyby spotykać się wszystkie osoby ze środowiska uniwersyteckiego, zajmujące się Skandynawią, niezależnie od kierunku studiów i badań. Naszym celem było zwrócić uwagę innych ośrodków akademickich na to, że w Katowicach działa taka grupa, nawiązać z nimi współpracę, jak również umożliwić bywalcom spotkań rozwój ich zainteresowań poprzez kontakt z inspirującymi ludźmi – badaczami i pisarzami, którzy być może w innym przypadku nie odwiedziliby Katowic specjalnie po to, by spotkać się z większym lub mniejszym gronem entuzjastów tematu.

Od początku opiekę nad przedsięwzięciem sprawuje dr Jakub Morawiec, pracownik Zakładu Historii Średniowiecznej w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego, historyk średniowiecznej Skandynawii, poświęcający swoje badania m.in. poezji skaldycznej, wikingom z Wolina w sagach islandzkich i duńskiej dynastii Knyttlingów. Organizacją spotkań Forum Nordystycz-

nego zajmują się również studentka historii Aleksandra Jochymek oraz Grzegorz Bartusik, historyk i filolog klasyczny, którzy jako stypendiści EEA and Norway Grants studiują obecnie na Uniwersytecie Islandzkim w Reykjavíku.

Tworząc Forum Nordystyczne chcieliśmy, aby było ono naszym wkładem w rozwijające się w Polsce badania nordystyczne, których przedmiotem jest średniowieczna literatura skandynawska. Do podjęcia tych działań zainspirowały nas odbywające się na Uniwersytecie Rzeszowskim *Spotkania Nordystyczne*. Jedno z pierwszych spotkań dyskusyjnych w Katowicach poprowadził związany z Uniwersytetem Rzeszowskim mgr Remigiusz Gogosz.

Spotkania Forum Nordystycznego w poprzednich latach znalazły się w programie Festiwalu Nordalia, a od września ubiegłego roku naszej działalności patronuje oficjalnie Fundacja *Patrimonium Europae*. Interującym doświadczeniem była możliwość udziału w organizacji debaty „Kobieta dawniej i dziś w krajach nordyckich i w Polsce” w ramach XII Festiwalu Nordalia (2013), w której uczestniczył m.in. J.E. Ambasador Szwecji w Polsce Staffan Herström. W tym roku bierzemy udział w organizacji Festiwalu Słowian i Wikinów na Wolinie.

Na Forum Nordystycznym mieliśmy przyjemność spotkać się z wieloma interesującymi gośćmi. Pośród nich znalazła się prof. Asdís Egilsdóttir z Uniwersytetu Islandzkiego w Reykjavíku, która podczas swojej wizyty w Katowicach poruszyła temat sag o średniowiecznych biskupach islandzkich i prowadzonych w ich kontekście badań nad maskulinizmem w literaturze, koncepcjami męskości w dawno minionych już czasach.

Dwukrotnie dotychczas mieliśmy przyjemność spojrzeć na historię epoki wikingów przez pryzmat badań archeologicznych. Naszym gościem był dr Błażej Stanisławski (Instytut Archeologii i Etnologii Polskiej Akademii Nauk). Dyskutowaliśmy wówczas o kwestii, która od dawna budzi emocje polskich mediewistów i stanowi niegasnące źródło dociekań: jaki udział w powstaniu państwa polskiego mieli wikingowie? Dużym zainteresowaniem cieszyło się spotkanie z dr. Leszkiem Gardelą (Instytut Archeologii Uniwersytetu Rzeszowskiego), podczas którego archeolog opowiedział m.in. o swoich osobistych doświadczeniach z badań nad słynnym pochówkiem w Oseberg, w których uczestniczył.

Współczesne przejawy recepcji średniowiecznej kultury skandynawskiej również należą do kręgu naszych zainteresowań. Dyskutujemy o pisarzach, gościmy pisarzy. Spotkania poświęcone twórczości J.R.R. Tolkiena zgromadziły duże grono zainteresowanych. Dr hab. Rafał Borysławski (Instytut Kultur i Literatur Anglojęzycznych, Uniwersytet Śląski) mówił o zagadkach w „Hobbicie”

i w literaturze staroangielskiej, a Agnieszka Jadwiszczok, studentka filologii angielskiej, przygotowała prezentację o popkulturowych obliczach Śródziemia.

„Między historią a opowieścią” spotkaliśmy się z Elżbietą Cherezińską, autorką popularnych powieści o początkach Polski, a także cyklu „Północna droga”, którego bohaterowie żyją w świecie islandzkich sag. Kilka miesięcy temu do Katowic przyjechał dr Łukasz Malinowski, autor powieści o skaldzie Ainarze: „Skald. Karmiciel kruków”.

Na jednym z ostatnich spotkań Forum Nordystycznego prof. dr hab. Dariusz Rott (Instytut Nauk o Literaturze Polskiej, Uniwersytet Śląski) przybliżył zebranym postać Daniela Vettera i jego dziennik z niezwyklej podróży do XVII-wiecznej Islandii, która zaczęła się w Czechach, oczywiście autora.

O pochodzącej z XII wieku norweskiej kronice mnicha Teodoryka dyskutowaliśmy w Katowicach z mgr. Rafałem Rutkowskim (Instytut Historii, Polska Akademia Nauk), który poświęca utworowi temu swoją pracę doktorską.

Jesienią gościliśmy również prof. Anę Waśko (Instytut Historii, Uniwersytet Jagielloński), która przetłumaczyła z języka staroislandzkiego na język polski *Sagę o Olafie Tryggvasonie, Sagę o Eryku Rudym i Sagę o Grenlandczykach*.

Co dalej? Patrząc wstecz, jako organizatorzy jesteśmy pod wrażeniem dotychczasowego rozwoju niepozornej początkowo inicjatywy, która na początku zakładała jedynie uniwersyteckie spotkania dyskusyjne dla chętnych, jeśli tacy się znajdują. Z perspektywy czasu widzimy, że udało się dokonać czegoś więcej.

Zgadza się co do tego, że najcenniejszym doświadczeniem jest możliwość osobistego spotkania z inspirującymi osobistościami. Forum Nordystyczne umożliwiło nam poznanie badaczy z Islandii, Norwegii, a także wielu ośrodków akademickich w Polsce.

Dostzegamy, jak ważną zaletą działalności jest integracja – forum pozwoliło nam wyjść poza obręb kierunku studiów czy wydziału i stworzyć coś wspólnie na styku nauk, którymi wszyscy się zajmujemy.

Mamy wiele pomysłów na przyszłe działania Forum Nordystycznego. Obecnie bierzemy udział w Projekcie EDDA, promującym działalność tłumaczkę sag Apolonii Załuskiej-Strömberg, i planujemy kolejne spotkania, na których mile widziani będą wszyscy zainteresowani średniowieczną Skandynawią i jej dziedzictwem kulturowym. Mamy w planach zorganizowanie translatorium, na którym chcielibyśmy wspólnie tłumaczyć islandzkie sagi i poezję skaldyczną z języka staroislandzkiego na polski. O wszystkim na bieżąco informujemy na stronie:

[facebook.com/ForumNordystyczne](https://facebook.com/ForumNordystyczne).

ALEKSANDRA JOCHYMEK  
GRZEGORZ BARTUSIK



Z prof. JANEM MIODKIEM rozmawia MARIA SZTUKA

# Nie tylko o mowie Rejów i Kochanowskich

– Czy język polski jest trudnym językiem?

– Każdy język świata ma swoje biedy, czyli ma trudniejsze i łatwiejsze elementy systemowe. Porównując na etapie uczenia prymarnego najpopularniejszy dzisiaj język, czyli angielski, z polszczyzną, z jej rozbudowaną fleksją, rozwiniętym systemem odmiany wyrazów przez przypadki, można stwierdzić, że rzeczywiście język polski jest bardziej skomplikowany. Wszystkie badania jednak pokazują, że po osiągnięciu pewnego minimum komunikacyjnego w obu tych językach doskonalenie jest o wiele prostsze w języku polskim niż w angielskim...

– ... z ortografią włącznie?

– No właśnie, ile ja się nasłuchałem na ten temat, o ortografii z pewnością mówi się znacznie więcej niż o języku jako takim. W wypowiedziach tych słyhać nawet elementy pewnej megalomanii narodowej, bo my zawsze przecież jesteśmy wyjątkowi. Według Polaków mamy najtrudniejszą ortografię na świecie, bardziej skomplikowana jest już tylko chińszczyzna. Otóż pewnie dla tych wszystkich malcontentów będzie szokiem to, co teraz powiem: polska ortografia jest sto razy łatwiejsza od ortografii niemieckiej, francuskiej czy angielskiej, ponieważ obowiązujące w nich do dzisiaj zasady ukształtowane są na wczesnośredniowiecznych systemach językowych, które w dodatku zmieniały się w ciągu wieków o wiele szybciej niż polszczyzna. W efekcie zderzenie fonetyki i obowiązkowego zapisu jest tam nieporównywalnie mozolniejsze niż u nas. Ponieważ polska ortografia jest młoda, w związku z tym jest ortografią łatwą. Każdy językoznawca ogólny – polski, angielski, niemiecki – to potwierdza. Podobnie jest z naszą interpunkcją, jest ona cudownie sformalizowana, oparta na kryteriach składniowych, przejrzysta i jednoznaczna. Korzystając z okazji tej rozmowy, chciałbym obalić te mity o wyjątkowej trudności polskiego języka. Nie, to jest przeciętny język indoeuropejski, ani trudniejszy od innych, ani łatwiejszy. Natomiast to, co jest czystą konwencją, czyli ortografia, daję słowo honoru, jest kilkaset razy łatwiejsza od najpopularniejszych języków zachodnioeuropejskich. Przypomnijmy sobie nasze rodzime teksty staropolskie: Bogurodzicę, słowa Reja: poza nielicznymi tak zwanymi preparacjami językowymi typu *Bożyc to syn Boga, dziela – dla, zbożny* – szczęśliwy nie mamy żadnych trudności w ich odczytywaniu i rozumieniu. Tymczasem tekst z tego samego stulecia napisany językiem starofran-

cuskim, staroniemieckim czy staroangielskim jest dla współczesnego Niemca czy Anglika zupełnie niezrozumiałe, Francuz „Pieśni o Rolandzie” w oryginale nie rozszyfruje.

– **Skoro ortografia języka polskiego jest łatwa, to dlaczego popełniamy tak wiele błędów?**

– Nie sądzę, że więcej niż Niemcy, Francuzi czy Anglicy. Jak powiedział czeski językoznawca Bohuslav Havránek, język jest elastyczną stabilnością. On się musi nieustannie zmieniać, ale – Bogu dzięki – zmienia się wolno. Gdyby działa się to z wtorku na środę, nasze porozumienie, komunikacja nie byłyby tak bezproblemowe i oczywiste. Nie chcę nikogo gorszyć, ale faktem jest, że to, co my dziś określamy mianem błędu, ma swoją wewnętrzną językową rację i choć oburzam się podobnie jak większość ludzi z naszego pokolenia na tak zwane błędy, przecież nie mogę nie dostrzegać, z racji swojej profesji, że historia każdego języka jest historią usuwania wyjątków. W luźnej rozmowie, w potocznej mowie mógłbym powiedzieć, że kończymy „tą” rozmowę, ale w oficjalnych wystąpieniach, w tekstach pisanych na pewno musi pojawić się forma „tę”. Jestem przekonany, że gdyby nie czynniki cywilizacyjne, takie jak środki masowego przekazu, internet, dzięki którym zasady gramatyczne zmieniają się znacznie wolniej, forme „tą” byłoby już normą. To jest absolutny wyjątek. Wszystkie zaimki rodzaju żeńskiego: *moja, twoja, nasza, wasza*, które przed stu, dwustu laty miały końcówkę *-ę (moję matkę)*, pod wpływem deklinacji przymiotnikowej przyjęły końcówkę *-ą*. Aby uprościć, mówimy więc dzisiaj: *moją dobrą matkę*.

– **Jesteśmy dosyć tolerancyjni wobec cytowania języka potocznego, nawet w tekstach pisanych...**

– Ta tolerancja nasiliła się po 1989 roku. Przyczyną najważniejszych cech obrazujących zmiany, które zostały wówczas zapoczątkowane, jest bezsprzecznie wpływ czynników zewnętrznych. W dużej mierze elektronika zrewolucjonizowała nasze zachowania komunikacyjne, pojawiły się nowe słowa, początkowo w oryginalnej pisowni, w miarę upływu czasu zadomowiła się ich wersja spolszczona zgodna z rodzimymi wzorcami. Dzisiaj nie piszemy już *computer, e-mail, compact*, ale *komputer, mejl, kompakt, internet*... Trzydzieści lat temu jeszcze nam się to nie śniło. Gdybym natomiast miał przyrzec się zachowaniom gramatyczno-stylistycznym Polaków, to uważam, że najważniejszą cechą polszczyzny po 1989 roku jest potoczność naszych

zachowań oficjalnych, mówiąc żartobliwie – krawat właściwie przestaje obowiązywać...

– **W programie „Słownik polsko@polski” nigdy nie widziałam Pana Profesora bez krawata.**

– Należę do pokolenia, które na wielką uroczystość, do teatru, filharmonii wiąże krawat, dlatego uważam, że jest także konieczny w moim programie telewizyjnym. Proszę jednak zobaczyć, jak dzisiaj wygląda San Remo, Cannes, Oscary... tam już nawet nikomu nie śni się o krawacie, nie mówiąc o tym, że często laureaci wchodzą na estradę w zdeformowanym swetrze czy podartych dżinsach. W sferze języka jest podobnie. Przed paroma tygodniami w prestiżowym piśmie przeczytałem nagłówek szkicu ekonomiczno-socjologicznego: *Zawody dla kobiet, zawody dla facetów*, a w radiu usłyszałem w poważnej audycji, jak równie poważny krytyk literacki mówi: *w tym wierszu facet osiąga niezwykły nastrój*. Po raz tysiąc pięćset sześćdziesiąty szósty dowiedziałem się, że *facet* dla przeciętnego Polaka stał się neutralnym stylistycznie określeniem mężczyzny. W związku z tym mówię sarkastycznie, że jak tak dalej pójdzie, to w kwestionariuszach osobowych w rubryce płeć nie będziemy pisać „K” lub „M”, ale „K” lub „F”.

– **Czuję nutę zdenerwowania, może więc nie będziemy dziś mówić o słowach, które szczególnie drażnią Pana Profesora.**

– Przeciwnie, trzeba korzystać z każdej okazji. Proszę zauważyć, co stało się z czasownikiem *wkurzyć*, który wiadomo czego jest substytutem. Tak przesadnie stary to ja jeszcze nie jestem, ale w rozmowie z kobietą na pewno nie „wkurzę się”, mogę się zdenerwować, zirytować, wpaść w szal, w złość... Tymczasem nawet najelegantsi panowie i najelegantsze panie „wkurzają się” w tekstach oficjalnych. Przytoczę wielce znamienne wydarzenie. Przed kilkunastoma laty umarł wielki polski historyk profesor Aleksander Gieysztor. Pewna gazeta, donosząc o tym smutnym zdarzeniu, poinformowała, że jeden z dziennikarzy zdołał jeszcze przed kilkoma tygodniami odbyć rozmowę z profesorem, którą poniżej zamieszczono. W wywiadzie w pewnym momencie profesor Gieysztor mówi: *lubię bardzo dzieci, lubię bardzo młodzież, ale wkurza mnie, kiedy mi piszą po ścianach Zamku Warszawskiego*... Pomyślałem wówczas, jeśli taki *arbiter elegantiarum* jak profesor Gieysztor „wkurza się”, to może nie należy już dokucać dziennikarzom i przyszedł czas, aby pogodzić się z wprowadze-

niem na salony owego „wkurzania się”. Proszę zgadnąć, co znalazłem w tej gazecie następnego dnia.

– **Sprostowanie i przeprosiny?**

– Ostry protest rodziny, która wyjaśniała, że Profesor nie tylko nie używał tego słowa, ale nawet go nie znał, nigdy więc nie mógł czegoś takiego powiedzieć.

– **Czuje, że nieuchronnie zmierzamy do znacznie drastyczniejszych zwrotów, żywcem przeniesionych z ulicy, które szczególnie Pana irytują. Niestety pojawiają się one już niemal nagminnie nie tylko w gazetach, ale na imprezach kulturalnych, w publicznych wystąpieniach, podczas koncertów muzycznych. Chciałabym jednak, aby to była miła rozmowa, może więc pominąć ten temat, nie chcę denerwować Pana Profesora.**

– Trudno zachować spokój, kiedy po Internecie krążą teksty podpisane moim nazwiskiem, dopuszczające stosowanie wulgaryzmów w mowie i piśmie. To zaczęło się przed wieloma laty, kiedy jedna z gazet poinformowała, że profesor Miodek w „Ojczyźnie polszczyźnie” słowo *zajebiście* uznał za neutralne i dopuścił do codziennego użytku. To było niezwykle irytujące, ponieważ słowo to wyjątkowo mnie drażni i oburza, i to zarówno w warstwie znaczeniowej, jak i fonetycznej. Nie pomogło natychmiastowe sprostowanie w gazecie. Wiem od nauczycieli, że abiturienti, którzy wylądowali na maturze ustnej pytania na temat zmian znaczeniowych czy zmian statusu stylistycznego słów, posługując się przykładem neutralizacji znaczeniowej tego słowa, powoływali się na profesora Miodka. O krążących w Internecie pod moim nazwiskiem „wykładach” też nie jestem w stanie spokojnie mówić.

– **Nieemożliwe, aby ktokolwiek uwierzył, że jest Pan Profesor autorem tych prymitywnych wypowiedzi. Potoczność wdiera się wszędzie...**

– Wkradł się on także do tekstów oficjalnych, jest potwornie natrętny i nadużywany, ale przede wszystkim zabija tę najcudowniejszą cudowność, jaką jest wariantowość, czyli możliwość wyboru. Wyrazy nadużywane czynią język uboższym i monotonnym, bezwiednie odwracają uwagę interlokutora od wypowiedzianych słów, a skupiają ją na ich nadmiarze. Przypominała mi się jedna z rozmów z Bohdanem Tomaszewskim, a często prowadziliśmy sobie pogawarki językowe. Ten znakomity sprawozdawca sportowy ubolewał nad karierą, jaką zrobił czasownik *ograć* w języku osób relacjonujących

wydarzenia sportowe. Nikt już nikogo nie *pokonuje*, nie *zwycięża*, nie *wygrywa* z kimś, ale wszyscy wszystkich *ogrywają*. Po pierwsze jest to potoczność, a po drugie *ograć* nie jest równoznaczne z *wygrać* czy *pokonać*, przeciwnie: sugeruje, że zwycięstwo zostało osiągnięte w sposób nie do końca uczciwy. Chciałoby się złośliwie powiedzieć, że my tak lubimy przekrety, że widzimy je wszędzie, nawet w sporcie. Niedawno sarkastycznie napisałem w jednym z felietonów, że *ogrywaniu* jest w stanie dorównać tylko mocna retoryka typu: *zmiażdżyli ich, zmasakrowali, rozstrzelali*. Wystarczy, że jakaś drużyna wygra dwa mecze z rzędu, by natychmiast pojawiły się nagłówki: *znów rozstrzelali ich, zmasakrowali, zmiażdżyli, skasowali*. W języku nie istnieje pojęcie mody, to jest zarezerwowane dla kroju garderoby, długości krawata, stylu marynarki... Każdy może być modnym, nie jest to jednak żaden przymus. W języku liczy się natomiast poprawność stylistyczna i chcąc osiągnąć ten cel, trzeba być przeciw modzie i nie ulegać bezsensownym nowościom. Czemu na przykład służy natrętne wtrącanie słowa *prawda*, stosowanie nic nie znaczących skrótów czy kończenie zdania przeciągłym *tak*? To bardzo smutne, jeśli człowiek nie panuje nad potokiem swojej wypowiedzi, ulegając krótkotrwałym modom.

– **Nie wszystko, co wkroczyło do naszego języka, zasługuje na krytykę, z zapożyczeń i innowacji językowych czerpiemy także dużo korzyści.**

– Oczywiście, choćbyśmy tu spędzili kilkanaście godzin nie doczeka się pani ode mnie jakiegokolwiek potępienia na przykład *komputera*, *tonera*, *dżojstika*, *skanera* i tak dalej, nie powiem także nic krytycznego na temat *spółek joint venture*, *dilerów*, *marketingów*... ponieważ nie ma zamienników, a żywa, potoczna mowa musi być źródłem pulsującym innowacjami! Jako Polak mogę powiedzieć, że bardzo się cieszę, że po 1989 roku te słowa do polszczyzny weszły, przede wszystkim wypełniły istotną lukę leksykalną, a po drugie są znakiem kulturowego, cywilizacyjnego normalnienia Polski. Irytuje mnie natomiast anglicyzmy, które nie są potrzebne, zastąpiły bowiem słowa, które dotychczas doskonale spełniały swoje funkcje, a w dodatku anglicyzmy owe stają się słowami modnymi. Ludzie już o nic nie *proszą*, o nic się nie *ubiegają*, nie *starają się* o nic, muszą natomiast *aplikować*, mnie to słowo zawsze kojarzy się będzie z nomenklaturą prawniczą, na przykład z aplikacją sądową. Przejrzyste sformułowanie *porządek obrad* wyparła *agenda posiedze-*

*nia, charakteryzację* zastąpił *make up*. Jeśli kupując śruby, czytam, że są one *dedykowane* do jakiegoś tam typu ścian, a pismo z urzędu informuje mnie, że do kontaktów ze mną *dedykowana* została pani XX, to proszę się nie dziwić, że wpadam w złość. To są dosłowne, bezrefleksyjnie przenieszone tłumaczenia. Dzisiaj co trzeci Polak nie używa już w rozmowie odpowiedzi: *tak, owszem, pewnie, oczywiście*, zastępuje je słowem *dokładnie*. *Mickiewicz urodził się w Nowogrodku?* – odpowiedź brzmi: *Dokładnie*. *Jurek się żeni?* – odpowiedź brzmi: *Dokładnie*. Czemu zawdzięczamy ten obrzydliwy nawyk? Bezmyślnemu naśladownictwu języka angielskiego, w którym można przytaknąć za pomocą krótkiego *yes* lub nieco dłuższego *exactly*, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy *dokładnie*.

– **Broni Pan Profesor słów związanych z elektroniką, ale one przenikają także do życia codziennego, na przykład często słyszymy, że ktoś idzie się zresetować, a nie odpocząć.**

– Pierwszy raz usłyszałem to w bardzo dramatycznym momencie, po tragedii w kopalni Halemba, kiedy było już wiadomo, że żaden z górników nie przeżył i ratownicy wyjechali na powierzchnię. Dziennikarz zapytał jednego z nich: *Jak się pan czuje, co będzie pan teraz robił?* Ratownik odpowiedział: *Muszę się teraz zresetować*. Termin informatyczny *resetować*, oznaczający przywrócenie komputerowi programu, został użyty w znaczeniu 'zregenerować się, odpocząć'. Nawet tak *ex definitione* konserwatywna i zachowawcza instytucja, jaką jest Kościół, sięga po te nowinki leksykalno-metaforyzacyjne. *Reset* i *resetowanie* w języku publicystyki, zwłaszcza politycznej, mają już charakter obiegowy. Nikogo nie dziwi zapowiedź, że musimy *zresetować* nasze poglądy na temat czegoś tam. Zapożyczenia z rzeczywistości elektronicznej są coraz częstsze. Tomasz Lis powiedział kiedyś: *Co my tu mówimy o resecie naszej polityki wobec Stanów Zjednoczonych, skoro oni już nam dawno powiedzieli delete*... Te przeniesienia są źródłem nawet pewnej fascynacji, zaczynają mnie jednak drażnić, kiedy są nadużywane. Młodzi ludzie coraz rzadziej mówią *albo tak, albo tak*, zastępując go zdaniem: *to jest sytuacja zero-jedynkowa*.

– **Te przeniesienia z rzeczywistości elektronicznej, informatycznej zaburzą komunikację międzypokoleniową, bywa, że niektóre wypowiedzi są całkowicie niezrozumiałe.**

– Badacze kultury coraz częściej przywołują teorię zderzenia cywilizacji Samuela Huntingтона. Może jego

przewidywania starć na poziomie kulturowym pomiędzy cywilizacjami zaczynają się konkretyzować w postaci podziału ludzkości na tych, którzy tkwią w rzeczywistości elektronicznej, i tych, którzy poruszają się w niej bezradnie. Kiedy wypowiadam się o częstych zachowaniach młodych, posługuję się formułą, że to zachowanie jest nie tylko smutno-groteskowe, ale właściwie świadczy o wypadnięciu z kodu kulturowego. Znow musimy wrócić do zjawiska mody językowej. Zachłyśnięcie się angielszczyzną, jakbyśmy chcieli nadrobić stracony czas, wkroczyło także w sferę fonetyczną, wszystko zaczyna się anglicyzować.

– **Może to jednak tylko chwilowe zauroczenie.**

– Mogę zrozumieć, że na najpopularniejszego medialnie piłkarza angielskiego Davida Beckhama wszyscy dziś mówią *Dejwid* Beckham, ale jeśli sprawozdawca sportowy, relacjonując przebieg jakiegoś biegu narciarskiego, w którym zwycięzca osiągnął miażdżącą przewagę nad resztą zawodników, mówi, że nie ma czego komentować, bo to była walka *Dejwida* z Goliatem – to świadczy o wypadnięciu z kodu kulturowego. Inny przykład: nie tak dawno siedząca na pani miejscu studentka podczas egzaminu porównania *silny jak*... Moje podpowiedzi – najpierw gesty imitujące rogi, później podsuniecie jej skojarzenia z „Bartkiem”, najstarszym drzewem w Polsce – nie przyniosły jednak rezultatów. Wreszcie po długim namyśle pada odpowiedź: *Panie profesorze, będę szczerą – silny jak Pudzian*. W skojarzeniach nie pojawił się ani *tur*, ani *dqb*. Studentka, dziecko masowej współczesnej wyobraźni internetowej, ma skojarzenie tylko z naszym siłaczem Mariuszem Pudzianowskim. O czym to świadczy? O wypadnięciu z kodu kulturowego.

– **Środki masowego przekazu nie są podstawowym ogniwem edukacyjnym, może należałoby szukać przyczyny tego stanu na poziomie programów szkolnych?**

– Pewnie tak. Jeden z moich kolegów, profesor literatury staropolskiej, powiedział mi przed paroma dniami, że jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy rzucił hasło „*Iliada*”, reakcją był właściwy odzew na sali. Nieco później, gdy musiał dopowiadać „*Iliada* Homera”, jeszcze było niezłe. Dzisiaj mówi „*Iliada* Homera”, dodaje „*starożytna Grecja*” i nadal po drugiej stronie jest cisza. To wszystko jest efektem niekończącej się fali reformy edukacyjnej, a mieliśmy taki poziom kursu kulturowo-historyczno-literackiego, którego zazdrościli

nam Niemcy, Francuzi, Amerykanie. Dzisiejsze programy pozbawione są kontekstu historycznego, kulturowego, a zabójcza moda na wszechobecne testy nie sprzyja wszechstronnemu wykształceniu.

– Pozwolę sobie zacytować słowa Pana Profesora: *Mowa śląska to jest piękna skamielina staropolska. Skamielina ciągle żyjąca, która pozwoliła Aleksandrowi Brücknerowi powiedzieć, że to jest mowa Rejów i Kochanowskich...*

– Powtórzyłem to za Brücknerem i za innymi historykami języka. Rzeczywiście to jest ogólniejęzykowa prawidłowość, że to, co jest na krańcach danego obszaru językowego, jest z natury archaiczne, zbliżone do stanów dawnych języka. Śląsk formalnie został odłączony od Polski w XIV wieku i właśnie dlatego zakonserwowała się tam staropolszczyzna w stanie, można powiedzieć, nienaruszonym...

– **Pisze Pan Profesor o tym niemal w każdym felietonie w „Śląsku”. Nasi czytelnicy od blisko 20 lat, czyli od początku istnienia miesięcznika wypatrują „Śląskiej ojczyzny polszczyzny”. Jesteśmy ogromnie wdzięczni za te cenne comiesięczne lekcje.**

– W tej rubryce staram się o to, aby ludzie usładowili sobie, że śląszczyzna jest mową naszych przodków. W ubiegłym roku we wrześniu poświęciłem swój felieton dydaktycznym walorom śląskich gwar, ponieważ wciąż zdumiewa mnie, dlaczego w programie języka polskiego nie ma miejsca na eksponowanie wyjątkowej archaiczności tej regionalnej odmiany języka. Dziś z perspektywy moich kilkudziesięciu lat człowieka uczącego się i uczącego innych nie mogę zrozumieć, dlaczego w tak nikłym stopniu sięga się do gwary. Uczeń ma prawo zdumiewać się, dlaczego jest rz i „ż z kropką”. A wystarczy, aby wsłuchał się w mowę w swoich rodzinnych domach, dostrzegłby wówczas bez trudu, że mówią oni *grziby, prziszedł, przijechał, trzi...* Podobnie jest z u i z „o z kreską”. Ślązacy mówią *Barborka, moj, gora* dziwić się więc pozostaje, że nauczyciele nie wykorzystują tej pomocy dydaktycznej, jaką jest mowa śląska. Niejedno zjawisko zakute w obowiązujące normy stałoby się przejrzyste, ale przede wszystkim zrozumiałe. Myśląc



Fot. Zbigniew Sawicz

Nie wyobrażam sobie roku kalendarzowego bez „Po naszymu, czyli po śląsku” Marii Pańczyk

o naszym dzisiejszym spotkaniu, przypomniałem sobie pewne zdarzenie z zajęć z przysposobienia wojskowego. Jeden z moich kolegów, otrzymawszy pytanie na temat współdziałania części przy oddawaniu strzału, powiedział: *Kiedy pociągam za cyngiel...* nie zdążył dokończyć i usłyszał: *„Siadaj, dwója”*. Dostał dwie, ponieważ powiedział *cyngiel*, a miał powiedzieć *spust, język spustowy*. Pikanterii temu dodaje fakt, że ów nauczyciel, kiedy przeszedł na emeryturę, wyjechał na stałe do Niemiec. *Cyngiel* to rzeczywiście germanizm, ale wrośnięty w polszczyznę tak jak *rynek, ganek, rynna...* Zamiast więc wygrywać ze śląskiej gwary wszystko to, co jest w niej instruktywne, wyśmiewano ją, tępiono, tropiono germanizmy.

– **Na temat gwary śląskiej toczą się wciąż pełne emocji dyskusje w kręgach polityków, językoznawców, historyków, socjologów... Mowie śląskiej to nie przeszkadza, wciąż ma się dobrze.**

– Szczególnie widać to na przykładzie Górnego Śląska, gdzie nobiletuję ją wiele imprez i konkursów. Wystarczy wspomnieć „Po naszymu, czyli po śląsku” Marii Pańczyk, którzy od dwudziestu pięciu lat sławi bogactwo, ale zarazem i różnorodność gwary. Nie wyobrażam sobie roku kalendarzowego bez tego listopadowego spotkania w Zabrze czy Katowicach...

– **Nasz miesięcznik „Śląsk” obchodzi w tym roku dwudziestolecie. To czas sprzyjający refleksji. Niestety coraz częściej słyszymy, że wydania papierowe muszą ustąpić miejsce elektronicznemu. Czy Pan Profesor też tak sądzi?**

– Moje czytanie informacji elektronicznych kończy się na nagłówku. Muszę przyznać, że nie przeczytałem jeszcze ani ćwierci strony książki ani gazety elektronicznej. Czytam tylko książki i gazety papierowe.

– **Może jednak to skończy się na naszym pokoleniu?**

– Nie wykluczam, że tak będzie. Dane o czytelnictwie nie tylko w Polsce, ale w Europie i jeszcze dalej świadczą o tym, że już dzisiejsi trzydziestolatkowie sporadycznie sięgają do książek i gazet papierowych, studenci polonistyki nie wstydzą się przyznać, że w ogóle nie czytają gazet i można by na tym obrazie poprzestać, ale... jak powiedział kiedyś Umberto Eco, że w domu zawsze musi być świeczka, ponieważ prądu może zabraknąć

i konieczna jest ta żelazna rezerwa. Czy tak trudno sobie wyobrazić, że znajdzie się kiedyś jakiś szaleniec, który zburzy cały system informatyczny? I co wtedy? Cały dorobek twórczy przestanie istnieć? Dlatego żywot książki nie jest zagrożony. W wywiadzie rzece Umberto Eco nie ma wątpliwości: one nie znikną. Czy przetrwają gazety, tego nie wiem, ale nie wyobrażam sobie na przykład Katowic bez waszego, naszego „Śląska”, tak jak nie wyobrażam sobie Wrocławia bez „Odry”. W moim życiorysie te dwa Śląski cudownie się dopełniają, urodziłem się i wychowałem na Górnym, od ponad pięćdziesięciu lat jestem na Dolnym, a w środku mam jeszcze swoją ukochaną Opolszczyznę. Podobnie w sferze kulturowej komponują się „Śląsk i „Odra” – dwa najważniejsze i najlepsze miesięczniki społeczno-literacko-kulturalne w Polsce.

– **Może na koniec ma Pan Profesor jakieś życzenia pod adresem dziennikarzy.**

– Żeby przestali we wszystkim doszukiwać się sensacji, żeby odeszli od hiperbol leksykalnych, zachowywali stylizacyjny złoty środek, który jest gwarancją powodzenia i sukcesu. Tym, co mnie w dzisiejszym świecie dziennikarskim najbardziej teraz irytuje, jest chęć przyciągnięcia czytelnika słowem epatującym, słowem sensacyjnym.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Wyrazem najbardziej bezpośredniego związku Śląska z muzyką skandynawską była dla mnie – we wczesnej młodości – twórczość nieodżałowanej pamięci Ryszarda Riedla i Jana „Kyksa” Skrzeka, którzy często bez oporu, a nawet z powodzeniem, śpiewali „po norwesku”, co w żargonie rockowym oznacza ni mniej ni więcej, a udawany angielski. – Słuchając ich, nie dość, że nie miało się poczucia dyskomfortu, to jeszcze nabierało się przekonania, że oni naprawdę czują bluesa, choć to oczywiście była mało norweska muzyka.

# Legenda o siedmiu marzeniach

JACEK KUREK

(słowa do muzyki nordyckiej)

*Dobrzy ludzie, jeśli laska,  
Nie dziwcie się zbytnio temu,  
Żem w dzieciństwie śpiewał wiele.*  
Kalevala

## Sibelius i ABBA

Było to w tym samym czasie, w którym muzyka nordycka sprowadzała się w mojej świadomości do raptem trzech nazwisk, z których dwa miały polskie konotacje. Twórcę narodowego stylu norweskiego, Norwega o szkockim rodowodzie – Edvarda Griega – przedstawiano mi jako „Chopina Północy”, z kolei jego rodak, saksofonista Jan Garbarek, ma polskie korzenie, o czym świadczy samo nazwisko artysty. Tym trzecim był Jean Sibelius, najbardziej wtedy nordycki i tajemniczy, a także – jak na północne krainy przystało – mroczny. Ten piewca Finlandii i wolnomularz urodził się jednakowoż w rodzinie szwedzkojęzycznej. A skoro już o Szwecji mowa, oczywiście nie mogłem w dzieciństwie nie słyszeć o zespole ABBA. Musiało jednak upłynąć bardzo wiele lat, by stało się dla mnie (zawziętego wszak wtedy miłośnika rocka progresywnego i jazzu) oczywiste, że ta muzyka w sam raz dla moich rodziców tworzona była przez rzeczywistych mistrzów zgrabnej, kunsztownej piosenki, a harmonie wokalne grupy miały istic beatlesowski (tu także myślę o kunszcie) rodowód i sięgały – dzisiaj już nieomal niedostępnych w mu-

zyce pop – wyżyn... Ale wróćmy do istoty rzeczy...

## Epos Kalevala

stał się dla Sibeliusa źródłem niewyczerpanych inspiracji muzycznych. Komponował, wyznając miłość ojczyźnie, choć zarazem tej, która miłością tą go zaraziła. Z przyszłą żoną Ainolą korespondował z Wiednia, pisząc po szwedzku, ona odpisywała po fińsku. Czyż nie śląskie to bar-dzo...?

Sibeliusa uznano za twórcę narodowego stylu fińskiego. A jego dziesięciominutowy, pochodzący z 1899 roku, poemat *Finlandia* przyczynił się do budzenia wśród Finów patriotyzmu, co z kolei spowodowało, że Rosjanie bardziej jeszcze postanowili przyłożyć się do rusyfikacji tego skrawka imperium. Taki był to zresztą czas w ówczesnej Europie Wagnera, Czajkowskiego, Čiurlionisa, Verdiego... W tym roku minie 150 lat od urodzin twórcy *Karelii*. Tę samą rocznicę obchodziej będą Duńczycy wciąż pamiętający o Carlu A. Nielse-nie. Ten jednak poza Danią popularności większej nie zyskał.

*Kalevala* to także inspiracja dla wielu fińskich zespołów rockowych. Jeden z nich od tytułu poematu przyjął nazwę. To

wciąż bijące źródło motywów dla skandynawskiej muzyki jazzowej i jazzrockowej (czego przykładem chociażby twórczość Edwarda Vesali, swego czasu członka Kalevali), a po latach zwłaszcza metalowej – co słychać w twórczości licznych wykonawców od Amorphis po Nightwish. Nawet w Moskwie, gdzie, jak widać, fińskie sentymenty nie wygasają, w 2007 roku, powstał folkowo-metalowy zespół o nazwie Kalevala.

Scena rockowa, jazzrockowa i folkrockowa w krajach nordyckich od schyłku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku imponuje nie tylko liczbą wykonawców, ale przede wszystkim muzycznymi horyzontami. W Finlandii działały: Tasavallan Presidentti (i solowo jej lider Jukka Tolonen), Wigwam (i świetni związani z nim Pekka Pohjola oraz Brytyjczyk Jim Pembroke), Elonkorkuu, Apollo (ze wspomnianym Edwardem Vesalą). W Danii: Thor's Hammer, Culpeper's Orchard, Hurdy Gurdy, Pan, The Old Man & The Sea, Midnight Sun, Beefeaters, Ache. W Norwegii: Popol Ace, Junipher Greene, Aunt Mary, Ruphus. W Szwecji: Bo Hansson (chętnie sięgający do prozy Tolkiena), Dice (zespół o takiej nazwie działał też w Niemczech Zachodnich), Arbete & Fritid, Made In Sweden, Algarnas Tradgard, Panta Rhei, Kaipa, Contact, a przede wszystkim fenomenalna, awangardowa i wirtuozowska Zamla Mammaz Manna (vel Zamla, vel von Zamla, vel Samla Mamas Manna itd.) czy spokrewniona z nią Ramlösa Kvällär. Z dwoma ostatnimi związany był wirtuoz akordeonu, ale też multiinstrumentalista, wybitny muzyk Lars Hollmer. Tu też interesujące albumy nagrywała formacja Kebnekaise. Nazwę wzięła od najwyższej w kraju góry. Z Islandii, która dziś wydaje z siebie dziesiątki zespołów i solistów oraz wprost kreuje nowe stylistyki postrocka spod znaku Ólafura Arnaldsa, Sigur Rós, Múm czy Of Monster and Man, wtedy pochodził na przykład bardziej klasycznie rockowy Trúbrot. A przecież to tylko przykłady...

Gros z wymienionych wykonawców z krajów nordyckich gustowało od schyłku lat sześćdziesiątych w estetykach typowych dla różnych ówczesnych odmian anglosaskiego rocka czy nawet bluesa. Wiele jednak w sposób fascynujący i konsekwentny łączyła tę muzykę z lokalną tradycją, co mimo usilnych prób, ba... przy błogosławieństwie oficjalnych czynników rządowych, nie udawało się



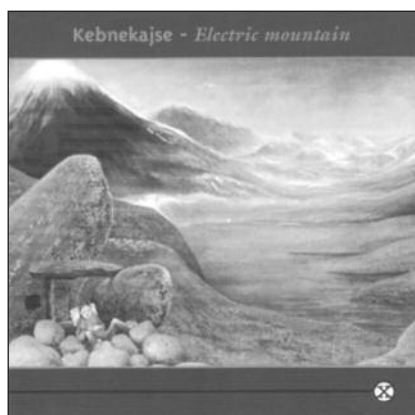


prawie w ogóle w ówczesnej Polsce, może z pominięciem twórczości Skaldów (*nomen omen* nazwa oznaczająca bardów dawnej Skandynawii). Idiom północnoeuropejskiego folkloru i tradycji został przez Skandynawów (podobnie jak było to na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w Wielkiej Brytanii) perfekcyjnie i na najrozmaitsze sposoby wyzyskany, co ciekawe – nie tylko w rocku progresywnym czy folk-rocku, ale też w muzyce awangardowej, eksperymentalnej, niejednokrotnie oryginalnej i wysoce wyrafinowanej.

### Rock od Knuta Hamsuna do Witolda Pileckiego

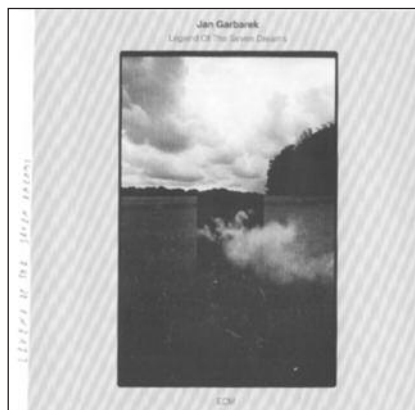
Współczesna muzyka zespołów z szeroko pojętego kręgu heavy metalu odwołuje się zarówno do dzieł o charakterze epickim, jak i do prostych, nieraz nasyconych przewrotnym poczuciem humoru (o który dość stereotypowo Skandynawów się raczej nie podejrzewa). Najchętniej czerpią z tradycji przedchrześcijańskich i penetrują okultyistyczne przestrzenie, a zwłaszcza tak bliska rockowi pierwotność, spontaniczność, prostotę i dziką energię, co ilustruje chociażby twórczość fińskich zespołów, Ensiferum, Finntroll czy Korpiklani, którego lider Jonne Järvelä śpiewał we wcześniejszych etapach twórczości w języku sami. Ta muzyka dystansuje się od filozofii narodów, skupiając na plemienności i sprzyja upowszechnianiu lokalnych mitologii. Ale ów folk ma też formę bardziej wyrafinowaną, progresywną, jak na przykład w przypadku szwedzkiego zespołu Ritual, który rockową ekspresję łączy z zastosowaniem takich instrumentów, jak buzuki, mandolina czy nieprzebrana wprost mnogość instrumentów perkusyjnych. Powstają też płyty tak literacko bogate, jak *Det Vilde Kor* zespołu Lumsk, do – jak sam tytuł wskazuje – poezji Knuta Hamsuna.

Przemozne jest ciążenie nordyckiego metalu do podniosłych epickości, czego przejawem jest muzyka popularnego zespołu Therion. Grupa ta powstała w 1987 roku. Jej twórczość wyrasta z death metalu, dziś jednak łączy metal z muzyką progresywną, folkową, klasyczną, zamieniając koncerty w efektowne operowe widowiska z udziałem chórów i mając w składzie wykształcone sopranistki. Założyciel grupy, Christofer Johnsson, interesuje się okultyzmem i różnymi odmianami mito-



logii. Teksty Therionu pisane są w wielu językach, między innymi w starogreckim, hebrajskim, łacińskim, akadyjskim, enochiańskim... Nieograniczona wprost inwencja i brak lęku przed podjęciem jakiegokolwiek artystycznego ryzyka pozwoliła zespołowi nagrać nawet płytę z popularnymi piosenkami francuskimi *Les Fleurs Du Mal* (2012). Od death metalu rozpoczęła się twórczość jednego z najbardziej kreatywnych zespołów we współczesnym rocku, szwedzkiej grupy Opeth, dziś zdecydowanie mniej metalowej, za to znakomicie tworząc rock progresywny o dużym potencjale melodycznym i wirtuozowskich inklinacjach. Ta muzyka zdaje się wprost ucieleśniać nostalgię północy...

Z klasyki wyrósł metalowy fenomen oryginalnej fińskiej formacji Apocalyptica, która na pierwszych płytach prezentowała metalowy repertuar zespołów takich, jak Metallica, Pantera, Sepultura i początkowo składała się jedynie z czterech wiolonczelistów. W jej dorobku szczególnie miejsce mają utwory Edvarda Griega *Hall of the Mountain King* czy wariacje wagnerowskie. Zespołem, który również rozpoczął działalność muzyczną od grania coverów, lecz w niedługim czasie wybił się na godną uwagi i podziwu niepodległość, jest powstały



w 1994 roku prezentujący delikatną odmianę rocka progresywnego Airbag. Do klasyki i tolkienowskich motywów odwołuje się chętnie Pär Lindh. Czołówkę progresywnego rocka stanowi norweski zespół o hiszpańskiej nazwie Gazpacho czy szwedzki The Flower Kings. Z aury północnych wierzeń, barw nieba, ducha, nastrojów wyrasta erudycyjna muzyka norweskiej grupy Ulver, która zaczynała od black metalu wzbogaconego wątkami folkowymi, by przekształcić się w zespół sięgający do wielu źródeł muzycznych, w tym czasów psychodelii anglosaskiej końca lat sześćdziesiątych (znakomity album *Childhood's End* z 2012 r.) i elektroniki. Druga płyta Ulvera *Kveldssanger* (1995) była pierwszym wydawnictwem zespołu metalowego nagrany z udziałem wyłącznie akustycznych instrumentów, a teksty śpiewano w języku staroduńskim. Album *Themes From William Blake's The Marriage Of Heaven And Hell* (1998) stanowił muzyczną wizję dzieła Blake'a. Szwedzki, pochodzący z Falun, Sabaton z płyty na płytę opowiada nie tylko skandynawskie historie, które trafiają do wyobraźni uczniów bardziej niż wszelkie najstarsze nawet rekonstrukcje. W 2010 roku grupa wydała album *Coat Of Arms* z utworem *Uprising* poświęconym Powstaniu Warszawskiemu. Przez 28 tygodni służyć go było można na Liście Przebojów Programu Trzeciego. Płyta otrzymała w Polsce status złotej, podobnie zresztą jak następne *Carolus Rex* (2012) i *Heroes* (2014). Zespół otrzymał od ministra obrony narodowej, Tomasza Siemioniaka, pamiątkowe oficerskie kordziki. Wspomniany album *Heroes* przywołuje między innymi pamięć Witolda Pileckiego, Franza Stiglera czy Karela Janouška. Wcześniej niż Sabaton, bo w 2004 roku, blackmetalowy zespół Marduk wydał album *Plague Angel* z poświęconym powstaniu utworem *Warschau*.

### Czarniejszy odcień czerni

Alsą także najbardziej mrocz-  
ne wątki współczesnej muzyki skandynawskiej, ściślej – norweskiego black metalu. To muzyka, której ciemna energia stała się tematem licznych studiów socjologicznych i religioznawczych. Pochwała zła i rozkwit satanizmu znalazły szczególnie żywną glebę w Norwegii, w kraju, w którym przez lata nawet

kreskówki poddawane były cenzurze ze względu na stopień agresji, a filmy dotyczące uczuć religijnych – zakazywane. W Szwecji żartowano, że *Żywot Briana* w reżyserii Terry'ego Jonesa z 1979 roku jest tak zabawny, że zakazano go oglądać w Norwegii. Ów stanowczy odpór dawany przemocy, sterylna higiena życia społecznego nie zapobiegły, a jak mówi wielu naukowców – wręcz sprzyjały, erupcji przemocy na niespotykaną wcześniej w muzyce rockowej skalę. Fenomen norweskiego black metalu ostatnich dwóch dekad XX wieku porusza do dziś wyobraźnię i mnoży pytania o kondycję cywilizacyjną i granice sztuki. A na nie niełatwo znaleźć kompletne odpowiedzi. Jako gatunek nasycony satanistycznymi i antychrześcijańskimi treściami często, podobnie jak w przypadku szwedzkiego zespołu Bathory, ewoluował ku wątkom pogańskim. Image Kinga Diamonda z duńskiej grupy Mercyful Fate przejęty został przez inne zespoły blackmetalowe. To tzw. *corpse paint*, czarno-biały makijaż (w gruncie rzeczy początki tej scenicznej kreacji sięgają czasów popularności zespołu Kiss i Alice'a Coopera.). W Norwegii w latach 1992–1996 pięćdziesiąt razy podpalano kościoły. Z zamiłowania do tego słynął Varg Vikernes twórca projektu muzycznego Burzum (nazwa pochodzi z Tolkienowskiego wiersza o Pierścieniach Władzy i oznacza ciemność), działający w zespołach Mayhem, Old Funeral i Darkthrone. Okładka wydane go w 1993 roku minialbumu tej ostatniej grupy zatytułowanego *Aske (Popioły)* przedstawia spalony przez Vikernesa kościół Fantoft w Bergen. Muzyk ten zamordował Øysteina „Euronymousa” Aarsetha, gitarzystę grupy Mayhem i zarazem właściciela sklepu muzycznego o nazwie Helvete (piekło) w Oslo. Skazany na dwadzieścia jeden lat więzienia wyszedł w roku 2009 po szesnastu. Zespół Mayhem w 1995 roku wydał płytę *Dawn Of The Black Hearts*, a na jej okładce było zdjęcie Deada (Per Yngve Ohlin) z zespołu Morbid, a potem Mayhem. Zdjęcie przedstawia ciało muzyka po dokonaniu 8 kwietnia 1991 roku samobójstwa. W 1994 roku trzech muzyków blackmetalowego zespołu Emperor skazano na więzienie za liczne wymierzone w chrześcijaństwo i porządek społeczny przestępstwa. Współzałożyciel grupy i jej perkusista Bård „Faust” Eithun odbył karę dziesięciu lat więzienia z zasądzonych czternastu. Gaahl (Kristian Eivind Espedal) z zespołu Gor-



goroth (jałowa kraina w północno-zachodniej części Mordoru) nadal i wprost nawołuje do dalszych podpałek i wyeliminowania religii chrześcijańskiej. Pojawiła się także odmiana black metalu bez zażenowania promującą nazizm.

### Góry Norwegii, Wasza Wysokość...

**Jest** w dzisiejszych krajach nordyckich także, powiedziałbym wręcz, przede wszystkim przestrzeń na muzykę jazzową o wyjątkowo oryginalnym charakterze i graną z niebywałą swobodą. Jazz przedzierzga się w muzykę przepelnioną poezją, krajobrazem, urokiem zakątków, z których pochodzi. Łączy się w subtelnych melanżach z klasyką. Malowany delikatnymi kreskami przynosi wytchnienie, zbliża do natury, pobudza wyobraźnię, ilustruje marzenia. Przesycony konkretnym darem miejsca rozwija się bez kompleksów – w wolności – ku formom, których nie trzeba klasyfikować, porządkować, ograniczać. Wybrzmiewa krystalicznym pejzażem północy (*Legend Of The Seven Dreams* Jana Garbarka z 1988 roku) czy też jego miękka, atlasową ciszą (płyty Lasa Danielssona). Co nie bez znaczenia często tworzony jest przez artystów mających sowite wsparcie z budżetu państwa...

I przeczesywać można tę muzykę skandynawską i poszukiwać w niej



wątków, które ją powołały do życia, które zachwyciły jej twórców. Ale też ona sama stała się źródłem inspiracji dla artystów z południowej, cieplejszej, strony Bałtyku. Znamienne zresztą, że wątek polski powraca na tych kartach nie raz... Dość wspomnieć, że na płycie Krzysztofa Komedy *Astigmatic* z 1966 roku, którą założyciel wytwórni płytowej ECM Manfred Eicher uznał za jedną z najbardziej przełomowych płyt w historii jazzu, grał Szwed Rune Carlsson, a na jednej z ostatnich płyt Tomasza Stańki (który w tworzeniu płyty *Astigmatic* również miał swój udział) *Dark Eyes* (2009) można usłyszeć instrumentalny kunszt Skandynawów. Na marginesie skandynawsko-polskie formacje spotkać można nie tylko w jazzie, czego przyładem skład zespołu Czesława Mozila czy grupy De Press.

Czy będzie to muzyka Jana Garbarka łączącego dźwięk swojego instrumentu z głosami The Hilliard Ensemble, czy trio rockowo-jazzowo-folkowe Lumen Drones albo Terje Rypdal czy zespoły Torda Gustavsen. Wszyscy ci wykonawcy nagrywają dla niemieckiej wytwórni ECM, podobnie, jak urodzona w Nowym Jorku, a mieszkająca w Danii perkusistka i tancerka, wokalistka oraz pianistka o polsko-afrykańskich korzeniach Marilyn Mazur. Jej pochodzenie – o czym nie bez dumy powinniśmy pamiętać – podobnie jak rodowód Jana Garbarka świadczą dobitnie o pokrewieństwie polskiego i nordyckiego jazzu. Są i inni: Lars Danielsson, Bobo Stenson czy z młodszych Kenneth Dahl Knudsen... Ta muzyka wychodzi na spotkanie rozmaitych inności. Płyta Petteera Udlanda Johansena z Arianne Savall *Hirundo Maris* z roku 2012 ma też wiele mówiący podtytuł *Chants du Sud et du Nord*.

Nils Okland (skrzypce) i Sigbjørn Apeland (fortepian) pojechali na Wyspę Światła, gdzie lato zwykł spędzać dziewiętnastowieczny kompozytor norweski i fenomenalny skrzypek Ole Bull. Tam nagrali płytę *Lysøen. Hommage à Ole Bull*. W tym roku upłynęło 205 lat od urodzin i minie 135 lat od śmierci artysty. W mieście rodzinnym Bulla powstał dzięki niemu pierwszy w Norwegii teatr. A gdy pewnego razu zachwycony muzyką kompozytora król zapytał, kto był jego mistrzem, ten odpowiedział: „Góry Norwegii, Wasza Wysokość”, niejako definiując tym samym istotę nordyckiej muzyki...

## • Strajk i gumowe kule

W połowie lutego 2015 roku zakończył się dramatyczny strajk w kopalniach Jastrzębskiej Spółki Węglowej. Przed siedzibą notowanej na giełdzie firmy doszło do starcia policji i demonstrantów. Funkcjonariusze użyli broni gładkolufowej a demonstranci – płyt chodnikowych. Ten niebezpieczny incydent, na szczęście odosobniony, pokazał jak łatwo sytuacja strajkowa wymyka się spod kontroli, obu zresztą stron. Jestem głęboko przekonany, że zdarzenia w Jastrzębiu to porażka wszystkich aktorów konfliktu i przy okazji polskich podatników. Przegrała Spółka, bo poniosła wielomilionowe straty, przegrał zarząd, bo jego prezes musiał pod presją opuścić stanowisko, przegrali związkowcy, bo sytuacja ich firmy uległa pogorszeniu, przegrała wreszcie społeczność lokalna skazana na kilka jeszcze dekad na fedrunek węgla, bo kopalnie dobrodziejki przestały być pewnym źródłem zarobkowania.

## • Plany, plany i strategie

Zdarzenia w Jastrzębiu miały jednak i pozytywne konsekwencje. Oto bowiem, zabiegający o reelekcję, prezydent Bronisław Komorowski zgłosił program rozwojowy dla Śląska, nazywany nawet przesadnie przez niektórych komentatorów i dziennikarzy, w tym także prasy warszawskiej, megapakietem. W pierwszej kolejności warto może przypomnieć, że historyczny Śląsk rozciąga się, *grosso modo*, od niemieckiego Görlitz, poprzez Legnicę, Wrocław, Opole, Bytom, Katowice, aż do czeskiego Krnova, Opawy i w końcu Cieszyna. Przygotowanie spójnego projektu strategii dla tak zróżnicowanego gospodarstwa, społecznie i kulturowo obszaru miałyby jedynie sens symboliczny, wskazujący na potrzebę restytucji regionu w jego historycznym kształcie. Z całą pewnością warto o takich działaniach myśleć, ale w pierwszej kolejności koncentrować się na rzeczywistych problemach czytelnich jednostek administracyjnych, czyli województw, w tym również województwa śląskiego.

## • Pożegnanie przemysłu?

Blisko piętnaście lat temu zrealizowano w Katowicach rozległe badania socjologiczne dotyczące przyszłości miasta i jego mieszkańców. Jakież było zdziwienie kiedy okazało się, że katowiczanie, ceniąc niezwykle pracę górnika, hutnika czy metalowca, szanując obecność kopalni i zakładów przemysłu ciężkiego, zażądali od lokalnych władz zwrotu strategicznego. Uznali bowiem, że stołeczne miasta województwa winno być w pierwszej kolejności cenionym ośrodkiem kultury, o zróżnicowanej ofercie w tym zakresie. Sen o kulturalnej potęg-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI  
Notatnik  
spóźnionego przybysza

# Region na strategicznym rozdrożu

dze powoli się ziszcza, zważywszy na kolejne oddawane do użytku obiekty, o światowym przecież standardzie, takie choćby jak sale orkiestry symfonicznej (NOSPR), czy obiekty Muzeum Śląskiego. Ale tylko lekkoduch może zakładać, że społeczność regionalna żyć i sycić się będzie wyłącznie samą kulturą i kolejnymi – jak to się dzisiaj określa – *eventami*.

## • Życ, a później filozofować

W województwie śląskim konieczny jest szeroki proces ponownej industrializacji, opartej jednak na najnowocześniejszych technologiach, angażujących wykształcone umysły i tworzących inteligentne miejsca pracy. Region, a w tym wszystkie bez wyjątku jego miasta, choć w różnej skali, odczuwa kryzys demograficzny i powoli się wyludnia. Jednym z powodów depopulacji jest brak dostatecznie rozbudowanego rynku pracy. To prawda, że Katowice, Bielsko-Biała czy Tychy mają niski poziom bezrobocia, ale wskaźnik ten nie może być swoistym alibi do zaniechania prac nad budową nowych miejsc pracy w regionie. Symbolem sukcesu, w tym

zakresie, jest z całą pewnością Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna. Ale to wciąż za mało jak na region liczący blisko 5 milionów mieszkańców. Nadal bowiem bez trudu wymieniać można powiaty, w których bezrobocie dotyka co piątego mieszkańca. A to w bogatym przecież województwie powód do zawstydzenia i zakłopotania.

## • Niepoprawni marzyciele

Wszystkie regiony przemysłowe ulokowane w Unii Europejskiej przeszły długotrwały, trudny i bolesny proces przebudowy gospodarczej. Od blisko ćwierćwiecza staje się on udziałem Górnego Śląska, a precyzyjniej rzecz ujmując najpierw województwa katowickiego, a po reformie administracyjnej z 1999 roku – województwa śląskiego. Symboliczne branże regionu, górnictwo i hutnictwo, kurczą się zarówno pod względem zatrudnienia, jak i liczby firm. To proces nieuchronny, niezrozumiały jednak dla marzycieli przemysłowych rodem z dziewiętnastego stulecia. Owszem, nowe kopalnie można w województwie budować, ale tylko wtedy gdy poprzedzi je solidny rachunek ekonomiczny, ekologiczny i społeczny. Przypadku kopalni Cieczott ze źle oszacowanymi zasobami węgla nie można już bezkarnie powtarzać. Trzeba też porzucić przekonanie, że górnictwo stanowić będzie podstawę regionalnego dobrobytu i stanowić o cywilizacyjnym awansie mieszkańców.

## • Sektor trzeci i jego aktorzy

Głównym jednak, obok nowych firm przemysłowych, jest, i przez następne lata będzie, trzeci sektor gospodarczy, czyli usługi. I te nowoczesne, świadczone sieciowo, i te tradycyjne, analogowe, oferowane bezpośrednio, personalnie. Trzeba się pogodzić z tym, że w minionych latach frekwencyjną stolicą regionu nie były nobliwe sale teatralne, operowe, symfoniczne, ale przestrzeń Silesia City Center. Progi tego handlowego monstrum przekroczyło bowiem w roku minionym blisko 14 milionów osób. To rekord nie do pobicia. Jest jednak niemal pewne, że tego typu świątynie konsumpcji tracić będą na znaczeniu, a wraz z rosnącą zamożnością mieszkańców górę nad wartościami materialnymi, licznymi w złotychkach, wezmą wartości postmaterialistyczne, jak się je nazywa w nieznośnym żargonie naukowym. Chodzi tutaj o szacunek wobec przyrody, wrażliwość ekologiczną, szacunek dla braci mniejszych czy społeczne zaufanie wobec współrodaków. Ale wszystko wskazuje na to, że taki zwrot poprzedzony być musi zdecydowanie pełniejszym portfelem mieszkańców województwa.

Między teraźniejszością  
i wyzwaniem przyszłości

# O polonistyce w Szwecji

Z prof. dr hab. EWA TEODOROWICZ-HELLMAN  
rozmawia GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

STOCKHOLM SLAVIC PAPERS

17

Maria Juda  
Ewa Teodorowicz-Hellman  
in cooperation with  
Ragnhild Lundgren

POLONIKA W BIBLIOTECE KATEDRALNEJ  
W STRÄNGNÄS

THE POLONICA IN THE LIBRARY  
OF STRÄNGNÄS CATHEDRAL



Stockholm University  
Department of Slavic Languages and Literatures

– Była pani przez wiele lat kierownikiem studiów polonistycznych oraz profesorem polonistyki w Instytucie Języków i Literatur Słowiańskich Uniwersytetu Sztokholmskiego. Jakie były początki filologii polskiej w Szwecji?

– Może warto wspomnieć o tym, że język polski był pierwszym językiem słowiańskim nauczonym w Instytucie Sławistyki ówczesnej Szkoły Wyższej w Sztokholmie. Pierwsze nieregularnie odbywane zajęcia z języka polskiego odbywały się już w roku 1934, regularnie od 1944 roku, zaś pierwszy lektorat języka polskiego utworzono w roku 1952. Pierwszym lektorem był Zbigniew Folejewski, który został potem profesorem w USA, później był nim Józef Trypućko, który z czasem przeniósł się do Uppsali i otrzymał tam profesurę. W następnych latach przyjeżdżali lektorzy z Polski dzieląc obowiązki dydaktyczne między Uppsalą a Sztokholmem. Pierwszy tzw. „stały szwedzki” lektorat języka polskiego powstał w 1984 roku. Wygrałam wówczas ogłoszony na uniwersytecie konkurs i zostałam zatrudniona na etacie lektora. W roku 1997 otrzymaliśmy dzięki wsparciu polskich instytucji etat profesorski, który otrzymał Leonard Neuger. Był to najlepsze lata w dziejach studiów polonistycznych w Sztokholmie. Z czasem powstały nowe profesury. Kilku pracujących w instytucie sławistów ze specjalizacją rusycystyczną prowadziło również badania nad literaturą i językiem polskim, np. prof. Barbro Nilsson, prof. Åke Nilsson, prof. Per Arne Bodin.

– Jak liczny jest obecnie zespół pracowników naukowych polonistyki Uniwersytetu Sztokholmskiego?

– Polonistyka sztokholmska jest największą w Skandynawii. Do niedawna badania polonistyczne prowadziło u nas trzech profesorów, jeden docent, jeden doktor i jeden doktorant. Oprócz tego z instytutem związani byli i nadal współpracują z nim naukowcy z Polski. Polonistyka sztokholmska przeżyła ostatnio zmianę generacji, odeszli na emerytury profesorowie, Leonard Neuger przed kilkoma laty, Kazimiera Ingdahl w ubiegłym roku, a niebawem i ja odejdę. Nowy profesor polonistyki jeszcze nie objął swojego stanowiska, ale już wiemy, że będzie to literaturoznawca, który w ramach obowiązków dydaktycznych prowadzi także o charakterze językoznawczym i kulturowym. Od roku mamy na stałe zatrudnionego lektora języka polskiego, dr Renatę Ingbrant, od wielu lat zajęcia ze studentami na poziomie średniozawansowanym prowadzi doc. Maria Zadenczka, a dla początkujących rodowita Szwedka, mo-



ja była studentka a obecnie doktorantka i tłumaczka literatury polskiej na język szwedzki, Lisa Mendoza Åsberg. Badania polonistyczne w instytucie prowadzone są w wielu dziedzinach, z literatury i kultury współczesnej i starszej oraz z języka współczesnego.

– **Jest pani znana z wielu publikacji, książek monograficznych i artykułów, będących uwieńczeniem indywidualnych projektów naukowych, jak również pokłosiem szwedzko-polskich konferencji. Czy mogłaby pani wskazać na główne prowadzone przez panią tematy badawcze?**

– Moje spektrum badawcze jest dość obszerne. Zajmuję się relacjami szwedzko-polskimi w dziedzinie języka, literatury i kultury, publikuję na tematy tłumaczeniowe, prowadzę badania nad polonikami w Szwecji, zarówno dawnymi jak i nowymi, interesuje mnie semantyka, zwłaszcza semantyka barw oraz dialekt polonijny w Szwecji. Z polskojęzycznych prac autorskich wymieniałbym przede wszystkim *Polsko szwedzkie- kontakty literackie* (2004), *Pan Tadeusz w szwedzkich przekładach* (2001), z prac współautorskich i publikowanych w języku polskim i angielskim *Polonica w bibliotece katedralnej w Strängnäs* (2011), *Polonica muzyczne. Cztery tańce polskie z repertuaru dworskiej kapeli Zygmunta III Wazy* (2014). Ze zredagowanych prac wskażę na tom *Unikalna polska kolekcja z Zamku Skokloster*. Poza tym wydałam kilka tomów współredagowanych w naszej serii naukowej „Stockholm Slavic Papers”, np. *Wizerunki mężczyzny w języku i literaturze polskiej* (2003); *W świecie sacrum* (2005); *Kultura – Polityka – Tożsamość* (2007); *Między językami, kulturami, literaturami. Polska literatura (e) migracyjna w Berlinie i Sztokholmie* (2013). Uczestnicząc w międzynarodowym projekcie *Semantyka nazw barw i wymiarów* (Uniwersytet Warszawski) opublikowałam szereg artykułów o tematyce komparatystycznej na temat semantyki kolorów w języku polskim i szwedzkim.

– **Które z publikacji, zdaniem pani, wypełniły lukę w dotychczasowych badaniach polonistycznych?**

– Na ten temat odpowiem szerzej. Uważam, że moje prace naukowe przyczyniły się w dużym stopniu do rozwoju badań przede wszystkim w dwóch dziedzinach: po pierwsze w badaniach nad literaturą dziecięcą i młodzieżową, zarówno odnośnie do jej recepcji jak i do tłumaczeń z języka polskiego na szwedzki i *vice versa*. Szczególnie mam na myśli prace nad tłumaczeniami książek Astrid Lindgren, ale nie tylko. Sądzę, że nie przesadzę, jeśli powiem, że dzięki tym publikacjom przyczyniłam się w pewien sposób do nobilitacji badań nad literaturą dziecięcą i młodzieżową, zwłaszcza nad jej tłumaczeniami. Inną lukę wypełniła



Prof. dr hab. Ewa Teodorowicz-Hellman

moja monografia, również o problematyce tłumaczeniowej, *O szwedzkich przekładach Pana Tadeusza*.

Kolejny kierunek badań, który przyniósł publikacje książkowe i liczne artykuły naukowe, to polonika. Na tym polu współpracuję z badaczami w Polsce i Szwecji. W naszej serii instytutowej „Stockholm Slavic Papers” ukazało się kilka pozycji, część wyszła drukiem w Polsce, część w Szwecji. Staram się, by polonika stała się przedmiotem interdyscyplinarnych projektów i aby zainteresowały szersze grono naukowców. Dlatego publikacje o polonikach opracowywane są w dwóch wersjach językowych, w języku polskim i angielskim (język angielski jest najważniejszym językiem w ruchu naukowym w Szwecji). Ponieważ sztokholmska Polonia interesuje się również tą tematyką, przygotowałam do druku prace o charakterze popularnonaukowym, np. książkę o siedemnastowiecznej, nieznannej dotąd kołodzie odnalezionej na zamku Skokloster pt. *Jezus Bóg i Człowiek w stajence betlejemskiej narodzony* oraz nagranie jej parafrazy.

W badaniach nad polonikami zajmuję mnie także tzw. „nowe polonika”, np. literatura polska powstająca w Szwecji w ostatnich dziesięcioleciach, kiedy termin *literatura emigracyjna* zmienił swoje znaczenie z uwagi na zmiany polityczne jakie zaszły w Polsce i Unii Europejskiej. Efektem współpracy z Uniwersytetem w Gdańsku była książka pt. *Między językami, kulturami, literaturami...*, która jest pierwszym opracowaniem polskiej literatury emigracyjnej w Szwecji.

– **Jak wygląda obecnie sytuacja polonistów w Szwecji? W jakich ośrodkach prowadzi się badania naukowe i naucza języka polskiego?**

– Muszę zacząć od niezbyt pozytywnej wiadomości. Nauczanie języka polskiego w Szwecji na przestrzeni ostatnich kilku lat uległo bardzo poważnym ograniczeniom. Zamknięto polonistykę na uniwersytetach w Göteborgu

i Lundzie, nasi poloniści z tytułami profesora i docenta nie mogą znaleźć pracy. Obecnie istnieją jedynie dwie polonistyki uniwersyteckie w Szwecji, w Uppsali i u nas – w Sztokholmie. To są zupełnie różne ośrodki naukowe. Polonistyka w Uppsali zatrudnia zdecydowanie mniej naukowców. Nauczanie odbywa się głównie przez internet zarówno w zakresie języka jak i literatury i kultury polskiej.

Polonistyka w Sztokholmie ma kilkuosobowy zespół naukowców, stąd powstaje u nas wiele publikacji naukowych (książki i artykuły naukowe), organizowane są też konferencje naukowe o charakterze międzynarodowym i wykłady gościnne, prowadzimy regularne studia stacjonarne do poziomu doktora włącznie. W ramach studiów studenci mogą wybrać specjalizację literaturoznawczą, językoznawczą lub kulturową. Oprócz tego co parę lat mamy nabór na studia dla tłumaczy i w tym względzie możemy poszczycić się dużymi osiągnięciami. Niektórzy z naszych studentów są już dzisiaj renomowanymi tłumaczami literatury pięknej, inni pracują jako tłumacze konferencyjni w Brukseli, jeszcze inni założyli własne biura tłumaczeniowe. Studia translatorskie prowadzimy we współpracy z Instytutem Tłumaczeń Uniwersytetu Sztokholmskiego, gdzie studenci zdobywają wiedzę teoretyczną, w naszym instytucie zaś specjalizację: kompetencje tłumacza j. polskiego na szwedzki lub odwrotnie. Nabory na polonistyczne studia tłumaczeniowe odbywają się co kilka lat.

W celu przygotowania studentów do zawodu nauczyciela języka polskiego w szwedzkich szkołach uruchomiłam też specjalny program zajęć *Język polski w Szwecji*. Odbywają się one corocznie, biorą w nich udział także studenci Erasmusa przyjeżdżający do nas na wymianę, którzy lepiej pragną poznać Szwecję i jej kulturę, w tym sytuację polskiej diaspory, szwedzką, wielojęzyczną szkołę oraz problemy życia dzieci i studentów w środowisku dwujęzycznym.

W Sztokholmie można też studiować historię, literaturę i kulturę Polski w ramach specjalnego programu zwanego u nas *SlavKP*. Jest to skrót od szwedzkiej nazwy tłumaczonej na polski jako *Kultura i Polityka Krajów Słowiańskich*. Studiują ten program studenci, którzy chcą poszerzyć wiedzę na temat krajów słowiańskich: Rosji, Czech i Polski, ale niekoniecznie zainteresowani są studiami językowymi *sensu stricto*. W programie SlavKP mamy trzy serie polonistyczne: *Realia*, *Kultura* i *Literatura*. Nie wymagana jest od studiujących znajomość języka polskiego, materiały studyjne są w języku szwedzkim i angielskim, wykłady i egzaminy odbywają się po szwedzku. Ten kierunek studiów wybierają szwedzcy dziennikarze,

przyszli dyplomaci, naukowcy z dziedzin pokrewnych, np. literaturoznawcy czy kulturoznawcy.

– **Jakie szanse, pani zdaniem, ma rozwój polonistyki w Szwecji w przyszłości, jakie są jego zagrożenia?**

– Myślę, że największym zagrożeniem polonistyki na uniwersytetach szwedzkich, i nie tylko szwedzkich, jest brak odpowiednich środków finansowych. Sposób finansowania przedmiotu przez przydzielania środków *per capita*, czyli w zależności od liczby studiujących jest bardzo niebezpieczny. Mniejsze kierunki studiów są zamykane i prawdopodobnie nie mają szans na szybkie ich uruchomienie. Polonistyk nie można porównywać z rusycystyką, gdzie zainteresowanie studiowaniem zawsze jest duże i, co więcej, wzrasta aktualnie wraz z napięciami politycznymi i zaostrzeniem stosunków między Rosją, Ukrainą i innymi państwami Europy. Wpływ sytuacji politycznej na zainteresowanie językiem polskim był i jest nadal silny. Każdego roku przyjmujemy na studia około 30 studentów, spośród których zaledwie kilka osób kończy je dyplomem licencjata czy magistra. Podobna sytuacja jest na innych kierunkach studiów, i to nie tylko językowych. Nie jesteśmy pod tym względem wyjątkiem.

Staramy się, by zainteresowanie naszym przedmiotem badań i studiów rosło. Mamy kontakt z Polonią i Polską Misją Katolicką. Spośród Polonii rekrutuje się znaczna liczba naszych przyszłych studentów, którzy chcą się nauczyć lepiej mówić i pisać po polsku, a także więcej dowiedzieć na temat swojego kraju pochodzenia. Dla nich zorganizowałam przyspieszony tok studiów. Studiują u nas Polonusy z drugiego, nawet trzeciego pokolenia emigracji.

Utrzymujemy kontakty z nauczycielami w szkołach szwedzkich, organizacjami i związkami oświatowymi. Prowadzimy informacje o studiach slawistycznych, w tym o polonistyce, za pomocą Internetu, od czasu do czasu publikujemy w prasie polonijnej, mamy tzw. „wykłady na mieście”, promujące polską literaturę, język i kulturę.

– **Prowadziła pani i nadal prowadzi seminaria poświęcone tłumaczeniom z języka polskiego na język szwedzki. Jakie teksty literatury polskiej przekładane są na język szwedzki i jaki jest krąg ich odbiorców?**

– Od dawna w Szwecji szczególnie ceniona jest polska poezja. Na szwedzki przetłumaczono nie tylko twórczość poetek noblistów, Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej, ale i wiersze Tadeusza Różewicza, Zbigniewa Herberta, Adama Zagajewskiego, Stanisława Barańczaka, Ewy Lipskiej i ostatnio Anny Świrszczyńskiej. Poza tym znane szwedzkim czytelnikom z przekła-

dów są nazwiska takich pisarzy jak Olga Tokarczuk, Ryszard Kapuściński, Witold Gombrowicz, Stefan Chwin, Tadeusz Słobodzianek i wielu innych. Ostatnio tłumaczone są na szwedzki także polskie kryminały.

Nieco generalizując można powiedzieć, że przekłada się na szwedzki przede wszystkim literaturę polską wysokiej rangi. Często jednak uważaną przez szwedzkiego czytelnika za zbyt trudną i przeintelektualizowaną.

– **Czy Instytut współpracuje z polskimi ośrodkami kulturalnymi w Szwecji i z ośrodkami naukowymi w Polsce? Na czym polega współpraca?**

– Współpraca z polskimi ośrodkami odbywa się na dwóch poziomach: naukowym i dydaktycznym. Jeśli chodzi o badania naukowe ostatnich lat utrzymujemy kontakty z kilkoma państwowymi uniwersytetami w Polsce, w Warszawie, Poznaniu, Gdańsku, ostatnio także w Szczecinie. Współpraca nie odbywa się w ramach określonych programów czy umów bilateralnych, ale ma charakter indywidualny i dotyczy zarówno wymiany myśli między naukowcami z obu krajów, jak i realizowania wspólnych projektów. Utrzymujemy też kontakty naukowe z Londynem, Chicago i innymi placówkami naukowymi prowadzącymi badania polonistyczne. O naszej współpracy międzynarodowej świadczą publikacje, wydawane z logo dwóch uniwersytetów. Wiele organizowanych przeze mnie konferencji miało charakter polsko-szwedzki lub międzynarodowy z udziałem naukowców z innych krajów.

Inny rodzaj współpracy to umowy w ramach programu Erasmus, które umożliwiają wymianę naukowców i studentów. Mamy podpisane umowy z kilkoma wydziałami polonistyki i zamierzamy tę wymianę ew. poszerzyć o polonistyki istniejące na podobnych zasadach jak my, tzn. o filologię polską w innych krajach, np. w Wielkiej Brytanii. Oczywiście, współpracujemy także z instytucjami szwedzkimi, głównie z bibliotekami, archiwami i wydawnictwami.

**Prof. dr hab. Ewa Teodorowicz-Hellman**, polonistka, slawistka, germanistka, autorka wielu publikacji naukowych i popularno-naukowych poświęconych polsko-szwedzkim kontaktom kulturalnym, przekładom z literatury polskiej na język szwedzki i literaturze dla dzieci. Od 1984 r. pracuje na Uniwersytecie Sztokholmskim, w Instytucie Języków i Literatur Słowiańskich.

Tytuły najważniejszych publikacji: *Pan Tadeusz w szwedzkich przekładach*, 2001, *Polsko-szwedzkie kontakty literackie*, 2004, *Unikalna polska kolekcja z Biblioteki Zamku Skokloster*, 2008, *Między językami, kulturami, literaturami*, 2013.

– **Jak liczna jest grupa Polaków w Szwecji?**

– Jeśli chodzi o liczbę Polaków w Szwecji, trudno jest dać jednoznaczną odpowiedź. Wydział konsularny podaje, że jest ich prawdopodobnie ok. sto tysięcy. Istotne jest pytanie, kogo uważamy za Polaka? Czy są to tylko osoby przyjeżdżające do Szwecji z polskim dokumentem tożsamości, czy osoby posiadające dwa obywatelstwa – polskie i szwedzkie, czy też srodowisko Polonii, to znaczy Polacy pierwszego i drugiego, a może i w wielu przypadkach trzeciego pokolenia emigrantów, na stałe mieszkający w Szwecji? Co ma być wyznacznikiem polskości? Paszport, czy znajomość języka i kultury polskiej, indywidualnie poczucie tożsamości, czy też w różnym stopniu podtrzymywane polskie tradycje kulturowe i religijne? Liczba Polaków stale wzrasta w Szwecji, zawierane są małżeństwa mieszane, coraz więcej dzieci ma podwójną przynależność językową i kulturową. To wszystko sprawia, że nie można podać rzetelnej i ostatecznej liczby Polaków mieszkających w Szwecji. Jest ich dużo, zwłaszcza w większych ośrodkach miejskich, w Sztokholmie, w Malmö i w Lund, w Göteborgu i Uppsali.

– **Kto dzisiaj promuje w Szwecji kulturę polską?**

– W Szwecji istnieje wiele polskich związków i stowarzyszeń, a także towarzystw polsko-szwedzkich. Istnieje polska galeria sztuki, polskie wydawnictwo, polska prasa polonijna, Polska Szkoła, polski teatr dla dzieci, język polski jest nauczany w szwedzkich szkołach, w Sztokholmie działa Instytut Polski, można studiować język polski, kulturę i literaturę polską na uniwersytecie. Do promocji polskiej kultury przyczynia się także Wydział konsularny i Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej. Obecność polskiej kultury i Polaków jest widoczna w Sztokholmie. Starannie prowadzona strona informacyjna *Poloniainfo* informuje o wydarzeniach kulturalnych. Szwedzkie wydawnictwa organizują promocje tłumaczonej na szwedzki książek oraz spotkania z ich polskimi autorami. Polonistyka sztokholmska prezentuje najnowsze prace naukowe swoich naukowców, organizuje specjalne kursy, zwracające się do Szwedów, jak np. ostatnio *Kraj kontrastów – Polska po roku 1989*.

Wszystkie działania wymienionych tutaj instytucji, organizacji i związków przyczyniają się do promocji polskiej kultury na swój sposób i docierają do różnych adresatów zainteresowanych Polską i jej kulturą.

– **Dziękując pani serdecznie za rozmowę, życząc wielu osiągnięć w pracy naukowej, a także kolejnej książki.**

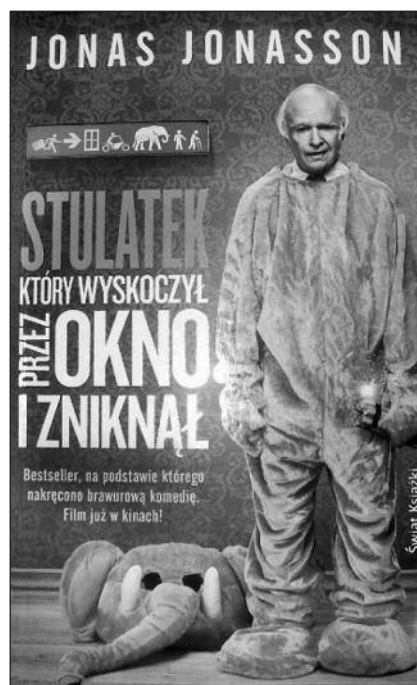
# O nowym trendzie we współczesnej literaturze szwedzkiej



Zarówno tematyka opublikowanych w ostatnich dziesięciu latach utworów literatury pięknej, jak również główne wątki wyświetlanych na ekranach kin szwedzkich filmów sygnalizują zainteresowanie problemami ludzi starszych i ich niekiedy barwnym, innym razem wypełnionym dramatycznymi historiami długim życiem.

W 2009 roku ukazała się książka pt. *Stulatek, który wyskoczył przez okno i zniknął*, która w krótkim czasie stała się wydawniczym sukcesem (w roku 2010 jej nakład wyniósł 617 000 egzemplarzy, na język polski przełożono ją w 2014 roku) i przez kilka lat zajmowała pierwszą pozycję na liście bestsellerów. Była debiutem literackim czterdziestoletniego wówczas autora Jonasa Jonassona, z zawodu konsultanta do spraw mediów, z wykształcenia dziennikarza. Opowieść o dziarskim i otwartym na świat mimo podeszłego wieku pensjonariuszu w domu seniora Allanie Karlssonie, który w dniu swoich stuletnich urodzin wymyka się niepostrzeżenie gratulantom – ucieka przez okno – i udaje się w nieznanym kierunku, zafascynowała reżysera Felixa Herngrena. W 2013 roku nakręcił na jej podstawie film, który podobnie jak książka cieszył się ogromną popularnością wśród milionów widzów w kinach Europy i na świecie.

Bohater, którego ucieczka pełna jest fascynujących przygód, jest postacią tylko pozornie dobroduszną i jakby nie z tego „wieku”. Jego życie, którego fragmenty przywoływane są w odpryskach wspomnień, okazuje się spletem niesamowitych, bogatych w przeżycia i przygody wątków. Na pierwszym planie osadzonej w przeszłości narracji pojawiają się autentyczne historyczne postaci, wielcy politycy, np. Churchill, dyktatorzy (Mao Tse Tung), monarchowie. Niczym w kalejdoskopie przed oczami odbiorcy przesuwają się obrazy ilustrujące wydarzenia znane z historii europejskiej XX wieku (rewolucje, przewroty, wojny, ideologie rasizmu i faszyzmu) i dziejów cywilizacji (odkrycia np. materiałów wybuchowych) zapisane w pamięci Allana. Z pewnością багаż zgromadzonych doświadczeń, ale przede wszystkim wewnętrzny spokój, pogoda ducha i odwaga pozwalają mu dość



pewnie poruszać się w teraźniejszości XXI wieku i stawiać czoła niespodziewanym komplikacjom życiowym, a także swoim prześladowcom. Stulatek pozostawia wyraźny ślad we współczesności, dając do zrozumienia, że starzy ludzie potrzebują nie tylko wolności, ale także przyjaźni i życzliwości, tylko wtedy bowiem mogą czuć się spełnieni, bezpieczni i szczęśliwi.

Fascynacja życiem seniorów, którzy w krajach skandynawskich nierzadko przekraczają wysoką granicę wieku, zachowując fizyczne i psychiczne zdrowie, zaowocowała ogromną liczbą utworów literackich na szwedzkim rynku wydawniczym. W 2012 roku ukazał się debiut powieściowy Fredrika Backmana pt. *Mężczyzna imieniem Ove*, opowiadający wzruszającą historię o pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyźnie, który po śmierci ukochanej żony nie znajduje radości ani woli życia i planuje popełnić samobójstwo. Ale los chce inaczej. Ove, który jest przeciętnym Szwedem, lubiącym ponad wszystko porządek i przywiązującym wagę do pielęgnowania tradycyjnych wzorców współżycia, w których nie ma miejsca na spontaniczność i empatię, a cnotą jest respektowanie obowiązujących praw i nakazów, zmienia się, nie zdając sobie początkowo sprawy, co jest tego przyczyną. Powoli znikają starannie pielęgnowane uprzedzenia wobec wszystkiego co obce, spontaniczne i chaotyczne, zbyt nowoczesne i obyczajowo bulwersujące, a świat staje się coraz bardziej zrozumiały i przyjazny. W książce o starzejącym się mężczyźnie – zgorzkniałym mizantropie przywiązany do swojego starego samochodu marki SAAB i domowego ogródka, który wyrasta na bohatera ratującego życie nieznanemu człowiekowi – jest wiele humoru, ironii i ciepła. W końcu

i w opustoszałym domu Ove zagości ciepło i radość, a w sercu miłość do tych, którzy darzą go sympatią i szacunkiem i którzy poświęcają mu, że jest im bardzo potrzebny i że go kochają. Backman opublikował w międzyczasie kolejne książki podejmujące temat obcości i bliskości pomiędzy generacjami, kulturami i tradycjami w szybko zmieniającej się szwedzkiej rzeczywistości społecznej. Okazuje się, że ważniejsze od różnic są kwestie osobowościowe, że liczy się nie tylko doświadczenie, ale i wrażliwość człowieka. Przełożona na język polski powieść ukazała się w 2012 roku, została także jako dramat zaprezentowana na scenie teatru sztokholmskiego.

W przeciwieństwie do obu autorów pisarka Aino Trossell reprezentuje pokolenie szwedzkich twórców, którzy debiutując pod koniec lat siedemdziesiątych XX w. zwrócili uwagę na trudne kwestie społeczne, w tym na los osób starszych, samotnych i wykluczonych. A. Trossell opublikowała ponad dwadzieścia powieści, kilka dramatów, słuchowisk radiowych i kilkadziesiąt nowel. Opowiadanie pt. *Na samotnej wyspie na morzu* powstało w połowie lat dziewięćdziesiątych i doczekało się kilku wersji. Pierwotny, liczący 8 stron tekst noweli został powiększony do objętości 60 stron i wzbogacony o kilka epizodów. Pogłębiała została także postać głównego bohatera, dzięki czemu wizerunek starego człowieka zyskał na psychologicznej głębi.

Narratorem i protagonistą w utworze jest osiemdziesięciodziesięcioletni emeryt zamieszkujejący w domu seniora i opowiadający prostym, oszczędnym w słowa językiem – przez ponad sześćdziesiąt lat pracował jako prosty robotnik w lesie – niezwykłą historię swojego życia, historię pierwszej miłości i namiętności do kobiety, którą zamienia w ogromną i niepojętą do końca nienawiść. Zarówno trzymająca w napięciu opowieść, jak i zaskakujące zakończenie, które różnie można odczytywać, dowodzi, że temat życia uczuciowego starszych ludzi może być pokazany także z innej perspektywy. Jest w niej zawarte studium psychiki starszego mężczyzny, który całe życie spędził na odludziu, z dala od ludzi, na gospodarstwie położonym w lesie, i którego stosunek do przyrody i świata jest inny w porównaniu z tym, jaki charakteryzuje zachowania bohaterów powieści J. Jonassona i F. Backmana, wychowanych i zakorzenionych w krajobrazie miasta. Dlatego warto sięgnąć do książek Aino Trossell i jej młodszych kolegów po piórze, aby poznać i zrozumieć inną Szwecję, tę, której dziś już nie ma i która wciąż żyje w opowieściach seniorów, dostarczając pisarzom nowych tematów i pomysłów fabularnych.

GRAŻYNA BARBARA  
SZEWCZYK

AINO TROSELL

# Na odludnej wyspie

Przełożyła:  
GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Grafika: Wojtek Łuka



**W**idziałem morze tylko raz jeden, kiedy odbywałem służbę wojskową. Poza tym przez całe życie dookoła mnie i we mnie był las. Las był moim domem. A ja byłem lasem.

Ale w końcu przebywanie całymi dniami i tygodniami na Górze nie spotykając żywej duszy, nie było dobre.

Byłem przecież człowiekiem. Na Górze byłem ostatnim.

Las był moim życiem, był ze mną wszędzie. Nie musiałem już na niego patrzeć. Byłem na Górze ostatnim.

To nie była byle jakaś zmiana. Była to ostatnia zmiana. Przeniosłem się do ludzi i zamieszkałem w Domu.

Miałem wtedy osiemdziesiąt dwa lata.

Dobrze było zejść pomiędzy ludzi. Byłem tak długo sam, że powoli przypominałem mumię.

Znów zobaczyłem ludzi. Dziewczyny były uprzejme, jedzenie było smaczne, Poza tym spotkałem starych znajomych, tych których poznałem przed pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu laty. Patrzyliśmy na siebie ze zdziwieniem. Część z nich bardzo się zestarzała. Kolega szkolny miał cewnik, worek na mocz nosił na pasku. Rozmawialiśmy głośno używając niewielu słów. Nasze zdziwienie było ogromne i nieme.

Urządziłem mój pokój tym, co zabrałem ze sobą. Nie mogłem się obyć bez kredensu, tam przechowywałem koszule i kalesony a także odcinki renty i zaświadczenia o podatku. Na górze postawiłem fotografie: Sisu – pies szarej maści, który zmarł w 1954 roku, zdjęcie z polowania z tego samego czasu, zdjęcie ze mną, ojcem i z Rune. Było zrobione w lecie, przed jego śmiercią. W lecie, przed śmiercią mojego młodszego brata Rune.

Nad kredensem zawiesiłem poroże losia – z czternastoma kolcami – i włożyłem do środka broń.

Oże nie było to eleganckie, dziewczyny nic nie powiedziały. Ale było to moje. Mój dom i moja historia.

Podobało mi się tutaj. Codziennie chodziłem do jadalni. Dobre jedzenie, naprawdę smacznie przyrządzone, inne niż zupy w puszkach i suche produkty, którymi się wcześniej żywiłem.

Cieszyłem się, jak mawiali ludzie, zasłużonym odpoczynkiem. Byłem starym mężczyzną mieszkającym w domu seniora. To dom dla tych, którzy mieli umrzeć, ja także. Ale rzadko o tym myślałem, mimo że codziennie łykałem tabletki na serce. Wszyscy przecież muszą wcześniej czy później umrzeć, taki jest bieg życia. Byłem jednym z emerytów, dobrze wiedziałem, że przebyłem już większość drogi. To nie przeszkadzało, że dobre ciastko z kawą wciąż mi smakowało, a dowcipny program w telewizji wywoływał wciąż śmiech.

Było mi dobrze, nie potrzebowałem niczego więcej. Żyłem dniem teraźniejszym.

Ale w snach byłem znów w lesie. Ścinałem drzewa, karczowałem, liczyłem i mierzyłem. W snach zjawiał się ojciec z ładunkiem drewna, ciągniętym przez konia. W snach żyliśmy tak, jak zawsze, czasami był z nami Rune.

Wtedy budziłem się z ogromnym smutkiem.

Do Domu była kolejka. Kolejka poruszała się do przodu, jeżeli ktoś z pensjonariuszy umierał. W taki sposób i ja się tu dostałem. Było to całkiem naturalne i nikt z tego powodu nie był przerażony. Chociaż kiedy się o tym myślało, nie było przyjemnie. No cóż, takie jest życie.

Odszedł Sigurd. Można się było tego spodziewać. Przez wiele miesięcy nie podnosił się z łóżka. Tak samo jest ze zwierzętami. Muszą próbować stawać na nogi i ruszać się, inaczej szybko stają się łupem drapieżników, w tym przypadku śmierci. Sigurda, całego zakrytego prześcieradłem wywieziono na wąskich noszach. Już go nie było. Było tylko jego ciało. Nie żył.



Patrzyliśmy na siebie szeroko otwartymi oczami. Nie baliśmy się. Zadawaliśmy sobie pytanie, kto się tu teraz wprowadzi.

Oczywiście, minęło trochę czasu.

Pokój był posprzątaný i pusty. Okna na oścież otwarte, a skrzynka pocztowa przez chwilę bez nazwiska.

Przyjechała któregoś wieczoru. Był to wspaniały wieczór, wiosenny zmierzch, niebieskoszary, kos na drzewie przy wejściu i zapachy, które chciałyby się opiewać pieśnią, gdyby się umiało śpiewać, albo płaczem.

Przyjechała służbowym mikrobusem i siedziała na wózku inwalidzkim. Wózek miał napęd elektryczny. Sterowała nim zgrabnie, kiedy kierowca spuścił go z podjazdu. Miała na sobie kurtkę z futrzanym kołnierzem, zadbane śnieżnobiałe włosy były krótko obcięte, ale nie mogłem zobaczyć jej twarzy.

Ale otaczała ją jakaś aura.

Dla tych którzy potrafili chodzić, podano herbatę w jadalni. Kręciłem się jak zawsze po domu. Nie szukałem z nikim kontaktu, nie chciałem być jednak sam w pokoju. Zrozumiałem, że lubię przebywać wśród ludzi, a mogłbym przecież umrzeć na górze z samotności nie mając o tym pojęcia.

Ojciec dożył prawie dziewięćdziesiątki, wysoki i szorstki w obejściu. Miał przynieść drzewo i już nie wrócił. Znalazłem go pochylonego nad pniakiem do rąbania – wylew krwi do mózgu. Żył jeszcze potem tylko tydzień. Kilka razy powtórzył „Rune” ale nie odzyskał przytomności. Nikt z nas nie odważył się o tym mówić. Jak to się stało. Co stało się z Rune.

Kiedy ojciec zmarł, żyłem przez wiele lat sam.

Cieszyłem się, że wreszcie tu wylądowałem.

W jadalni rozchodziły się plotki o nowo przybyłej. Przyjechała z południa i coś ją łączyło z tym miejscem. Miała ze sobą dwie duże walizki, meble miały być przetransportowane. transportem. Wyglądała zdrowo. Mimo że była sparaliżowana. Pensjonariuszki maczały kostki cukru w kawie i były wniebowzięte. Nazywa się chyba Gerda Lundqvist, ktoś powiedział.

Tak, to Gerda Lundqvist, powtórzył ktoś inny.

Oparłem się o ścianę, jak gdyby to była podłoga. I na odwrót. Wszystko nagłe zawirowało.

Jakoś się pozbierałem i położyłem się na łóżku.

Zgadzał się wiek, zgadzał się wygląd z tym, co zdołałem zobaczyć, zgadzało się usposobienie, którego nie widziałem się lecz czuło, zgadzało się nazwisko. Imię. Oczywiście wyszła później za mąż, wyszła za mąż bogato, dla dużych pieniędzy. Kołnierz futrzany był na pewno z norki. Albo z gronostaja.

Leżałem na łóżku, a serce biło mocno, waliło, łomotało jak spuszczone z hamulca wagon i czułem że coś sływało wzdłuż skroni, to przecież nie mógł być pot, chyba nie trząsałem się z zimna? A może był to po prostu strach?

*Nazywała się Gerda. Ojciec znalazł ją przez ogłoszenie.*

*Kryzys w Korei dawał dobre zarobki w lesie. Mama nie żyła już od kilku lat.*

*Uważaliśmy, że mamy już za sobą pieskie lata i możemy opłacić kucharkę. Własną gospodynię.*

*Miałem trzydzieści sześć lat, mój młodszy brat tylko dziewiętnaście.. Ojciec miał pięćdziesiąt osiem lat, a mimo to był wśród nas najsilniejszy. Był umięśniony. Jego ręce były jak łopaty, a palce tak szorstkie, że zakleszczały się w każdym uchwycie, ale umiały obchodzić się z obcęgi, lejcamy i siekierą.*

*Kiedy w końcu pojawiła się Gerda, kuchnia wyglądała po naszym, kawalerskim gospodarowaniu, jak teren dotknięty katastrofą. Zresztą nie tylko kuchnia. Nagle popatrzyli-*

*śmy na nasz dom jej niebieskim, pogodnym spojrzeniem i zawstydziliśmy się. Żalowaliśmy, że nawet nie próbowaliśmy posprzątać.*

*Ale Gerda przyjęła to ze spokojem. Zamieszkała w izbie obok kuchni i zaczęła pracować, a za kilka dni mieliśmy nowy dom. Nie taki, kiedy żyła mama. Podobnie czysty, ale inny. O wpół do szóstej rano gotowała kaszę i przyrządzała dla nas zimne naleśniki i kawę i kanapki ze słoniną, a kiedy wracaliśmy do domu wieczorem, była ciepła woda do mycia, gotowały się ziemniaki i drewno trzaskalo w piecu.*

*Mieliśmy kobietę w domu. Byliśmy szczęśliwi.*

*Była pogodna, nigdy nie skarżyła się i nie bała się żadnej pracy. Odgarniała łopatą śnieg, rąbała drzewo, latała nasze dziurawe ubrania robocze.*

*Śpiewała, niemal bez przerwy. Włączała radio, kiedy nadawali muzykę z płyt. Najbardziej lubiła, kiedy Towa Carson śpiewała piosenkę „Na samotnej wyspie na morzu, na wielkim oceanie tylko ty i ja i księżyc i wszystkie gwiazdy nieba”. Wtedy śpiewając robiła kilka kroków tanecznych a ubijając coś w donicy odwracała wzrok w kierunku tego, kto chciał na nią popatrzeć i uśmiechała się.*

*Siedzieliśmy przeżuując kielbasę, mus z kalarepy i popijając napojem niskoalkoholowym i próbowaliśmy udawać, że nas to nie obchodzi. A jednak iskrzyło w nas trzech jak w gwiazdach. Siedzieliśmy przy stole i spożywaliliśmy smaczny posiłek po ciężkim dniu pracy, a przy piecu krzątała się kobieta z pięknymi oczami i głosem i kształtami, pamiętam, że piersi podobnie jak i biodra i uda wyraźnie zaznaczały się pod zbyt wąską suknią i fartuszkami, który nie wiadomo dlaczego budził skojarzenia z przepaską na biodra.*

*Mijały miesiące, Nasze życie zmieniło się. Śpiew i śmiech na położonym na odludziu gospodarstwie. A u mnie z czasem napięcie, przed którym coraz trudniej, im szybciej upływał czas, mogłem się bronić. Mój śmiech stawał się wymuszony, chód sztywny i nie mogłem przestać o niej myśleć, mimo że wszystko było tak zwyczajne, mimo że widziałem ją rano i wieczorem.*

*Próbowałem z tym walczyć. Nie chciałem niczego niszczyć. A ona była całkiem na luzie, nie przejmowała się, że dotykaliśmy się, kiedy podtrzymywała kopyto koniowi, którego miałem podkuć. Przesunęła biodro tak, że znalazło się pod moim ramieniem, tak żebym miał podporę. Nie była to żadna pomoc, zacząłem się trząść i nie trafiłem kilka razy w hufnal.*

*Innym razem oparła się o mnie całym ciałem, kiedy nakładala kaszę. Och, jestem taka niewyspana, powiedziała. Był wczesny poranek, na niebie gwiazdy, ojciec był w stajni, a Rune jeszcze nie wstał z łóżka. Czulem jej lekkość, jej ciężar, jej miękkość, rozrywał mnie żar rozpalonego żelaza. Tego rana z trudem mogłem coś przelknąć.*

*Nie wyglądało, żeby coś zauważyła.*

*A potem w stodole, z naręczem pełnym siana. Chwyć mi ją za ramiona i żadne z nas nie udawało, że nie wie o co chodzi.*

*Zamarta. Wystraszyłem się. Potem upuściła siano, kładąc mi ręce na karku.*

*Wiem, czego chcesz. Czekałam na ciebie.*

*I pociągnęła mnie w głąb stodoły, a ciało jej było naprawdę tak miękkie jak sobie je wyobrażałem i byłem prawie nieprzytomny; minęło wiele lat od kiedy byłem tak blisko z kobietą, byłem niezgrabnym, nieporadnym i nieudanym kochankiem, a tacy powinni nadal żyć samotnie, popijając od czasu do czasu wódkę i pocieszając się marzeniem, ale teraz dodała mi odwagi kobieta, którą była Gerda i powiedziała, że mogę ją mieć.*

*Ale to będzie kosztować.*

*Będzie kosztować. Pieniądze.*

Jako wynagrodzenie, dodała. Oszczędzała na wyjście do kawiarni. To tylko wynagrodzenie, byłem przecież wspólnym mężczyzną, chciała mnie mieć.

I zapłaciłem.

I tak się zaczęło.

Była dokładna i systematyczna. Wyciągała ze mnie każdą koronę, a ja pozwalałem, żeby tak się stało. Śmiała się i śpiewała jak dawniej, a ja podczas posiłku myślałem tylko o tym, co mieliśmy sobie do zaofiarowania i chciałem coraz więcej, a sprawę pieniędzy schowałem w zakamarkach duszy, aby nie czuć z tego powodu bólu. Nie chciałem nic wiedzieć, ani rozumieć. Byłem opętany.

Po kilku miesiącach zrozumiałem, że nie byłem jedyny. Był nim także ojciec. Przypadkowo usłyszałem ich na strychu.

Niech tak będzie. Niech dalej będzie tak, jak było. Nie odważyłem się nawet jej wypytywać w obawie, że będę odprawiony i że może nigdy więcej jej nie dostanę. Tego bym nie wytrzymał.

Pojawiły się pierwsze piły mechaniczne. Były drogie. Z trudem spłacałem raty. Ukrywałem moją niegospodarność.

Brat mój zaczął polować na zające. Jego oczy zaczęły plonąć. Miał dziewiętnaście lat i był przystojny, ale nie umiał tańczyć.

Ale i ja nie umiałem. Łatwiej przychodziło mi otwierać butelkę niż nauka tańca. Widziałem w nim siebie i powiedziałem mu, żeby poprosił do tańca nawet jeżeli nie potrafi. Dziewczyny go nauczą, w wiosce było tyle miłych dziewczyn, nie powinien tu być.

Ale Rune nigdy nie pojechał rowerem na potańcówkę. Wolał polować na zające. Gerda pozmywała po kolacji i miała pobiec na nartach do szalasu, chciała być sama, wyjaśniła.

Chyba wtedy wzięła go po raz pierwszy. Nie poszedłem za nią, nie chciałem widzieć, jak połączyli się ze sobą w lesie i stali się jednością w chacie, gdzie można było rozpałcić ogień i gdzie były przykrycia z futer.

Potem nadeszło tak jak teraz przedwiośnie i pewnego wieczoru Rune dowiedział się całej prawdy. Szedł w moją stronę z podniesioną siekierą i czerwonymi oczami jak u królika. Z tyłu nadbiegł ojciec i powalił go na ziemię. Zawył jak zarzynany byk, a przy tym był silny, bardziej niż się nam wydawało.

Gerda wybiegła na dwór. Upadła w śniegu na kolana, przyciskając jego głowę do siebie, a on uspokoił się i płakał tak, że musieliśmy wejść do środka.

Był zwykły dzień roboczy. Usnęliśmy.

Zbudziliśmy się w oślepiającym świetle słonecznym, z widokiem na połyskującą bielą góry, była godzina czwarta rano i usłyszeliśmy wystrzał.

Zdecydował, że coś się skończyło. Nie tylko skończyło, to był punkt zwrotny.

Gerda wymiotowała. Wymiotowała tego rana, przed i po pogrzebie, a włosy jej utraciły połysk, oczy dziwnie połyskiwały, ale bez radości, tak jak nasze.

Myślę, że był to wstyd.

To było przecież jej dzieło.

Wytrzeźwiałem i zrozumiałem, co zrobiła. I co ja zrobiłem. Nie wolno jej było zbliżyć się do mnie na odległość mniejszą niż dwa metry. Sądzę, że ojciec podobnie reagował.

Zniknęła, wyjechała, nie obchodziło nas, dokąd. Nasze życie rozbite było na kawałki. Słowo nienawiść nie wyrażało tego co czuliśmy do niej, do siebie.

On był zupełnie bezbronny. Wierzył, że był jedynym.

Oczywiście wszyscy plotkowali. Ale byliśmy odporni. W końcu dotarła do nas pogłoska, że znaleziono ją krwawiącą w pokoju hotelowym. Była u kogoś, kto prowadził

nielegalną działalność i włożono siłą do jej podbrzusza sondę, która miała usunąć to, co rosło w środku.

Prawdopodobnie się udało, ale Gerda była bliska śmierci, opowiadał żądny sensacji postaniec.

Dzięki Bogu, dziecko nie przyszło na świat.

Od tego czasu żyliśmy nadal na Górze bez kobiet i bez potomka. Nie mogliśmy odzyskać Runego. Żadne słowa nie mogły go przywrócić życiu, dlatego milczeliśmy o prawdziwej przyczynie i naszym udziale w pożarze roznieconym przez Gerdę.

Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Minęły czterdzieści cztery lata, a ja wierzyłem, że czas leczy rany, ale wszystko pozostało, jak gdyby zdarzyło się wczoraj, a Gerda żyła, można ją było dotknąć. Na pewno milczała przez całe te lata, okłamując swojego męża i nie zwierzając się nikomu, ale nikt nie może uciec przed swoim losem.

No cóż – chyba los postawił ją na mojej drodze. To nie może być przypadek, że zanim umrę, raz jeszcze spotkam Gerdę Persson.

Była moją wielką miłością i stała się moją nieskończenie wielką, gorzką nienawiścią.

Zjawiała się tutaj, żeby rozerwać wszystkie rany, ponieważ wszystko musi się dokonać zanim się skończy życie.

Nie będę cieszył się moim zasłużonym odpoczynkiem i nie będę żyć terazniejszością. Moja wina jest wielka, ale jej jeszcze większa i nic nie jest zapomniane, a Rune zostanie dziewiętnastolatkiem a nie sześćdziesięcioletnim, gdyby dane było mu żyć.



Tego samego wieczoru pójdę do niej, do Gerdy Lundqvist, urodzonej jako Persson.

Jest godzina dziewiąta, ale ona udaje się już na spoczynek.

W pokoju jest półmrok.

Myśli pewnie, że to ktoś z personelu i woła halo.

Zapalam lampę. Wszędzie stoją kartony z rzeczami, a fi-rany przewieszane są przez poręcz krzesła.

W łóżku leży Gerda. Tak, to ona. Teraz stara kobieta, ale równie pociągająca. Uszlachetniona patyną, pidżama z jedwabiu i kaftan z jakiegoś miękkiego materiału, no i ciemne oczy w tej całej bieli. Ciemne oczy, które patrzą ze zdziwieniem, a teraz z rezerwą w stronę drzwi, w moją stronę.

Wchodzę do pokoju. Podnoszę krzesło, stawiam je obok łóżka i siadam. Potrzęsa milcząco i nieświadomie głową, widać, że nie poznaje mnie i uważa, że ktoś z gości pomylił drogę w starszym pomieszczeniu.

Wtedy przedstawiam się moim nazwiskiem.

Spogląda na mnie pytająco.

Powtarzam nazwisko. To przecież ja. I ojciec i Rune. Chyba sobie nas przypominasz, Gerdo, na pewno mnie poznajesz mimo że minęło tyle czasu.

Uparcie zaprzecza głową. Wygląda na przerażoną.

Musiałaś być wtedy bogatą kobietą, mówię. Ile setek tysięcy w sumie wypracowałaś? Czy zostałaś milionerką?

Szuka ręką dzwonka. Zdejmuję go. Nie będzie dzwoniła. Mamy przecież rozmawiać. Nie rozmówiliśmy się tym razem, kiedy pojęła, że mój młodszy brat nie żyje.

Chce krzyczeć. Przyciskam moją dużą dłoń do jej ust. Jest drobna i delikatna.

Teraz dostaniesz, kurwo, na co zasługujesz, syczę i rozdzieram górną część jej pidżamy, tak że widoczne są jej małe, wiotkie piersi, a między nimi brązowe, wielkości dłoni znamię, i szeptam, co to jest?, ale ona nie potrafi odpowiedzieć, zanosi się płaczem rozdzierającym serce. Powtarzam, co to jest?, a ona łkając. To znamię od urodzenia, czego chcesz ode mnie, puść mnie, proszę!

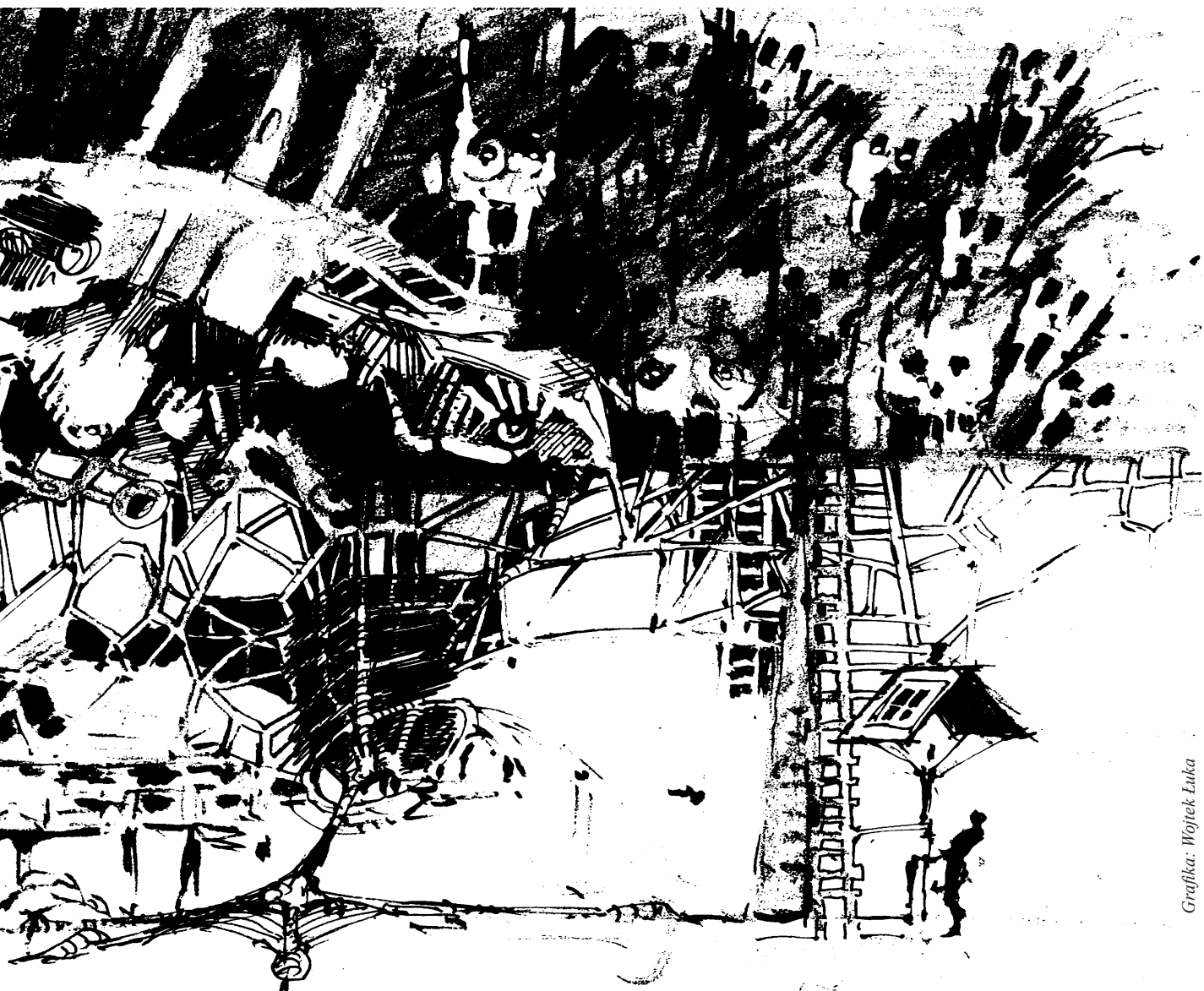
Zostałem uderzony w ciemność znaczym obuchem, ponieważ Gerda nie miała żadnego znamienia, ale bardzo duże piersi i nawet jako staruszka nie mogłaby mieć takich wiotkich.

Zakrywam ją kołdrą po sam podbródek. Jąkając się przepraszam, proszę aby nie wzywała policji, próbuję jej wyjaśnić, że pomyliłem się, biorąc ją za kogoś innego.

Cofam się do korytarza, kłaniam się nisko, jąkając, następnego dnia idę do miasteczka i kupuję duży bukiet kwiatów, ale kiedy wchodzę na górę, nie ma już Gerdy Lundqvist w domu. Wyjechała, powróciła na południe. Rozmyśliła się, wyjaśnia personel, coś takiego się zdarza.

Leżę na łóżku. W głowie śpiew Towy Carson. Wystraszyłem Gerdę Lundqvist, ale powróciła Gerda Persson silniejsza i bardziej uwodzicielska niż kiedyś. Zabierze resztę moich dni, zabrała większą część mojego życia. Gerda Persson i ja aż do śmierci, aż do dnia, kiedy zdejmę pomarszczoną powłokę i wyruszę tam, gdzie wiecznie i biało.

Pewnego fioletowego poranka na przedwiośniu, tak jak wtedy.





Zdjęcie pochodzi z: „Katowice w dawnej i współczesnej fotografii”, Muzeum Śl., Katowice 2003

Zabudowa ul. Dworcowej od ul. Pocztowej do ul. Dyrekcyjnej, 1874.

**Afera burmistrza Diebla z małego miasteczka w pobliżu rosyjskiej granicy, była jedną z większych sensacji w dniach zwycięstwa nad Francją, proklamowania cesarstwa niemieckiego i koronacji Wilhelma I Białobrodego.**

# Katowice za Kenera

HENRYK SZCZEPAŃSKI

**E**tat po małwersancie wakował. Na miasto i jego magistrat padł cień nieufności. Jedni plotkowali, że Diebel był francuskim agentem a inni, myśląc jego złodziejski skok z romansowymi ekscesami świerklanieckiego księcia Gwidona Donner-smarcka i jego egzotycznej kochanki Paivy, spekulowali że uległ namiętnej miłości do jakiejś Hiszpanki. W ciągu 6 miesięcy do burmistrzowskiego fotela przymierzano trzech komisarycznych pełnomocników, skrupulatnie zaopiniowanych i zatwierdzonych przez nadprezydenta prowincji wrocławskiej. Żaden nie przetrwał próby.

Dopiero 3 kwietnia 1871 r., nominację otrzymał Oswald Kerner, który nazajutrz obchodził 38 urodziny (przyszłedł na świat 04.04.1833). Zgodnie z pruską pragmatyką, on także został przywieziony w teczce. Poprzednio był burmistrzem w Środzie Śląskiej. Nad Rawą urzędował 2 i pół roku. Zmarł nagle, po krótkiej chorobie – 11

listopada 1873 r. Był pierwszym katowickim burmistrzem pochowanym na dziś nieistniejącym cmentarzu ewangelickim przy obecnej ulicy Damrota.

W dowód uznania i wdzięcznej pamięci katowiczanie wybrali Kenera na patrona jednej z ulic Śródmieścia. Po 1922 r. Polacy zmienili jej nazwę na św. Stanisława.

Jemu przypadło w udziale wprowadzenie pruskich Katowic do grona miast nowego cesarstwa Hohenzollernów, ustanowionego w niespełna 3 miesiące przed dniem objęcia posady, a w 2 lata później, przeżywanie transformacyjnych stresów związanych z przekształcaniem miejscowości w stolicę powiatu. Za jego magistratury weszły w życie państwowe przepisy reformujące system miar i wag. W międzyczasie celebrował skromne uroczystości 5. rocznicy miasta liczącego około 8 tysięcy mieszkańców. Był człowiekiem kom-

promisu. Rajców miejskich nakłonił do ustępstw i podpisania ugody z zarządem dóbr Thiele-Wincklerów, o czym miejski dziejopis Hoffmann napisał: „Zarząd dworski we wszystkich kwestiach postawił na swoim. Odszkodowanie za przejęcie obowiązków z administracji policyjnej, szkolnictwa oraz opieki nad ubogimi określono prawie że w wysokości zaproponowanej w chwili przystąpienia do negocjacji.”

## Ratusz na kółkach

**N**a początku 1871., jeszcze przed przybyciem kolejnego komisarycznego „ojca miasta”, radni miejscy z Oswaldem Hertelem na czele postanowili opuścić magistrackie biura, wynajmowane w domu Immerwaha. Kupili dwupiętrową, narożną kamienicę po przeciwnej stronie ulicy, u zbiegu dzisiejszej Stawowej i 3. Maja pod numerem 13. Kilka po-

mieszkań na pierwszym piętrze domu zaadaptowali na mieszkanie, gabinet i kancelię burmistrza. W tej rezydencji, też długo miejsca nie zagrzali. W 3 lata później, zainicjowali przeprowadzkę magistratu z Grundmannstrasse 13 do pomieszczeń stopniowo oddawanego do użytku nowego ratusza wznoszonego tam gdzie obecnie znajduje się gmach teatru im. Stanisława Wyspiańskiego.

### Pod auspicjami Temidy

Nazajutrz, po noworocznych balach 1872 r., pod dachem „trzy-nastki” ulokowała się jednoosobowa delegatura sądu pierwszej instancji dla miasta Katowice. Była jednym z zamiejskowych wydziałów Deputacji Sądowej w Mysłowicach. Wyrokowała pod przewodnictwem pierwszego katowickiego sędziego o nazwisku Bienek. W latach 1866-1871 Katowice znajdowały się pod jurysdykcją sędziów myśłowickich delegowanych przez Królewski Sąd Powiatowy w Bytomiu. Podlegały sądowi apelacyjnemu w Raciborzu.

Wraz z arbitrami wprowadził się tutaj Królewski Urząd Katastralny. Pod nadzorem prawnym skrupulatnie rejestrował grunty i budynki dla celów podatkowych. Pierwszymi jego inspektorami zostali: Nepilly i Neugebauer. To były powijaki miejscowej hipoteki i fiskusa.

### Stoleczne Katowice

W 1872 roku, niezmordowany władca Katowic, jakim pozostawał Wilhelm Grundmann przeszedł w stan spoczynku ale wciąż był obecny – po ojcowsku błogosławił magistratowi i landraturze. W dalszym ciągu zastępowało go dwu zięciów; w sprawach związanych z przemysłem, górnictwem i hutnictwem – inż. Karl Mauve a w sprawach natury społecznej i politycznej – Richard Holtze. Jeszcze do niedawna feudałowie, teraz z ochotą zasiedli na kozle kapitalistycznej furi, do której zaprzęgli chłopów, dopiero co wyzwolonych z jarzma pańszczyzny.

W 1872 r. utworzono koncern „Kattowitzer Aktiengesellschaft für Bergbau und Eisenhüttenbetrieb” (Katowicką Spółkę Akcyjną dla Górnictwa i Hutnictwa), do której przyłączył się zarząd przedsiębiorstwa Thiele-Wincklera wraz z kopalniami i hutami. Mauve został jego szefem. Niebawem rozpoczęło działalność starostwo katowickie i sejmik powiatowy. Tam obok landrata pierwsze skrzyńce grał Holtze.

Do rangi stolicy powiatu Katowice zostały podniesione państwową ustawą z 27 marca 1873 r. Jego obszar wydzielono z dotychczasowego powiatu bytomskiego. Pierwsza landratura i sejmik powiatowy miały sublokatorkę w dwupiętrowym budynku magistratu. Większe zgromadzenia były celebrowane w salach miejscowych hoteli. Na stanowisko pierwszego landrata został wyznaczony asesor rejencyjny, baron Hans von Berlepsch, w kilka lat później ożeniony z Franciszką, najstarszą córką Walecki i Huberta von Thiele-Wincklera.

W mieście zamieszkiwało wtedy około 10 tysięcy osób a w powiecie 8 razy więcej. Należały do niego: miasto Mysłowice oraz gminy wiejskie i obszary dworskie: Bańgów, Bogucice, Brynów, Brzezinka, Brzęczkowice, Bykowina, Bytków, Dąb, Halemba, Wirek, Wełnowiec, Janów, Józefowiec, Kłodnica, Kochłowice, Maciejkowice, Mała Dąbrówka, Michałkowice, Niedźwiedziniec, Nowa Wieś, Przelajka, Radoszowy, Rozdzień, Siemianowice, Słupna, Szopienice, Załęże i Zawodzie.

Z dniem 1 stycznia 1874 r. powołano do życia nowe jednostki administracyjne o nazwie: okręg urzędowy (Amtsbezirk). Każdy obejmował kilka gmin ewentualnie obszar dworski. Właściciele ziemscy zostali pozbawieni władzy policyjnej. Dopiero teraz przeszła do kompetencji naczelnika okręgu – Amtsvorstehera, wybieranego przez sejmik powiatowy i mianowanego przez prezydenta rejencji. Od tej pory Winckler i jego plenipotenci zostali pozbawieni rzeczywistego nadzoru nad sądami patrymonialnymi. W projektowaniu reorganizacji miał też udział Kerner i jego magistrat.

Na obszarze ówczesnych Katowic utworzono okręg o nazwie Zamek Katowice (Amtsbezirk Schloß Kattowitz). W jego skład weszły gmina wiejska Brynów (Landgemeinde Brynów) i obszar dworski Katowice (Gutsbezirk Kattowitz). Jego pierwszy naczelnik miał biuro w Zamku Katowice, przy dzisiejszej ulicy Korfante-go. Tam też przyjmował petentów naczelnik nowego okręgu o nazwie Zamek Mysłowice, w skład którego weszły gmina wiejska Janów i obszar dworski Zamek Mysłowice. W okolicy Katowic powstały okręgi: Bogucice, Dąb, Mała Dąbrówka, Wełnowiec, Roździeń-Szopienice, Załęże.

### Niebieskie ptaki

Wprowadzaniu nowych praw, instytucji i podziałów administracyjnych towarzyszyło bezhoło-

wie. Od 1873 roku w okolicy Katowic, niemalże bezkarnie grasowała, grabiła i mordowała banda Eliasza i Pistulki. Jej prowodyrzy wielokrotnie chwytani przez policję i zamykani w celach więziennych zawsze znajdowali jakiś szatański sposób aby wymknąć się zza krat. Stawali przed sądem w Bytomiu i Wrocławiu. Słazaków i Katowice okryli złą sławą. Jako słynni recydywiści, których pełnopostaciowe podobizny wystawiano w berlińskim gabinecie figur woskowych, w dziejach kryminalistyki zajęli szczególne miejsce. Byli na językach całej niemieckiej Rzeszy.

Ich szajka liczyła ponad 40 osób. Jej najbardziej zuchwałą akcją było nocne włamanie do budynku Dyrekcji Thiele-Wincklera w Katowicach. Stamtąd wynieśli szafę pancerną, przechowywaną na pierwszym piętrze. Jedyne strażnik obecny tej nocy został obezwładniony i związany. Bandyci wywelekli go w pole, opodał szosy prowadzącej do Dębu i tu przytrzymali pod strażą. Z łupem na furmance zaprzężonej w skradzione konie oddalili się na bezpieczną odległość. Skrępowanemu sznurami, pod groźbą utraty życia, zakazali ruszania się z miejsca. Do budynku zarządu wrócił o świcie i wszczął alarm. Policjanci ruszyli śladami zaprzęgu. Prowadziły w stronę wielkiego lasu w Dębie. Tam znaleźli rozbitą kasę pancerną, a obok tłące się jeszcze ognisko. Brakowało gotówki w postaci srebrnych i złotych monet oraz papierowych banknotów. Odeszli stąd na krótko przed przybyciem policji. W pobliżu leżały zmasakrowane zwłoki mężczyzny. Twarz i tors ofiary zniekształciły liczne ciosy zadane nożem.

Na jarmarku w Katowicach kramarz, stojący w swojej budzie, podsłuchiwał kobiety opowiadające o szczegółach morderstwa i zuchwałego napadu. Z ich rozmowy wynikało, iż zamordowany był kompanem zbójckiej bandy. Tej nocy pracował na własną rękę. W lesie koło Dębu, spotkał kompanów, którzy akurat nadjechali z kasą pancerną na wozie. Zauważył, że się nieźle obłowili i zażądał udziału w zyskach. Nic nie mógł dostać bo nie brał udziału w akcji. Zagroził, że ich wyda. Wtedy go zadźgali. Każdy, aby wszyscy byli tak samo winni, zadał kilka ciosów nożem. Potem zmasakrowali jego twarz. Zwłok nie udało się zidentyfikować. Pochodził z głębi Rosji. Na Górnym Śląsku był nieznanymi.

Pierwszy proces ujawniający sensacyjne szczegóły odbył się w Bytomiu. Bandyci do niczego się nie przyznali. Stanowcy był zwłaszcza Pistulka

ich herszt. Gdy usłyszał, że szajkę zdradziła jego kochanka, wpadł w furję. Choć spętany, próbował ją zamordować na sali sądowej. Z trudem wyrwano ją z jego rąk.

Eliasz, towarzysz Pistulki, cudem wymykał się policjantom. Długo zastawiali na niego sidła. Schronienie znajdował w najbardziej nieprawdopodobnych zakamarkach. Pojmano go, gdy był chory. Wyzdrowiał w więzieniu. Jeszcze na ławie oskarżonych próbował zmajstrować narzędzie, mogące ułatwić ucieczkę. Wskazującym palcem i kciukiem wyddbłubał gwóźdź z ławy, na której siedział. Chciał go użyć do otwarcia klódek skuwających łańcuchy pętające jego ręce i nogi. Kilkakrotnie skazywano go na stryczek i dożywocie. W owym czasie cesarz Wilhelm I nie podpisywał wyroków śmierci. To uchroniło przestępców od szubienicy. Eliasz umarł w więzieniu na galopujące suchoty. Pistulka zatrudniony przy produkcji papierosów próbował się otruć ćpając liście tytoniowe. Gdy trutka zawiodła, rozstał się z tym światem pogrążony w samobójczej głódowce.

### Przybysze

Niemal równocześnie z nowym burmistrzem, działalność duszpasterską w Katowicach rozpoczął dr Jakub Cohn z Hamburga, wieloletni rabin miejscowej gminy żydowskiej. Zamieszkał w kamienicy swego przyszłego teścia Salomona Goldsteina, przy dzisiejszej ulicy Warszawskiej 5. Jego sojusznikiem stał się Salomon Wiener, prezes gminy synagogalnej, radny miejski, wpływowy kupiec i posiadacz wielu kamienic. Od tej pory, wokół synagogi i trzech kościołów skupia się nie tylko życie religijne ale także ożywiona działalność charytatywna i oświatowa. Aktywnością wyróżniają się organizacje kobiece i młodzieżowe.

W 1871 r., z Gniezna do Katowic przybywa dr Ernst Müller, absolwent uniwersytetu w Halle. Zamieszkuje przy obecnej ulicy 3. Maja 38 i na wiele lat przejmuje kierownictwo miejscowej szkoły przekształconej w gimnazjum. W rok później, do domu przy dzisiejszej ulicy Chopina w Katowicach wprowadza się berlińczyk – Oskar Meister. Reorganizuje Towarzystwo Śpiewacze, istniejące od 1867 r., otwiera pierwszą w mieście szkołę muzyczną, w 1873 inauguruje sezon muzyczny w nowo wybudowanej Reichshalle (obecnie budynek Filharmonii Śląskiej) a po 10 latach zakłada chór, który rozstał w Katowice, jako miasto muzyki. Wtedy też z Wrocławia nad Rawę przybył Louis Borinski – założyciel pierwsze-

go w mieście sklepu kolonialnego później zwanego „delikatesami” a bracia Goldsteinowie – na posesji przy placu Wolności obok – istniejącego tu od lat – tartaku parowego, rozpoczęli budowę stylowej willi do dziś cieszącej się sławą pałacu.

### Schizma

W 1869 roku nad Rawą osiedlił się ks. Paweł Kamiński, który zamieszkał u swego wuja Jana Kuchacza, w narożnej kamieniczce przy ulicy św. Jana 6. Tam na język polski tłumaczył „mały katechizm o nieomylności papieskiej” a potem redagował kolejne numery dwutygodnika „Prawda” – najstarszego polskojęzycznego czasopisma Katowice.

Za magistratury Kenera katowiccy starokatolicy utworzyli pierwszą w Prusach – własną gminę wyznaniową, niezależną od Kościoła Rzymsko-Katolickiego, który w tym czasie, dla swych wiernych wznosił reprezentacyjną świątynię pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Przez Katowice przetoczyła się wojna religijna, zakończona rozłamem w łonie rzymskokatolickiej wspólnoty na Śląsku. Ponad 3 tysiące wiernych nie zaakceptowało uchwał soboru watykańskiego o nieomylności papieskiej. Postanowiło żyć i modlić się wedle dawnego rytuału. Ks. Paweł Kamiński, w lipcu 1871 r., w fachwerkowej świątyni przy dzisiejszym placu Wolności, odprawił pierwsze na terenie cesarstwa – nabożeństwo starokatolickie. Wtedy, w Katowicach rozegrała się jedna z większych bitew ogólnoniemieckiej wojny o państwo laickie, przez posła Rudolfa Virchowa, a potem i przez historię nazywanej „Kulturkampf”. Wygrali ją zwolennicy podporządkowania Kościoła władzy państwowej i wykorzystywania jego instytucji jako organu ideologicznego oddziaływania na masę.

Od Nowego Roku 1871 r. starokatolicy znad Rawy wydawali dwutygodnik „Prawda” Najpierw ukazywał się w języku polskim a później w bilingwalnej wersji polsko-niemieckiej. Był jednym z dwu lokalnych czasopism jakie wtedy wychodziły w Katowicach i pierwszym lokalnym periodykiem w języku Józefa Ignacego Kraszewskiego, który z perspektywy drezdeńskiego emigranta i przeciwnika infallibilizmu obdarzał ją życzliwym zainteresowaniem.

We wrześniu 1872 r. z katowickich i wszystkich pruskich szkół władze oświatowe wyeliminowały nauczanie języka polskiego.

### Ważniejsze dokonania

Jesienią 1871 r., w budynku szkoły Elementarnej, przy obecnej ulicy Młyńskiej 4, tam gdzie dzisiaj znajduje się Urząd Miasta, kilkudziesięciu żaków zasiadło w ławkach pierwszego w mieście progimnazjum, w ciągu kilku lat przekształconego w dwunastoklasową szkołę średnią. Honorowym gospodarzem uroczystej inauguracji, na którą przybyli notable z Wrocławia, Opola i Bytomia był nowy burmistrz Oswald Kerner. On, w imieniu magistratu podpisał umowę kupna parceli przy obecnej ulicy 3. Maja 42, gdzie wnet ruszyła budowa nowoczesnego gmachu Miejskiego Gimnazjum, ukończona w 2 lata później.

Za największe i najbardziej eleganckie hotele uchodziły wtedy: „Welt’s Hotel”, należący do Siegmunda Lebuschera, „Hotel de Prusse”, własność Salomona Wienera oraz „Bartsch’s Hotel” – J. Bartsa.

W okresie urzędowania Kenera rozpoczęto zabudowę północnej i wschodniej pierzei targowego placu nad Rawą, stopniowo przekształcanego na rynek miejski. Od początków XVIII wieku stała przy nim karczma, której najstarszym znanym arendarzem był Kasper Ostawski. Przy południowej krawędzi, jeszcze w połowie XIX stulecia wybudowano tu dwa hotele: Welta i De Prusse. Kolejne pierzeje wzniesione kilkanaście lat później, nadały zabudowie kształt nieregularnego wieloboku.

U schyłku kadencji Kenera liczba mieszkańców Katowic była prawie dwukrotnie większa niż w chwili nadania praw miejskich. Geodeta górniczy Hugo Young w oparciu o wcześniejsze projekty urbanizacji Katowic, przygotował nowe plany zagospodarowania obecnego placu Wolności i jego otoczenia. Miał pełnić funkcje nowego rynku. W pobliżu budowanego ratusza, wzdłuż ulic: Pocztovej, św. Jana i 3. Maja układano trotuary z granitowych płyt i drobnych kostek. Miasto miało już prawie 300 budynków. Najwyższe, to dwupiętrowe. Znacznie wzrosła liczba domów na przedmieściach rolniczych i fabrycznych. Jednak głód mieszkaniowy wciąż dawał się we znaki. Na ulicach, przed kościołami i w przytułkach pojawili się pierwsi proletariusze. Ojciec miasta ubolewał, że ceny najmu lokali są znacznie wyższe niż w innych dużych miejscowościach Śląska a biedni wegetują w suterrenach.

Pracownicy Instytutu Historii oraz Instytutu Kultur i Literatur Anglojęzycznych mogą pochwalić się wieloletnią współpracą naukową z badaczami ze Skandynawii. Dotyczy ona w głównej mierze historii oraz kultury w okresie średniowiecza. Dotychczas współpraca ta obejmowała wspólne inicjatywy naukowe, udział w konferencjach oraz publikacjach a także okazjonalne wykłady gościnne.

Wiele zmieniły możliwości, które otworzyły się wraz z uruchomieniem przez Fundację Rozwoju Systemu Edukacji Funduszu Stypendialnego i Szkoleniowego, w ramach którego powołano kilka programów, w tym Mobilność Studentów i Pracowników Uczelni. Program swoimi zasadami i funkcjonowaniem przypomina dobrze znany Erasmus Plus, niemniej zawiera istotne różnice. Ze względu na fakt, że Fundusz zasilany jest przez środki pochodzące z tzw. grantów norweskich (EEA Grants), jego programy przeznaczone są na finansowanie współpracy instytucji polskich z norweskimi, islandzkimi oraz w Liechtensteinie. Tym samym poprzez Mobilność finansowana jest wymiana studentów i kadry naukowo-dydaktycznej między uczelniami w Polsce oraz Norwegii i Islandii. Istotne znaczenie ma fakt wysokości finansowania w ramach programu, tym bardziej że dotyczy on studiowania i pobytu w jednych z najdroższych krajów świata. W tym względzie program Mobilność wychodzi naprzeciw polskiemu beneficjentom, finansując między innymi, w przeciwieństwie do programu Erasmus, koszty podróży oraz ubezpieczenia.

Uniwersytet Śląski, podobnie jak inne uczelnie w naszym kraju, jest beneficjentem programu Mobilność. Wymiana studentów i pracowników dotyczy Wydziałów Filologicznego i Nauk Społecznych oraz analogicznych jednostek w uczelniach partnerskich. Ze względu na zakres prowadzonych badań i związanych z tym kontaktów naukowych, zakres tematyczny jest póki co ograniczony do zagadnień związanych z historią i kulturą średniowiecza. Niemniej niewykluczone, że będzie on systematycznie poszerzany.

W roku akademickim 2013/2014 Uniwersytet Śląski umożliwił studia w Oslo i Reykjavíku trójce studentów, jednocześnie goszcząc taką samą liczbę wykładowców z uczelni partnerskich. Prowadzone przez nich wykłady i ćwiczenia miały charakter otwarty. W ich trakcie uczestnicy mieli możliwość bliższego zapoznania się z literaturą średniowiecznej Skandynawii, przede wszystkim słynnymi sagami oraz językiem, w którym zostały spisane. Ciekawa tematyka zajęć oraz entuzjastyczne wrażenia studentów odbywających studia na obu partnerskich uczelniach pozwalały wierzyć, że program warto kontynuować i że będzie przyciągał on coraz większą liczbę chętnych.

Wraz z rokiem akademickim 2014/2015 pojawiły się możliwości jeszcze szerszego zakresu działań. Na studia w uczelniach partnerskich wybiera się w jego trakcie siedmioro studentów. Istotne zmiany dotyczą też zajęć prowadzonych przez przyjeżdżających na Uniwersytet Śląski wykładowców. W tym roku otwarte zostały,



Po raz pierwszy Uniwersytet Śląski umożliwia swoim studentom udział w zajęciach poświęconych średniowiecznej Skandynawii. Ich wyjątkowość dotyczy nie tylko podejmowanej na nich tematyki. Wykłady i ćwiczenia prowadzą współpracujący z Uniwersytetem specjalści z Uniwersytetu w Oslo i Uniwersytetu Islandzkiego w Reykjavíku. To wyjątkowa inicjatywa w skali całego kraju.

# O społeczeństwie i kulturze Skandynawii epoki wikingów

JAKUB MORAWIEC



Wykład prof. Jona Vidara Sigurdssona, październik 2014.

w ramach oferty ogólnouczelnianej, trzy, dostępne dla wszystkich studentów, moduły. Warto podkreślić, że udział w zajęciach znajdzie swoje odzwierciedlenie w uzupełnieniu do dyplomu studiów wraz przyznanymi punktami ECTS.

Pierwszy z modułów nosi nazwę „Society and Culture of Medieval Scandinavia”. Składają się na niego cztery bloki wykładów, które poprowadzą profesorowie z Uniwersytetu Islandzkiego (Sverrir Jakobsson, Jan Alexander van Nahl) oraz Uniwersytetu w Oslo (Jon Viar Sigursson, John McNicol). Zakres tematyczny planowanych wykładów obejmuje niezwykle intrygujące zagadnienia. Wśród nich warto wymienić znaczenie pojęcia przyjaźni w średniowiecznej Skandynawii i jego spo-

łeczne implikacje, postrzeganie świata zewnętrznego przez średniowiecznych Islandczyków i jego wpływ na działania tamtejszych elit politycznych oraz miejscową twórczość literacką; rozwój tej ostatniej przez pryzmat otwarcia się na kontynentalne, przede wszystkim francuskie wpływy kulturowe, w końcu społeczne i kulturowe aspekty chrystianizacji Skandynawii. Ważnym atutem przygotowanych w ramach modułu tematów jest ich interdyscyplinarny charakter oraz fakt, że uzupełniają one wiedzę studentów w zakresie, który, ze względu na uboższą bazę źródłową, jest trudniejszy do badania w zakresie polskim.

Zajęcia w ramach kolejnych dwóch modułów prowadzić będzie Marion Poilvez,

doktorantka z Uniwersytetu Islandzkiego w Reykjavíku. Pierwszy z nich zatytułowany jest „Social outcast in Sagas of Icelanders” i dotyczyć będzie marginesu społecznego w średniowiecznej Islandii. To tematyka wyjątkowa, ze względu na fakt, że sagi islandzkie, bodaj jako jedyne jeśli chodzi o średniowieczną literaturę europejską, poświęcają stosunkowo dużo miejsca społecznym wyrzutkom, banitom, starcom i dziwakom. Zajęcia te będą doskonałą okazją do poznania islandzkiego społeczeństwa doby średniowiecza jak i literatury je opisującej. Drugi z modułów będzie poświęcony z kolei Eddzie poetyckiej. To wyjątkowe dzieło, złożone z blisko 30 poematów poświęconych pogańskim bogom i bohaterom Północy. Choć dziś słusznie nie traktuje się Eddy jak „świętej księgi” przedchrześcijańskich Skandynawów, pozwala ona nie tylko poznać funkcjonujące wówczas na Północy mity, ale przede wszystkim mentalność, duchową wrażliwość społeczne normy, którymi mieli kierować się odbiorcy tych opowieści. Jeśli ktoś jeszcze nie miał styczności z Eddą, udział w tych zajęciach z pewnością zachęci go do odrobienia zaległości, tym bardziej że od blisko trzydziestu lat dysponujemy bardzo dobrym przekładem Eddy na język polski.

Planowane zajęcia będą odbywać się w języku angielskim. Również podstawowy warunek ich zaliczenia, odpowiednio esej i prezentacja, mają być przygotowane w języku angielskim. To z pewnością dodatkowa korzyść oraz jednocześnie wyzwanie dla studentów, którzy wezmą w nich udział, aby wykorzystać lub podszkolić swoje umiejętności językowe, szczególnie w zakresie udziału w dyskusji i wyrażania swoich argumentów.

To jednak nie wszystko. Planowane moduły oraz kontakt z naukowcami z uczelni partnerskich powinny być dobrą zachętą dla studentów do wzięcia aktywnego udziału w programie Mobilność i wyjazdu na studia w Oslo lub Reykjavíku. To niepowtarzalna okazja, pozwalająca zdobyć nowe, bezcenne doświadczenia, znajomości oraz spróbować mimo wszystko odmiennego rytmu studiowania, w większym stopniu nastawionego na samodzielną pracę studenta.

Otwarcie powyższych modułów towarzyszy nie tylko przekonanie o ich tematycznej atrakcyjności ale także nadzieja, że inicjatywa ta będzie mogła być kontynuowana i systematycznie rozwijana w kolejnych latach. Cieszy ogromnie fakt bardzo pozytywnego nastawienia obu uczelni partnerskich, które także dostrzegają potencjał związany z programem Mobilność oraz możliwościami, które otwiera przed studentami oraz kadrą naukowo-dydaktyczną. Oczywiście, wiele zależy od stabilności finansowania zapewnianego dotąd przez Fundusz Stypendialny i Szkoleniowy. Wypada jednak wierzyć, że dojdzie do realizacji kolejnych, planowanych skądinąd edycji programu Mobilność a Uniwersytet Śląski będzie mógł być coraz mocniej kojarzony jako czołowy ośrodek badań i studiów nordystycznych w naszym kraju.

Była kobietą niezwykłą – charyzmatyczną, wykształconą, dystygnowaną. To pierwsza polska badaczka i tłumaczka sag islandzkich. Jej dorobek naukowy bardzo wysoko oceniano w kręgach badaczy średniowiecznej literatury skandynawskiej. Do dziś imponuje zakres jej tłumaczeń, obejmujący najśłynniejsze i najobszerniejsze sagi islandzkie. Na ich lekturze wychowały się już pokolenia polskich badaczy i fascynatów sag Północy. Mimo niewątpliwych osiągnięć, nie doczekała się należytego uznania w Polsce powoli odchodząc w niezаслужone zapomnienie. Czas przypomnieć jej osobę i osiągnięcia.

# Projekt EDDA, czyli przywrócić pamięć o Apolonii Załuskiej-Strömberg



JAKUB MORAWIEC

Apolonia Załuska-Strömberg urodziła się 9 lutego 1906 r. w Grudziądzu. Do wybuchu II wojny światowej mieszkała z rodziną w Brodnicy. Nauki pobierała w Kościerzynie, gdzie ukończyła gimnazjum oraz w Warszawie, gdzie zdała egzamin maturalny. Następnie podjęła studia filozoficzne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, aby następnie przenieść się na Uniwersytet Jagielloński a tu zgłębiać historię literatury. Studia krakowskie zwińczyła w 1934 roku obroną dysertacji na temat poezji opisowej Dellie’a, która jeszcze w tym samym roku została wydana drukiem.

W latach 1936 – 1939 Apolonia Załuska-Strömberg pracowała jako lektor języka polskiego na Uniwersytecie w Uppsali. Wiele wskazuje na to, że to właśnie wtedy narodziła się w niej fascynacja średniowieczną literaturą Północy i językiem, w którym była spisywana. Latem 1939 roku wróciła do rodzinnej Brodnicy i tu zastała ją wybuch wojny. Tam spędziła czas okupacji, angażując się między innymi w działalność konspiracyjną w Armii Krajowej.

Pierwsze lata powojenne okazały się dla Apolonii Załuskiej-Strömberg

niezwykle intensywne. Jesienią 1945 roku była zaangażowana w organizację oświaty w Brodnicy, pracując w miejscowym gimnazjum jako nauczycielka języka polskiego. Jednak już w roku następnym otrzymała propozycję objęcia posady lektora języka szwedzkiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam też nie pozostała na długo i jeszcze w tym samym roku przyjęła propozycję powrotu na Uniwersytet w Uppsali, ponownie w charakterze lektora języka polskiego.

Wyjazd z Krakowa do Uppsali był niezwykle ważnym momentem w życiu Apolonii Załuskiej-Strömberg. Po pierwsze okazał się wyjazdem na stałe, z czym wiązało się małżeństwo z Urbanem Strömbergiem. Po drugie, pobyt w Uppsali, niezwykle prężnym ośrodku badań nordystycznych do reszty przekonał ją do studiów nad tą tematyką. Jej specjalnością stała się gramatyka języka staroislandzkiego. Szybko stała się uznanym autorytetem w tej dziedzinie, o czym najlepiej świadczy fakt, że syntetyczne ujęcie tego problemu jej autorstwa, wydane po polsku w Szwecji w 1976 roku, doczekało się także parę lat później niemieckiego wydania.



Jednocześnie, w odpowiedzi na zapotrzebowanie płynące z Polski, Apolonia Załuska-Strömberg podjęła prace translacyjne, przygotowując kolejne tłumaczenia wybranych sag islandzkich. W 1968 roku Ossolineum wydało Sagę o Gunnlaugu Węzowym Języku. Duże zainteresowanie tą edycją w Polsce skutkowało kolejnymi tłumaczeniami. Ukazały się w serii dzieł pisarzy skandynawskich Wydawnictwa Poznańskiego. W 1968 roku wydana została Saga o Njalu, w 1973 roku Saga o Egilu, a rok później Saga rodu z Laxdal. Zwieńczeniem translacyjnego dorobku tłumaczki była Edda Poetycka, którą w 1986 roku wydało Ossolineum.

Jej działalność naukowa i translacyjna była doceniana, aczkolwiek głównie za granicą. Apolonia Załuska-Strömberg była członkiem prestiżowych szwedzkich towarzystw naukowych, Språkvetenskapliga Sällskapet i Samfundet för Nordisk Forskning. W czasie swojej kolejnej wizyty w Islandii w 1975 roku, prezydent Christian Eldjarn odznaczył polską badaczkę najwyższym odznaczeniem państwowym, Krzyżem Rycerskim Islandzkiego Sokoła za zasługi na polu upowszechniania literatury staroislandzkiej.

Należy też wspomnieć o wsparciu jakiego Apolonia Załuska-Strömberg udzielała szwedzkim tłumaczom polskiej literatury. Dotyczyło to szczególnie Lennarta Kjellberga, profesora Uniwersytetu w Uppsali, który systematycznie konsultował z nią przygotowywane przez siebie tłumaczenie Pana Tadeusza, które ukazało się w 1987 roku.

Apolonia Załuska-Strömberg ponad połowę swojego życia spędziła w Szwecji, gdzie zmarła 25 lutego 2005 roku. Mimo tego nigdy nie zapominała o Polsce i swoich rodzinnych stronach. Ogromną satysfakcję sprawiało jej to, że może podzielić się swoją wiedzą i fascynacją z polskim czytelnikiem poprzez kolejne tłumaczenia sag. Pracę tą z pewnością traktowała także jako istotną formę kontaktu z ojczyzną.

Dorobek Apolonii Załuskiej-Strömberg choć imponujący, nie przełożył się na większe zainteresowanie średniowieczną literaturą skandynawską, zarówno naukowców jak i tłumaczy. Poza kilkoma krótkimi notami prasowymi jej tłumaczenia nie doczekały się omówienia czy też recenzji. Przykładem swoistej ignorancji wobec jej osiągnięć były coroczne zestawienia Instytutu Bałtyckiego, poświęcone obecności tematów skandynawskich w polskich badaniach



*Apolonia Załuska-Strömberg*

naukowych. Wydanie Sagi o Gunnlaugu w ogóle w nich nie zaistniało, a wydane w tym samym roku tłumaczenie Sagi o Njalu zostało odnotowane jako dzieło profesora Mariana Adamusa, autora wstępu. Nazwiska Apolonii Załuskiej-Strömberg w ogóle nie wymieniono.

O stosunku do translacyjnego wysiłku Apolonii Załuskiej-Strömberg świadczą też edycje wydane przez Wydawnictwo Poznańskie. We wstępie do wydanej w Szwecji Gramatyki oraz w korespondencji z Jarosławem Iwaszkiewiczem, skarżyła się na politykę redakcyjną wydawnictwa, które bez konsultacji z nią wprowadzało w tłumaczeniu zmiany, które wypaczały sens jej pracy. Brakło też woli postarania się, w przeciwieństwie do Ossolineum, o rzetelne komentarze do treści tłumaczonych sag, które umożliwiłyby czytelnikowi lepsze zrozumienie tego dość specyficznego gatunku.

Nazwisko Apolonii Załuskiej-Strömberg nie zaistniało na dobre, a tym bardziej nie utrwaliło się w polskim obiegu naukowym, literackim i kulturalnym. Polscy czytelnicy sag znają jej tłumaczenia, ale jej osoba nic im nie mówi. A przecież wiemy dziś, że mowa nie tylko o znakomitej i zasłużonej badaczce i tłumaczce. Dzięki rozmowom z osobami, które ją pamiętają jeszcze z czasów brodnickich lub poznały w Szwecji, wiemy, że była to bardzo charyzmatyczna, energiczna i jednocześnie skromna, ciepła i serdeczna osoba. Jej życiorys jest na tyle barwny, że bez wątplenia zasługuje na dokumentację. To intrygująca opowieść o niezwyklej kobiecie, badaczce i emigrantce.

Zmianę tego stanu rzeczy postawiła sobie za cel Fundacja Patrimonium Europae Łukasza Narolskiego i jej współpracownicy. Wiąże się z tym inicjatywa, która przybrała nazwę Projekt EDDA. Przedsięwzięcie to ma promować wiedzę zarówno o Eddzie poetyckiej, wyjątkowym dziele średniowiecznej literatury skandynawskiej, jak i o osobie, dzięki której polski czytelnik ma do niego dostęp.

Działania te, zarówno już realizowane, jak i te planowane, przybierają różną formę. Z jednej strony to zachęta nagrywania się w trakcie czytania Eddy. Filmy, przygotowane w różnej konwencji, których systematycznie przybywa, można oglądać na stronie projektu ([www.projektkedda.com](http://www.projektkedda.com)) jak i na jego profilu na Facebook. Towarzyszą temu drobne konkursy, które sprawdzają wiedzę zarówno w zakresie Eddy jak i Apolonii Załuskiej-Strömberg. Działania te cieszą się sporym odzewem i zainteresowaniem, o czym świadczy między innymi poświęcona im audycja w poznańskim Radio Merkury w grudniu zeszłego roku.

Projekt EDDA ma służyć także przypomnieniu osoby Apolonii Załuskiej-Strömberg i jej dorobku. W planach jest przygotowanie antologii jej niepublikowanych tekstów, głównie poświęconych problematyce tłumaczeniowej. W dalszej kolejności planowane jest przygotowanie jej biografii, która w pełni ukaże osobę Pani Apolonii, zarówno od strony naukowej jak i prywatnej. Jednym z życzeń bohaterki tego tekstu było, aby kiedyś w Polsce powstał fundusz umożliwiający młodym badaczom pójście w jej ślady. Trwają starania aby także tego typu inicjatywę udało się zrealizować pod auspicjami Uniwersytetu Śląskiego.

Zachęcam gorąco do udziału w przedsięwzięciach projektu EDDA, a przede wszystkim do lektury sag islandzkich, które z taką pasją i zaangażowaniem tłumaczyła dla polskiego czytelnika Apolonia Załuska-Strömberg. Już niebawem, nakładem Wydawnictwa PWN, ukaże się, po raz pierwszy w Polsce, kompendium poświęcone sagom islandzkim, przygotowane przez zespół polskich nordystów. Książka będzie dedykowana pamięci polskiej tłumaczki. W ten skromny i symboliczny sposób będziemy mogli podziękować jej za naukowy, pełen pasji, trud, bez którego nie byłoby dzisiejszych badań nad średniowieczną literaturą w Polsce.

Zdjęcie ze zbiorów prywatnych Pani Magdaleny Pramiśfeldt.

# PETER LAUGESEN

Linoryt: Wojtek Łuka



\*\*\*

Cień ulicznej latarni, granica  
rozciągnięta na trawę, jeszcze trzymający  
mróz, cios, linia graniczna  
nocy. Poznać  
się ze śmiercią,  
silnik duszy wyłączony, włosy  
rozwichrzone, dystans,  
nieobecność. Ze starych fotografii  
wypada jakaś postać:

Wirujące szczenię  
wspomnienia.

\*\*\*

Przenikliwy dźwięk gdzieś daleko  
jak głos ptaka w trzcinach  
którego nie znasz i słyszysz go cały czas  
i nie widzisz a do tego ta trąbka  
zatrzepotała nad bagnistymi polami

Czarna ściana smutku i rozpacz  
nad gaworzeniem fortepianu

\*\*\*

piszę do ciebie  
bo mam nadzieję że jest  
coś więcej niż ja

\*\*\*

To właściwie  
bardzo proste  
bardzo proste  
Można łatwo  
sprawić by  
zdawało się trudne  
ale nie jest trudne

W tej chwili śpi  
do czasu gdy zbudzi się  
na końcu nocy  
i początku dnia

w tym samym miejscu  
zawsze  
tu

\*\*\*

Słowa są jak dzieci małe dzieci  
eksplodują na języku hałasują  
w ustach

\*\*\*

Niemal śpiąc  
wysłałam list

Siedzę jakieś pół godziny  
na peronie

i patrzę na port  
gdy wszystko się zmienia

\*\*\*

Światło skacze  
po listopadowym krzewie  
rozszczerzone i oślepiające

\* \* \*

Jestem stromy jak zbocze góry i stary  
i nie widzę

Nie będę już  
tak często uczestniczył

Z tyłu teczek krzyczą  
w sufit liczby

Sypie śnieg wieje wiatr  
zawieja

Plandekę przytrzymują  
ciężkie polana

Puste gniazda  
puste butelki

Na co mi  
inne sprawy

Chcę tylko tego  
co dzieje się teraz

\* \* \*

Wstaje noc  
jak stary mokry pies

\* \* \*

nic nie mówi  
nic nie mówi

krzyk i wołanie strzyżyka

\* \* \*

Język, jaki jest. Świat.  
Zawsze taki był, tu.

Oślepiające światło nad niczym, to tego,  
potykając się i ślizgając nie  
szukamy i nie znajdujemy. Tego drugiego.

\* \* \*

Wiatr wpada  
do lasu  
niczym ryczący odrzutowiec

Pies biegnie  
wiatr zerwał mi z głowy kapelusz

\* \* \*

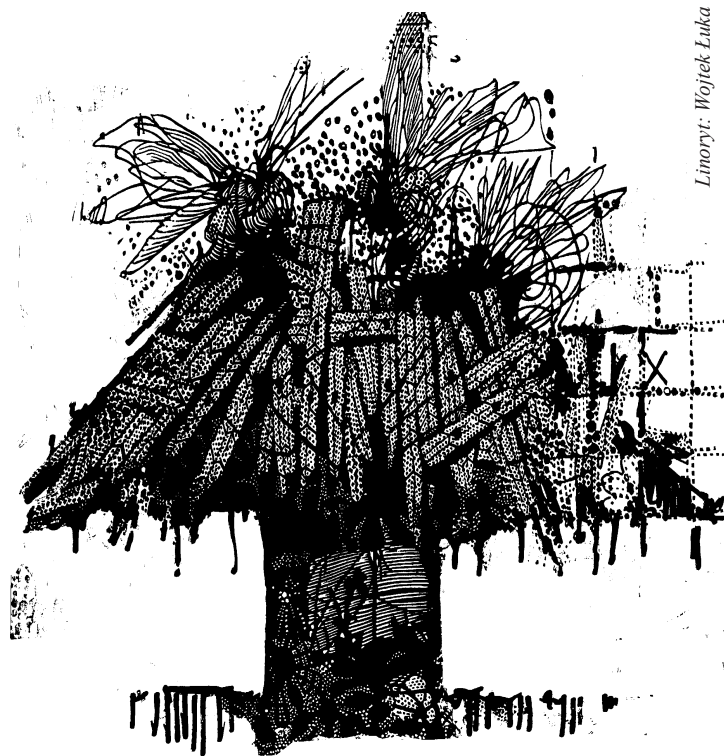
To jest uczucie  
przecucie  
i jest częścią nas  
naszego życia  
choć nie całego

Gdyby było wszystkim i poza nim nic  
bylibyśmy  
na serio

Ale budzimy się z tego snu  
gdy na nas spłynie  
lub wślizgnie się ukradkiem

Budzimy się  
z tego snu

za każdym razem  
tu



Linoryt: Wojtek Łuka

*PETER LAUGESSEN*

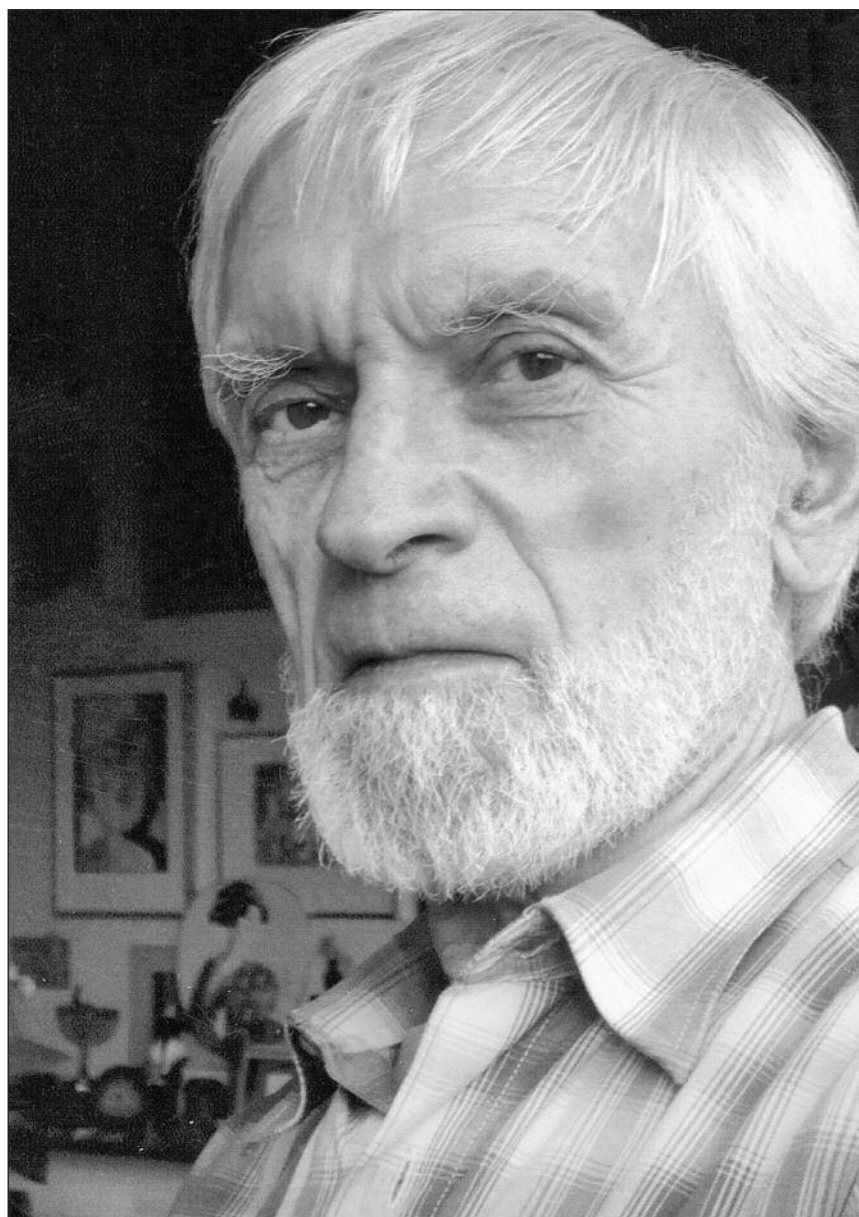
Z języka duńskiego przełożyła  
BOGUSŁAWA SOCHAŃSKA

## Portret ADAMA BUNSCHA wykonany na podstawie opowieści syna Franciszka i wnuka Adama.

Dojeżdżam na jedno z krakowskich osiedli w godzinach przedpołudniowych. Pierwszy przyjmuje mnie prof. FRANCISZEK BUNSCH, drugi syn Adama Bunscha (1896–1969), artysty malarza, twórcy licznych witraży, polichromii i mozaik w kościołach w Polsce i za granicą, dramatopisarza i pedagoga. Rozmowa toczy się wśród licznych obrazów i grafik ojca i syna. Z łatwością rozpoznają także rysunek autorstwa... Stanisława Ignacego Witkiewicza, ale o tym później.

# Malarz śląski?

KATARZYNA BERETA



Franciszek Bunsch

– Pana dziadek Alojzy był artystą rzeźbiarzem, ojciec zajmował się sztukami plastycznymi i dramatopisarstwem, stryjek Karol był powieściopisarzem, brat Alojzy – znany jako Ali Bunsch – był scenografem, reżyserem i dyrektorem teatrów, Pan jest artystą malarzem, grafikiem i profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a Pana syn Jacek zajmuje się reżyserią teatralną i teatrologią. Jak Pan postrzega swój ród? Co przyczyniło się do obudzenia i rozwoju tak licznych talentów?

– Nie potrafiłbym Pani na to precyzyjnie odpowiedzieć. Dla mnie to jest także znak zapytania. Można by domyślać się częściowo wpływów. Pierwszą osobą tzw. artystyczną był dziadek Alojzy, rzeźbiarz. Jego przodkowie nie mieli ze sztuką nic wspólnego, byli raczej prawnikami i urzędnikami, w najlepszym razie mogli być kolekcjonerami. Mój dziadek ożenił się z Marią Aleksandrą Sadłowską, która pochodziła z rodziny lwowskich architektów. W pokoleniu Adama i Karola to mogą być zatem te dwa wpływy – Alojzego rzeźbiarza i rodziny jego żony, czyli architektów Sadłowskich i Rawskich.

Istnieje jednak problem bardziej skomplikowany, tzw. dziedziczenia zainteresowań artystycznych i uprawiania sztuki. I tutaj Pani trafiła na miejsce dla nas dosyć ważne. Na marginesie mogę wspomnieć, że na propozycję muzeum ze Szczecina przygotowujemy z synem dużą wystawę, która będzie mówić m.in. o problemie dziedziczenia. Współcześnie sprawa wygląda zupełnie inaczej w odniesieniu do sztuki niż w innych zawodach. W przypadku rodzin prawniczych i lekarskich jakby sumuje się wiedza. Następne pokolenia dziedziczą i rozbudowują dorobek poprzednich. W sztuce było tak w przeszłości (np. Breughlowie). Wówczas w dużym stopniu opierano się na szeroko rozumianym warsztacie. W epoce obecnej w większym stopniu sztuka opiera się na ekspresji indywidualnej, dlatego rzecz prezentuje się nieco odmiennie. Od strony kontaktów i rzemiosła oczywiście nadal możemy mówić o dziedziczeniu. Ja uczyłem się drzeworytu, kiedy jeszcze nie umiałem pisać, bo byliśmy jako rodzeństwo świadkami tego, co ojciec robił, i jako dzieci próbowaliśmy go naśladować. Ale w sensie artystycznym, tam, gdzie zasadniczą rolę odgrywa dzisiaj ekspresja i własna inwencja, tam sprawa dziedziczenia zaczyna przeszkadzać, gdyż dominuje nad rozwojem indywidualności.

– Dzieciństwo spędził Pan w Bielsku na Śląsku Cieszyńskim. Jakie było to miasto w dwudziestolecie międzywojennym? Jaka panowała w nim atmosfera?

– Zacznę trochę z boku, od strony anegdotycznej. Kiedyś buchnięto mi dowód osobisty. Straszne korowody były z jego odtworzeniem. Pokłóciłem się z urzędniczką w Urzędzie Stanu Cywilnego, która się uparła, że jest przepis nakazujący wpisać Bielsko-Białą, a ja jej dowodziłem, że nie, bo urodziłem się w Bielsku, a nie w Białej. Biała była Białą Krakowską, a Bielsko było śląskie. Na to wpływał cały szereg różnych rzeczy. Ta Białka, struga przecinająca miasto, to była granica wielu spraw: obyczajowych, religijnych, językowych. Myśmy tkwili w strefie śląskiej. W piątek chociażby można było jeść na Śląsku kaszanke, wątrobiankę i różne podroby, a jak się poszło do Białej, to tam był ścisły post. To była oczywiście kościelna dyspensa ze względu na ciężki górniczy i hutniczy przemysł.

Druga rzecz. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, ale chyba od samego początku w szkole powszechnej mieliśmy dodatkowo język niemiecki. Językiem wykładowym był polski, ale niemiecki funkcjonował jako przedmiot obowiązkowy. Coś mi się wydaje, że w Białej tego nie było. Poza tym w Bielsku istniała szkoła podstawowa i gimnazjum z językiem wykładowym niemieckim. Wiem to z praktyki, bośmy się bili z tymi chłopakami.

Pomiędzy tymi dwoma odrębnymi miastami istniały więc wyraźne różnice. To była dawna granica Galicji. Właśnie w Białej Krakowskiej zaczynała się Galicja, a Bielsko było już poza jej granicami.

W przypadku mojej rodziny sprawa jest bardziej skomplikowana. Przeczytam Pani fragment mojego pamiętnika, bo on będzie dość znaczący. „Matka z Podola, ojciec z Krakowa, przodkowie z Austrii, dokładniej z Moraw, a ja z urodzenia Ślązak (?) przez większą część życia mieszkający w Krakowie. Rację ma naukowiec, którego wypowiedź gdzieś przeczytałem, mówiąc, że w dobie globalizacji i związanej z tym migracji przynależność grupowa, w tym i narodowa, pochodzić będzie z wyboru. Tak więc nie automatyczne dziedziczenie, lecz świadome nawiązanie do określonej tradycji. Mimo przerwania w 13. roku życia kontaktów z Bielskiem i później nieudanych prób ponownego ich nawiązania, gdzieś wewnątrz pozostał pewien sentyment, ale jego źródłem jest chyba wspomnienie tam przeżytych najmłodszych lat, a nie samego miejsca jako takiego, bo cóż mnie może dzisiaj z nim łączyć?”

Ale jak ojciec znalazł się w Bielsku? Przecież był krakusiem z urodzenia, tu się kształcił, nie licząc krótkiego okresu w Wiedniu, tu kończył Uniwersytet Jagielloński i Akademię Sztuk Pięknych, tu w młodości zaczął dzia-

łać i raptem wyładował na Śląsku jako nauczyciel rysunków. Otóż ojciec znalazł się tam w ekipie nauczycieli z Krakowa, którzy po plebiscycie mieli spolszczać (z tym nazwiskiem!) szkolnictwo na Śląsku. To była dość duża grupa. Większość w 1939 roku znalazła się z powrotem w Krakowie. Tak więc te relacje z Bielskiem są dziwne. Są jak najbardziej autentyczne, ale są dziwne. Ojciec później i w Bielsku, i w Białej Krakowskiej – bo jeśli chodzi o relacje kulturalne, te dwa miejsca dość ściśle wiązały się – należał do grupy animatorów, m.in. z panią Kazimierą Alberti, żoną starosty w Białej Krakowskiej, który zginął w Miednoje.

Biorąc to wszystko pod uwagę, powstaje problem z oceną twórczości mojego ojca. Czy to jest malarz śląski? Mam gdzieś katalog, gdzie ojciec jest zaliczony do malarzy śląskich (śmiech). Ale tu nie ma prostych odpowiedzi.

– **Moim zdaniem nie można go uznać za malarza śląskiego, rodzi się jednak pytanie o miejsce Bielska i Śląska w malarstwie Pana ojca. Czy ta ziemia znalazła odbicie w jego twórczości?**

– W portretach, w pewnych tematach dokumentacyjnych, w tym, co robił później w Katowicach – we freskach, w niektórych witrażach, chociażby ten słynny witraż w kościele Mariackim w Katowicach przedstawiający kazanie św. Jacka. Tak więc są takie rzeczy.

– **W dwudziestoleciu międzywojennym Stanisław Ignacy Witkiewicz narysował trzy portrety Adama Bunscha. Czy mógłby Pan powiedzieć o okolicznościach ich powstania? Czy obu twórców łączyła bliższa znajomość?**

– Z Witkacym ojciec poznał się chyba przez krąg Albertiowej, bo ona była ściślej związana ze środowiskiem Marusi Kasprowiczowej i kręgiem Witkacego. W 1933 roku Witkiewicz przyjechał do Bielska i z tego okresu pochodzą trzy portrety ojca. Przed jednym z nich Pani stoi, drugi jest u mojego bratanka, a trzeci u siostry w Warszawie. Będąc w Bielsku, Witkacy zrobił także portret Albertiowej. Jego oryginał zaginął gdzieś we Włoszech, dokąd wdowa przeniosła się po wojnie. Czy pamięta Pani, że w „Szewcach” Witkacego występuje paskudny piesek o imieniu Terus? Tak się nazywał piesek Albertiowej!

– **Pana ojciec podczas pobytu w Bielsku uczył rysunków w Państwowej Szkole Przemysłowej. Tam spotkał Gustawa Morcinka, który w 1923 roku ukończył w tej szkole kurs przemysłowo-kupiecki. Jakie były początki i późniejsze dzieje tej znajomości, która przetrwała do śmierci pisarza?**

– Dodam jedynie, że pamiętam z opowiadań ojca, iż uczył nie tylko rysunków. Miał ukończoną na Uniwersytecie Jagiellońskim filozofię, dlatego czasami w ramach zastępstw wykładał także przedmioty humanistyczne. Należałoby to podkreślić, gdyż stąd można wyciągnąć pewne powiązania z działalnością dramatyczną, z pisarstwem.

Natomiast przechodząc do sprawy Morcinka. Jak ta znajomość zachowała się w mojej pamięci? Dla nas była to bardzo barwna postać, którą znaliśmy właściwie od małego dziecka. Bardzo często jeździł z Katowic do Skoczowa i za każdym razem składał wizytę w naszym mieszkaniu, a mieszkaliśmy wówczas blisko dworca. Widać lubił dzieci, bo jak przychodził, to – zaryzykowałbym stwierdzenie – na równi z rozmową intelektualną z moim ojcem bawił się z całą naszą czwórka. Świetnie się z nami czuł i myśmy się świetnie z nim bawili! Pamiętam takie jego powiedzenie: „jak będziesz niegrzeczny, wezmę cię do Skoczowa i będziesz u mnie kozy paść”. Myśmy się z tego oczywiście bardzo śmiali. To charakteryzuje jego doskonały kontakt z nami.

Natomiast była też bardzo tragiczna sprawa. To jest już historia powojenna. Ojciec wrócił z Anglii, on z obozu. Miałem wciąż w pamięci te bielskie spotkania i pewnego dnia byłem świadkiem, gdy po raz pierwszy po pobycie w obozie przyjechał do Krakowa. To był człowiek skończony, skończony psychicznie, skończony fizycznie. Tragiczne spotkanie! Opowiadał ze szczegółami o okrucieństwie pobytu w Dachau, o tym, co się tam działo, a później – to się zanotowało w mojej pamięci najsilniej – o momencie wyzwolenia przez Amerykanów. Alianci zostawili wolną rękę więźniom, którzy urządzili samosąd. Opowiadał nam ze szczegółami o jego przebiegu. To było okrutne! On miał wątpliwości, uważał, że z punktu widzenia moralnego powinien się odbyć nad tymi ludźmi normalny sąd. Owszem, na pewno zakończony w wielu przypadkach karą śmierci, ale nie samosądem i nie tymi torturami, do których więźniowie doprowadzili. Nie chodzi mi jednak w tej chwili o fakty, ale o zmianę w psychice samego Morcinka. Z tego bawiącego się z nami człowieka, barwnego, opowiadającego o kopalniach, stał się człowiekiem psychicznie zrujnowanym. Ja się nie dziwię, że go później namówili na to wystąpienie w sejmie.

– **A jak przeżył II wojnę Adam Bunsch?**

To jest właściwie temat na powieść. W sierpniu przez niecałe dwa tygodnie byliśmy razem na wakacjach w Mucharzu nieopodal Wadowic. Pewnego dnia przyjechał wojskowy samochód



Przed szkołą przy ul. Staszica w Bielsku, 1936 rok

i pan porucznik został wezwany do Bielska. Ojciec był chyba szefem nasłuchu w sztabie. Był wszakże zmobilizowany już w czasie Zaolzia, ale wówczas mieszkał w domu, a w sierpniu pojechał służbowym autem i tylkośmy go widzieli.

Za jakiś czas ojciec dał znać mamie, by zabrała dzieci i pojechała do stryja Karola w Krakowie, bo nie ma co wracać do Bielska, gdyż będzie oddane Niemcom. Nie wróciliśmy więc, tylko mama jeździła jeszcze do domu dwa czy trzy razy pociągiem. Pomagała jej w tym Albertiowa. Jak ta kobieta potrafiła to zrobić, nie wiem?! Podziwiam energię mojej matki! Co się dało, ratowała, wyrwała z ram obrazy, rolowała, składała grafiki i pociągami przywoziła wspólnie ze służącą do Krakowa. Reszta pozostała w Bielsku i wszystko przepadło. Śladu nie ma po bibliotece i po olbrzymich zbiorach grafik!

W Krakowie mieszkaliśmy u stryja koło radiostacji pocztowej. Tam przeżyliśmy bombardowanie, po którym stryjek przeniósł nas do willi znajomego. W nowym miejscu odwiedził nas ojciec, załadował z matką i służącą na ciężarówkę wojskowe i poje-

chaliśmy do Tarnowa. Dalej jechaliśmy furką do Lisiej Góry, 20 km na północ od Tarnowa, bo tam czekał Albertiowie. Jechali samochodem osobowym, a w ciężarówce wieźli dokumenty starostwa. Rozparcelowali nas w ten sposób, że matka z najmłodszym poszła do samochodu osobowego, a służąca i troszkę starsza trójka – na te worki z aktami. No i tak powędrowaliśmy dalej w świat. Dojechaliśmy do Jaworowa. Tam Albertiowie namawiali nas na dalszą jazdę do Lwowa, dokąd sami zmierzali, ale moja matka była umówiona ze stryjenką u jej ojca pod Hrubieszowem. I myśmy się pchali pod ten Hrubieszów nie wiadomo po co, bo stryjenka w międzyczasie zmieniła plan i też wylądowała we Lwowie. Zrobiliśmy więc ogromne koło i dopiero w połowie grudnia wróciliśmy do Krakowa.

Ojca widzieliśmy ostatni raz, gdy załatwił nam furkę w Tarnowie. Jego jednostka poszła dalej na wschód. Po drodze przeszli ostrzał. Ojciec został ciężko ranny i to absurdalnie go uratowało. Dołączyli go do jednostki sanitarniej, która pojechała na Węgry. Później matka znalazła na listach ka-

tyńskich nazwisko jednego z oficerów, który był w jednostce ojca...

Z obozu nad Balatonem organizowano półlegalne wyjazdy oficerów w cywilu przez północne Włochy do Francji. Ojciec przeszedł całą kampanię francuską, będąc przy sztabie Sikorskiego, ale nie wiem, w jakiej funkcji. Pamiętam tylko, jak opowiadał, że z Angers ma bardzo nieprzyjemne wspomnienie. Gdy wycofywali się z Paryża, ojcu powierzono spalenie dokumentów sztabu. I mówił, przepraszam za wyrażenie: „cholera, to się nie chciało palić!”, a tu Niemcy już nadchodzili. Stąd też wiem, że musiał być oficerem sztabowym, bo innemu nie powierzono by takiej misji.

W końcu wylądował w Szkocji. Był tam oficerem oświatowym, chyba tak to się nazywało, z przydziałem do Dywizji Maczka, dlatego później zaprojektował jej odznakę. Jako korespondent wojenny wędrował pomiędzy sztabem Maczka a jednostkami lotniczymi i stąd są te sprawozdawcze rysunki z lotnisk i pancerniaków Maczka.

Ojciec poza funkcją oficera oświatowego oraz reportażami i szkicami

wojennymi związał się z Polską Misją Katolicką w Londynie Devonii. Współpracując z ks. infułatem Władysławem Staniszewskim, opracował cały szereg rzeczy do tamtejszego kościoła.

– **Jakie ślady wojna zostawiła w twórczości Pana ojca?**

– Ojciec wykonał wiele kompozycji, w których sięgał do tematyki wojennej. W pierwszym okresie twórczości, który cenię wyżej, były ślady I wojny światowej. I one były w formie quasi-symbolicznej, moim zdaniem świetnie przez ojca oddane. Natomiast te rzeczy, które się pokazywały po II wojnie, niestety są zbyt narracyjne.

– **W czasach PRL-u zaprojektował wiele elementów wystroju kościołów: witraże, polichromie, mozaiki. Czy ta aktywność wiązała się z jakimiś utrudnieniami ze strony władz?**

– Ojciec miał jakieś trudności ze stałym angażem. Nie wrócił do Bielska, natomiast zamieszkał w Krakowie, wobec tego jako nieprzerwany nauczyciel Szkoły Przemysłowej zgłosił się tutaj do takiej samej placówki. Strasznie tu coś kręcili, bo niby przyjeźli go na etat, ale nie dali godzin, pisała więc jakieś podręczniki. Powstała dwuznaczna sytuacja, na którą ojciec machnął w końcu ręką i związał się z kręgami kościelnymi. I ta współpraca bardzo ładnie się ułożyła, szczególnie w diecezji katowickiej. Tam miał świetne kontakty, często u niego bywał m.in. bp Herbert Bednorz. I mam wrażenie, że nie miał żadnych trudności w tej współpracy. Poza tym, szczerze mówiąc, nawet w PRL-u, nawet przy aresztowaniu Wyszyńskiego, Kościół jednak zachowywał swoją pozycję w Polsce i duży stopień niezależności. Nie wiem, czy w innym państwie byłoby to możliwe, np. w Czechosłowacji.

– **Który z projektów elementów wystroju wnętrz śląskich kościołów Pan jako profesor krakowskiej ASP uznaje za najlepszy?**

– Zdecydowanie zespół witraży w kościele Mariackim w Katowicach. Ale będę szczerzy. Nieistniejące już freski w tymże kościele były w moim rozumieniu pomyłką. Ojciec próbował przenieść na ścianę elementy z malarstwą sztalugowego, a tu tkwi pomyłka. Ściana, proporcja, wnętrze, oddziaływanie, sposób odbioru – tego nie można pogodzić. Natomiast uważam, że trafny jest i dobrze rozwiązany witraż ze św. Jackiem. Bardzo dobre są także niektóre witraże z grzechami i cnotami.

– **Podobnie jak Stanisław Wyspiański Pana ojciec zajmował się nie tylko sztukami plastycznymi, ale i dramatikarstwem. Czy to był wpływ synkretyzmu młodopolskiego, z którym musiał się zetknąć jako uczeń Józefa Mehoffera, czy po prostu osobista potrzeba?**

– Chyba to, co Pani powiedziała, ten synkretyzm. I to jest w jakimś sensie związane z epoką.

W jego malarstwie jest widoczne dążenie do teatralizacji, literacka symboliczność wyboru i ujęcia tematu. Twórcy tego okresu sięgali do różnych środków wypowiedzi. U ojca była to również chyba jakaś skłonność organiczna. Ponadto miał wykształcenie nie tylko artystyczne, ale i filozoficzne.

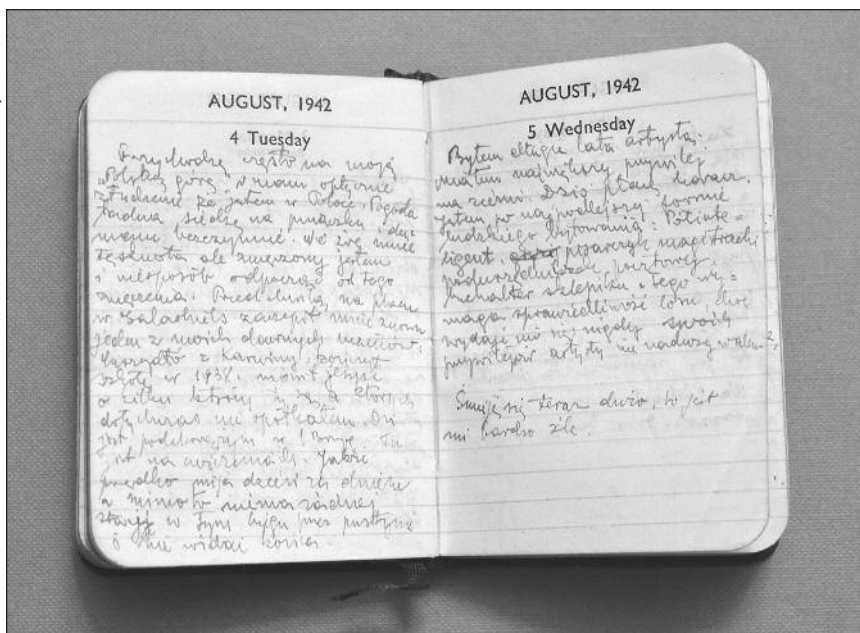
*Ze świątyni sztuki prof. Bunscha przenoszę się w odległą dzielnicę Krakowa, by tym razem w domu dra inż. ADAMA BUNSCHA, metalurga, wnuka Adama i bratanka Franciszka, zapoznać się z przepastnym archiwum, jakie uporządkował po swoim przodku jeszcze ojciec Pana Adama,*

*także Adam. Także tutaj widzę na ścianach obrazy Adama. Moją uwagę zwracają szczególnie dwa, które gospodarz również ceni najbardziej. Pierwszy, to portret żony artysty – Ludwika z d. Kunaszowskiej – wraz z czwórką ich dzieci. Drugi, zatytułowany Przebudzenie, przedstawia młodą kobietę siedzącą na chustce, a w prawym górnym rogu widać oddalające się buty żołnierza. Wiem, że gdzieś znajdę drugi z portretów wykonanych przez Witkacego, więc ze spokojem konstatuje jego obecność w jednym z pokojów.*

Gospodarz zaczyna snuć własną opowieść o wydarzeniach, które przybliżył mi wcześniej jego stryjek, prof. Franciszek Bunsch. Ta narracja jest jednak ilustrowana licznymi dokumentami. Dowiaduję się, że w skrupulatnie posegregowanej spuściznie, która zajmuje kilka kartonów, odnaleźć można takie bezcenne pamiątki, jak listy gen. Stanisława Maczka, Gustawa Morcinka oraz ks. Karola Wojtyły. Przeglądam także szkicownik wojenny oraz notatnik, który Adam Bunsch prowadził podczas pobytu w Anglii. Gdy czytam fragment odręcznych zapisków, mój rozmówca nie kryje wzruszenia, które podkreśla słowami: „Nie można tego spokojnie czytać”.

Na pytanie, jaki jest najcenniejszy skarb w domowym archiwum, Adam Bunsch wnuk nie potrafi odpowiedzieć. Dla jego rodziny wszystko ma bowiem wartość sentymentalną. Gdy docieramy jednak do rękopisów dramatów, dostrzegam kopalnię tematów badawczych dla literaturoznawcy, dla kogoś, kto podjąłby się krytycznego wydania sztuk Bunscha. Potem otwieramy kolejny karton z rysunkami projektów witraży i mozaik, w tym do wielu śląskich kościołów. Szukam najbliższych mi mozaik z kościoła św. Jadwigi w Chorzowie. Niestety w tym morzu papierów nie udaje mi się odnaleźć poszukiwanego szkicu Chrystusa Pantokratora, którego realizację przerwała śmierć artysty. Zawsze zastanawiałam się, jakie byłoby prezbiterium, gdyby zagórował nad nim obraz z misternie ułożonych kamyczków. Tym razem się nie dowiem, ale wszystko przede mną i przed innymi zainteresowanymi spuścizną po Adamie Bunsch, malarzu śląskim (?). Jego wnuk z ogromną przyjemnością dzieli się nie tylko wiedzą, ale i pozwala dotknąć archiwalnych dokumentów. Czuję się swego rodzaju kustoszem dorobku przodka, dlatego stworzył i prowadzi stronę internetową <http://adam-bunsch.pl/>, na którą odsyłam wszystkich chcących pogłębić znajomość synkretycznej twórczości Bunscha.

Fot. Katarzyna Bereta



Notatnik wojenny Adama Bunscha



Tychy około 1965 roku: domy na Stachowej Kępie i widok na osiedle D.

# Nieoczywiste Tychy

MARIA  
LIPOK-BIERWIACZONEK

Gdyby zapytać nie-tyszanina, z czym kojarzą mu się Tychy, odpowiedziałby pewnie, że z nowym miastem, z browarem i piwem, z fabryką Fiata. Niektórzy dopowiedzieliby, że z Ryśkiem Riedlem i z Jeziołem Paprociańskim, a miłośnicy sztuki – że z kościołem Ducha Świętego z polichromiami Jerzego Nowosielskiego.

Wszystkie wymienione skojarzenia to tylko cząstka tyskiego obrazu. Oglądany dokładniej ujawnia kolejne szczegóły, ale jeszcze więcej można ich wydobyć, kiedy podejmie się trud zajrzenia pod zewnętrzną powłokę.

## Palimpsest

Jest takie piękne słowo: palimpsest. Ostatnio stało się modne w naukach społecznych jako metafora określająca charakter antropogenicznej przestrzeni. Przypomnijmy: określenie „palimpsest” w jego pierwotnym znaczeniu to, jak podaje słownik: *„rękopis starożytny lub średnio-wieczny pisany na pergaminie, z którego wy-tarto tekst pierwotny (z greckiego palim ptestos – „znowu zeszkrobany”)*. Definicja zwraca uwagę na świadome działanie – pierwotną treść usuwano, by na oczyszczonym podłożu móc zapisać nową treść.

Przeniesienie rozumienia greckiego terminu ze sfery praktyk dawnych skrybów na działalność człowieka w otaczającej go

przestrzeni to ciekawa metafora. Wiele razy w historii i w różnych miejscach na świecie „zeszkrobano” warstwę dotychczasowej zabudowy i całego układu osadniczego, by „zapisać” przestrzeń od nowa – jak stary pergamin wielokrotnego użytku. Dla zachowania obiektywizmu trzeba jednak zaznaczyć, że równolegle praktykowano także inny sposób: nową treść nanoszono (stosując język użytej już metafory) obok starego zapisu, nie niszcząc go lub wyszkrobując tylko gdzieś indziej. Dzięki temu wiele miast zachowało swoje starówki, historyczne układy urbanistyczne, doceniane współcześnie.

## Miasto stare i nowe

W Tychach, przypomnijmy, nowe miasto rozpoczęło budować w 1951 roku, po decyzji podjętej w październiku 1950 roku przez Prezydium Rządu. W momencie rozpoczęcia wielkiej budowy Tychy były w szczególnej sytuacji: były najludniejszą miejscowością na ziemi pszczyńskiej, bo liczyły ponad 10 tysięcy mieszkańców (więcej niż Pszczyzna jako stolica powiatu), ale miały status wsi. W 1945 roku powojenna władza odebrała bowiem Tychom częściowe prawa miejskie, nadane miejscowości w 1934 roku w uznaniu dla jej ówczesnego rozwoju i wzrostu liczby mieszkańców, z których większość utrzymy-

wała się z pracy pozarolniczej. W latach międzywojennych pracowały tu dwa duże browary, fabryka celulozy, był szpital, cztery szkoły powszechne, dworzec kolejowy, gazownia, wybrukowane i wyasfaltowane ulice, kino, basen kąpielowy. Wydana została monografia historyczna miejscowości pióra Ludwika Musioła.

W 1945 roku nowa władza nie uznała owych „częściowych praw miejskich” i status miejscowości ucierpiał. Toteż kiedy pod koniec 1950 roku w Warszawie zapadły dwie kolejne decyzje: o rozbudowie Tychów do wielkości 100-tysięcznego miasta oraz o nadaniu miejscowości od 1 stycznia 1951 roku praw miejskich – część mieszkańców przyjęła to z satysfakcją. Inni byli jednak pełni obaw zadając pytanie, gdzie to miasto zostanie wybudowane. Niektórym wydawało się, że wystarczy na tę budowę gruntów po upaństwowionym folwarku. Te wyobrażenia okazały się naiwne – na terenie dawnego folwarku faktycznie rozpoczęto budowę, ale zmieściło się tam tylko pierwsze osiedle, nazwane w planach osiedlem A. Literowa nazwa pozostała na długie lata, podobnie było w przypadku późniejszych osiedli, znakowanych na deskach projektantów kolejnymi literami alfabetu – te oznaczenia przeniosły się do tymczasowych adresów i do języka potocznego.

## Tyski palimpsest

Nowe osiedla zbudowane zostały w większości na polach należących do gospodarzy tyskich i paprociańskich. Nie była to zatem przestrzeń niczyja i nie była to przestrzeń bez treści, choć nie wypełniała jej wcześniej zabudowa miejska. Wiele tu było jednak „wpisanych” wartości kulturowych, miejsc symbolicznych i znaków. Ten dawniejszy „zapis” przykryty został „zapisem” nowym.

Poszukiwanie dawnej treści przynosi w przypadku Tychów ciekawe rezultaty. Spróbujmy chociażby odczytać przebieg starych szlaków komunikacyjnych. Budowa nowego miasta zmieniła przebieg dróg – wytyczono nowe, o dość regularnej siatce, która poprzecinała stare trakty, wymazując je z przestrzeni. Gdzieś indziej jednak ocalały ich fragmenty, które przypominają o minionym świecie. Pozostały też opowieści, które nabierają cech mitycznych.

## Trakt paprociański

Plan ogólny, według którego budowano nowe miasto, autorstwa Kazimierza i Hanny Wejchertów, lokował przyszłe centrum miasta, objęte kwadratem ulic o boku 1 kilometra, pośrodku przestrzeni pól. Właśnie w obrębie tego kwadratu, wytyczonego na styku gruntów tyskich i paprociańskich, mniej więcej po jego przekątnej, biegła stara droga obsadzona głównie jesionami. To była droga ważna dla lokalnego świata, łączyła bowiem kiedyś wieś Paprocany z Tychami, gdzie był kościół parafialny, do którego należeli mieszkańcy Paprocana, a przy nim cmentarz, miejsce spoczynku ich zmarłych (własny niewielki kościół, filialny tyskiego parafialnego, paprocanie zbudowali w 1937 roku). W Tychach były sklepy, był browar, w którym niektórzy pracowali, a przede wszystkim dworzec kolejowy, z którego można było dojeżdżać da-



lej, do pracy w hutach i kopalniach w okolicy Katowic. Wspomniana droga nazywana była przez miejscowych „szosa”, pod koniec lat 30. pokryto ją asfaltem.

Ten sześciokilometrowy mniej więcej trakt w przeszłości został w kilku miejscach wzbogacony świętymi znakami – stoją przy nim (m.in. na granicy dawnej zwartej zabudowy) cztery krzyże kamienne, zwane na Śląsku Bożymi Mękami, ufundowane w różnych latach w XIX wieku, a także piękna figura Matki Boskiej (chwilowo zdemontowana). W sąsiedztwie tej ostatniej do lat 70. XX wieku stała kamienna kapliczka, zwana szwedzką, po której pozostał do dziś tylko dolny wielki kamień brzuchatego trzonu. Kapliczkę wzniesiono w miejscu, które identyfikowano jako miejsce pochówku żołnierzy szwedzkich, podobno z czasu wojny trzydziestoletniej. Niegdyśjsze wędrowanie tą drogą musiało zatem budzić różne refleksje.

Tego traktu jako całości już nie ma, ale zachowały się jego fragmenty, m. in. odcinek alei Niepodległości, jednej z głównych ulic miasta, czy aleja spacerowa we wnętrzu osiedla D. Te fragmenty mało kto dziś odczytuje jako części istotnego szlaku komunikacyjnego – ale warto jego obraz wywołać, jak ze starego palimpsestu. Pozwala to zrozumieć chociażby lokalizację starych przydrożnych krzyży.

### Jezioro dla huty i pilska droga

Od dawnego traktu paprociańskiego odgałęziła się kiedyś droga, nazywana przez mieszkańców Paprocan „pilską”. Wszystko dlatego, że przed wielu laty prowadziła do piły, jak nazywano na Śląsku tartak. Piła znajdowała się na południowym krańcu wsi, nad rzeką Gostynią. Tam też w 1703 roku baron Baltazar Erdmann Promnitz, pan na Pszczynie, kazał uruchomić hutę. Urządzenia huty potrzebowały stałego poziomu wody, więc usypano groblę, spiętrzone wody rzeki i powstało Jezioro Paprociańskie. Domy, zbudowane w pobliżu huty utworzyły przysiółek Paprocan zwany Paprocką... Piłą, utralając w nazwie pamięć o wcześniej pracującym tam zakładzie. A droga wśród pól, prowadząca skrótem w kierunku Tychów, nazywana była przez wieki drogą „pilską”. W miejscu, gdzie obie drogi („pilska” i szosa) łączyły się ze sobą, przy wjeździe na obszar Tychów, w 1887 roku gospodarze Jakub i Marianna Czardybonowie ufundowali okazały krzyż kamienny, z figurami świętych umieszczonymi w niszach z trzech stron cokołu, jeden z tych, który dodał symbolicznych znaczeń traktowi paprociańskiemu.

Zauważmy, ile wątków splata się w całość, kiedy staramy się wczytać się w zatarte zapisy przestrzeni – palimpsestu. Ale nie dość tego. Wspomniany krzyż stał się w 1979 roku przyczyną kilkudniowej manifestacji tyszan. Nie sam krzyż, oczywiście, ale próba jego usunięcia przez komunistyczne władze miasta. Kamienny święty pomnik stał bowiem niezmiennie w miejscu wybranym przez fundatorów, ale po latach poprowadzono w jego sąsiedztwie jedną z głównych ulic nowego miasta. Tę szeroką ulicę w połowie lat 60. wybrano na trasę pochodów pierwszomajowych. Krzyż jako świadek pochodów zaczął komuś przeszkadzać, więc w 1979 roku, w dniu 23 kwietnia, w czasie przygotowań do świętowania, pojawiła się



Miejsce, zwane Stachową Kępą, współcześnie: budynki na osiedlu N.

ekipa z ciężkim sprzętem i zdemontowała krzyż. W jego obronie zebrał się tłum mieszkańców i wobec rosnącej na sile manifestacji władze zdecydowały o pospiesznym ponownym montażu zabytkowego obiektu w tym samym miejscu. I tak kamieńna Boża Męka, ustawiona pod koniec XIX wieku u zbiegu dwóch paprociańskich dróg, wpisała się dramatycznie w historię nowego miasta, zwanego przez parę dekad socjalistycznym.

### Stachowa Kępa przy pilskiej drodze

Wspomniana pilska droga, prowadząca od krzyża Czardybonów w kierunku Paprockiej Huty i przysiółka zwanego Paprocką Piłą, wspięła się na wznesienie, najwyższe w okolicy, nazywane Stachową Kępą. W tym miejscu po obu stronach gruntowej drogi do końca lat 60. XX wieku stały dwie zagrody oraz – wieża triangulacyjna, wskazując najwyższy punkt w okolicy (279,5 m n.p.m). Wiodącą tędy piaszczystą drogą przez wiele lat w letnie, słoneczne niedziele ciągnęły pielgrzymki tyszan, wędrujących pieszo nad Jezioro Paprociańskie, po wypoczynku. Korzystały z niej tłumy tyszan, bo jedyny autobus jeżdzący wtedy do Paprocan kursował rzadko, a samochodów prywatnych było mało.

Ówczesne Tychy (z lat 60. XX wieku) to była połowa obecnego miasta – nowe osiedla rozciągały się po północnej stronie wykopu kolejowego, na południe od niego rozciągały się pola. Upragnione miejsce wypoczynku nad Jezioro Paprociańskie znajdowało się właśnie za rozległą połacią tych pól. A zagrody i wieża triangulacyjna na Stachowej Kępie wracającym znad jeziora do miasta wędrowcom mówiły, że do domu już blisko.

Budowa kolejnych tyskich osiedli przeniosła się na południową stronę wykopu kolejowego w 1972 roku. Wkrótce potem na Stachowej Kępie wyrosły wieżowce. Sielski pejzaż zniknął pochłonięty przez miasto.

### Książęce ślady

Tyska narracja jest, jak widać, wielowątkowa: nowe miasto i dawne miasteczko, miejsca kontaktu z *sacrum* i miejsca

owiane legendą. Są też ślady książęcej obecności.

Te ostatnie mogą być dla niektórych zaskoczeniem. Chodzi, oczywiście o ślady książąt pszczyńskich, choć ściślej trzeba by mówić o panach na Pszczynie, bo nie wszyscy właściciele tej ziemi mieli tytuły książęce. Warto pamiętać, że Tychy położone są w samym środku historycznej ziemi pszczyńskiej. Pszczyna położona jest na jej południowym skrawku, zaś jej północny kraniec to dzielnice dzisiejszych Katowic – nie tylko Podlesie, Kostuchna i Murcki, ale także Piotrowice, Ochocjec i Ligota (ta ostatnia była wsią w powiecie pszczyńskim do 1924 roku, do czasu włączenia w granice administracyjne Katowic).

Różne kolejne zmiany administracyjne (w 1954 roku podział powiatu pszczyńskiego i wydzielenie z niego powiatu tyskiego, w 1975 roku likwidacja powiatów, a w 1999 roku utworzenie nowych, mniejszych powierzchniowo) spowodowały, że w świadomości mieszkańców historycznej ziemi pszczyńskiej stopniowo zacierało się poczucie wspólnoty historii i tradycji kulturowej.

W przestrzeni Tychów zachowały się jednak wyraźne ślady książęcej obecności: sąsiadujące ze sobą pałac i browar w dawnym kompleksie dworskim, korona książęca jako znak firmowy produktów tyskiego browaru, szosa z Tychów do Murcek, zbudowana z książęcego nakazu w 1863 roku, żeby usprawnić połączenie z kopalnią książęcą w Murckach, czy pozostałości po Hucie Paprockiej. A wreszcie – Jezioro Paprociańskie, które tyszanie uważają za największą atrakcję swojego miasta, a które powstało w wyniku decyzji gospodarczych panów na Pszczynie.

Takie to są tyskie nieoczywistości.

W Muzeum Miejskim w Tychach do 25 kwietnia eksponowana jest wystawa „Tychy oczywiste i nieoczywiste. Książęce ślady, dotknięcie *sacrum* i nowe miasto”. „Śląsk” objął patronat nad wystawą.

# JAN ERIK VOLD

Ur. w 1939, wybitny poeta norweski, również tłumacz, krytyk, eseista, współredaktor i redaktor kilku antologii poezji norweskiej, nadto autor książek poświęconych współczesnym poetom i pisarzom norweskim, W Norwegii uważa się powszechnie, iż Jan Erik Vold w znacznej mierze ukształtował obraz dzisiejszej literatury norweskiej, zwłaszcza poezji.

## PO DRODZE

w mrok, po  
drodze w  
światło – kto? Nie twarz

ale ciało. Nie  
tyle ciało  
ile plecy. Ta  
która. Ten który. To które

ani  
milczy  
ani  
mówi.

## ŚLAD

Śnieg  
Ślad  
przez chwilę. Ktoś

szedł tamtędy, ale  
już  
poszedł.  
Był taki czas, było takie

ciało. W drodze do  
w drodze  
od  
innego ciała.

## ŚNIEG PADA, GDZIE PRZYBYWAŁO

radości. Radości  
ubyło  
a śniegu przybywa

wzdłuż wszystkich  
ścian  
domu.  
Nie ma w ogóle śniegu, nie

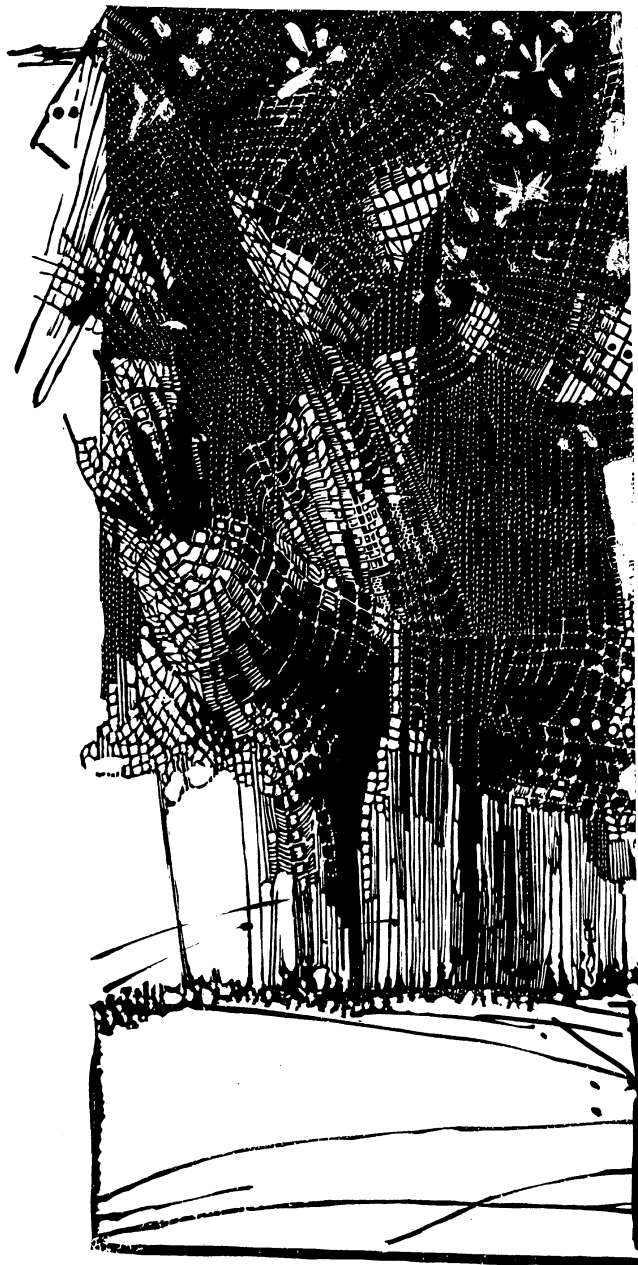
ma w ogóle  
domu. Jest tylko oko  
które  
patrzy na zewnątrz.

## Z

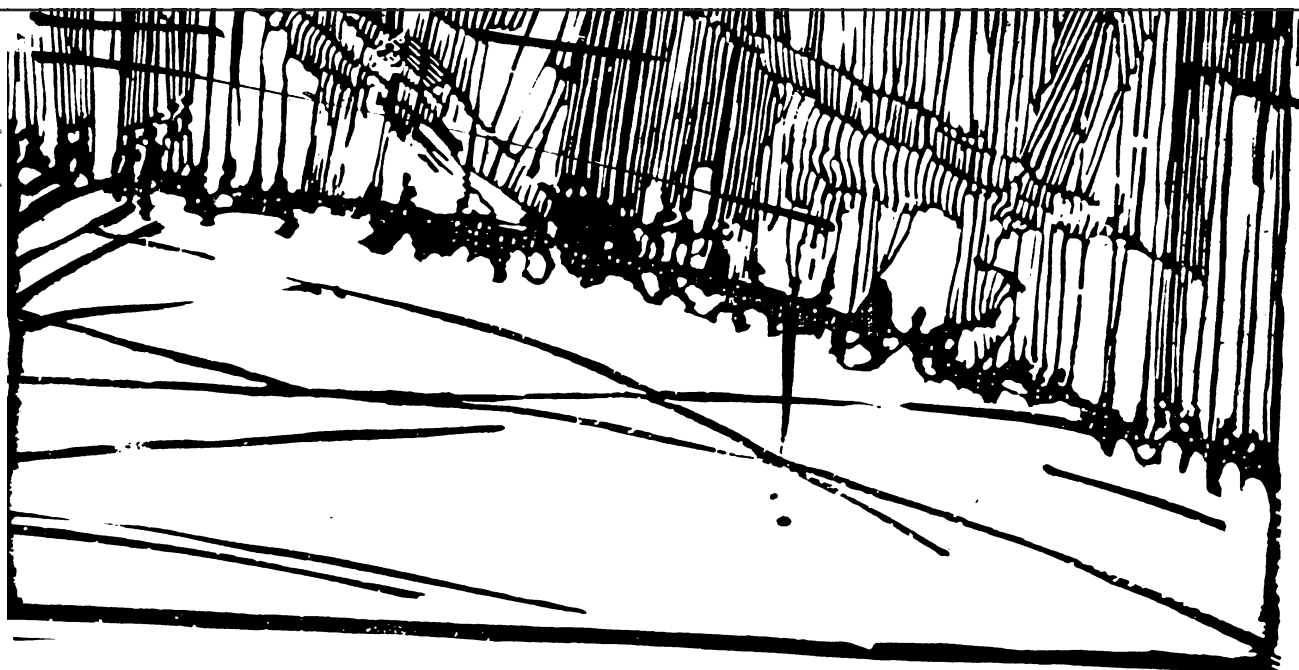
jakiejś głowy. Z domu  
oka. Drzewo  
jest

nagie. Drzewo jest  
okryte  
liśćmi.  
Lipa na wietrze. Pada śnieg.

Uchodzi krew. Deszcz.  
Znak.  
Siedem Sióstr  
wskazuje osiem kierunków.



Linoryt - Wojtek Łuka



### **ŚNIEG CHCE DO ŚRODKA. ŚNIEG**

*chce  
rozmawiać  
z nami. Gdyby nie*

*szyby okienne. Gdyby  
nie  
zasuwki. Gdyby nie szklana kula  
która obezwładnia*

*całe miasto. I zakrywa  
wszystkie ślady. Ale my, my  
zostawiamy  
nowe ślady. Te również zakrywa.*

### **CZY ŚNIEŻYCA TO**

*szczypta  
z klepsydry na  
wietrze? Czy to, co się mówi*

*to teleksy z gazet  
odwijane  
z olbrzymich  
roli papieru? Wycinki piętrzą się*

*na podłodze. Tam  
gdzie przedarłeś  
papier  
tam zatrzymałeś świat.*

### **KTOŚ**

*powiedział: To coś nowego. To  
zdarzyło się.  
O tym*

*warto  
opowiadać. Ale tyle innych  
rzeczy zdarzyło się. Których  
nikt*

*nie stelefotografował. Których  
nie było w gazecie. O których  
zrobiło się głośno  
sześćdziesiąt lat później.*

### **„ŻEGNAJCIE**

*kochani.  
Już mnie  
więcej*

*nie  
zobaczycie. Dziś  
w nocy  
zaaresztowano nas.” Czy*

*słyszałeś? Jak cicho  
zrobiło się  
gdy śnieg  
przestał padać?*

# JAN ERIK VOLD

## **IF**

*ever. Teraz kołuje jak pies  
co  
zgubił*

*kość.  
Śnieg  
to popiół  
ziemia*

*jest biała. Nie  
wiemy  
co  
uczyniliśmy.*

## **I CZYNIMY**

*to znowu. Z kneblem  
na  
kolanach. Płynącą*

*czerwień  
nazywamy  
błękitem. Twoje serce  
mówi Nie, ale twoje*

*usta... Żołnierze  
rozwytują  
tych  
co przeżyli.*

## **OCZYWIŚCIE**

*że  
niszczymy. Nie  
zmierzch. Nie świt. Dym*

*posłaliśmy  
do  
nieba. Tam  
nie zostawia*

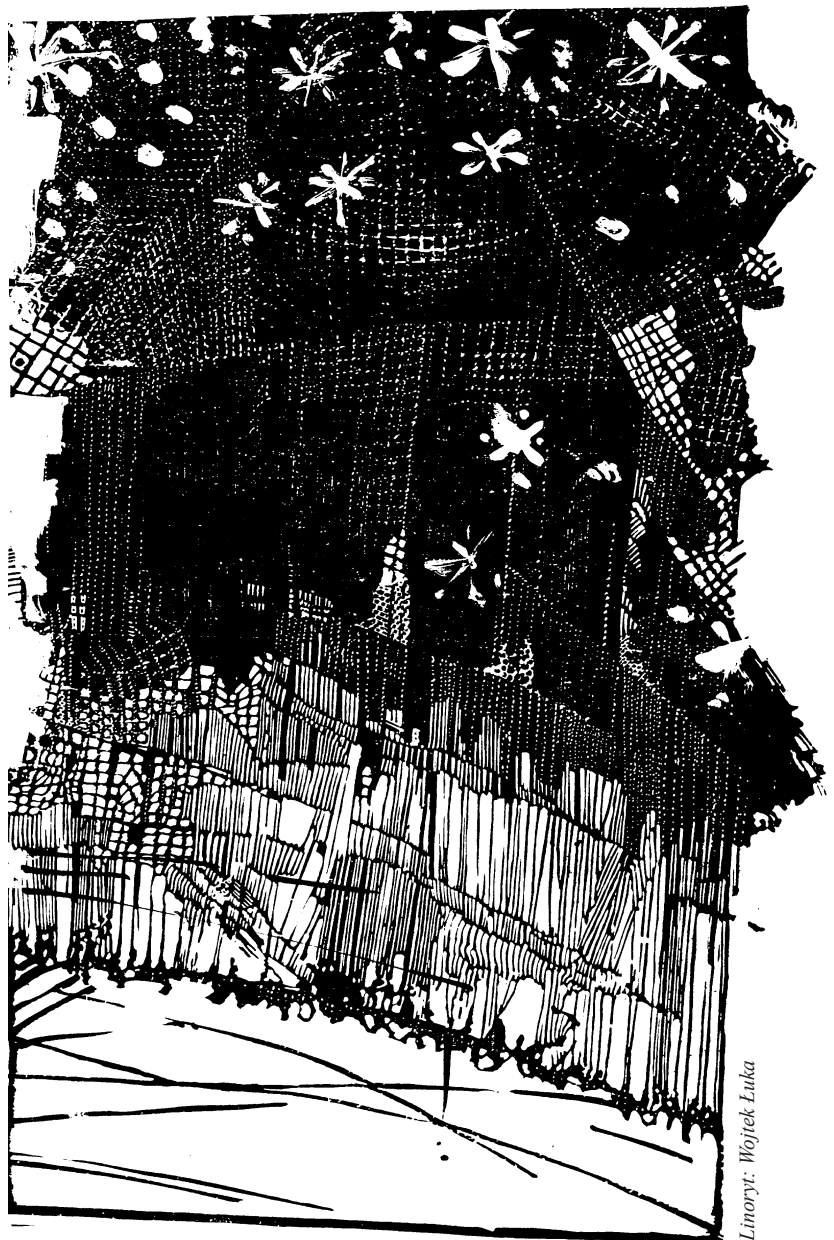
*śladu. Smród  
śmierdzi  
poza  
zasięgiem wężu.*

## **KIEDY NOC**

*położyła się.  
Kiedy światło  
wstało. Kiedy*

*lód  
został  
zaasfaltowany. Kiedy  
ta odwrócona do nas plecami*

*kładzie  
dłoń  
na  
klamce i otwiera.*



Linoryt: Wojtek Łuka

**L**ubię wracać do fragmentu „Klapsów i ścinków” Kazimierza Kutza (Wyd. ZNAK, Kraków 1999) poświęconego corocznemu gwarowemu konkursowi Marii Pańczyk-Pozdziej „Po naszymu, czyli po śląsku”: „Uczestnicy częstują nas urzekającą gwarą, staropolszczyzną – zdawałoby się – dawno zapomnianą, a jednak ciągle żywą. Słuchamy z Jankiem tych źródłanych strumieni naszej mowy, odnajdujemy ją w sobie lub dodajemy do siebie z poczuciem niewysłowionej przyjemności. Pasiemy się na tej starej mowie niczym krowy na beskidzkich łąkach”. Opisane przez Kutza odczucia są w moim wypadku coraz silniejsze, a i bardzo bliskie przeżyciom zasiadających od lat w jury konkursu: prof. Doroty Simonides, prof. Heleny Synowiec, prof. Daniela Kadłubca i ks. prof. Jerzego Szymika. My – wszyscy do tychczasowi jurorzy – możemy bowiem wyznać: „Tak my godali za bajtla”. *Za bajtla*, czyli „w czasach dzieciństwa”.

Ostatnie gwarowe zmagania (w Katowicach – półfinałowe, w Zabrze – finałowe) przyniosły pod tym względem przeogromną satysfakcję. Zaczęło się od opowieści dzieci i młodzieży, występujących w konkursie w swojej kategorii. Już w pierwszej wypowiedzi – szesnastoletniej istebnianki – pojawiły się staropolska *stecka* „ścieżka” i kościół, który *gore* i który *zgorzoł*, bo i wszystko *zgorzało*. Pochodzący z Kadłuba czternastolatek nie ukrywał, że *tyle myśli mu się matli* (*matli*, czyli „płacze, gmatwa”: „Tak mówiącej matlały się słowa” – pisał jeszcze Jakub Żebrowski w XVII wieku), dziesięcioletnia zaś bierunianka zwierzynek nazwała *gowiedzią* (*gawieź* w dawnej polszczyźnie była również określeniem „czeladzi, pocztu”, dziś lekceważąco lub nawet pogardliwie nazywa się tak „grupę natrętnych obserwatorów, ludzi wścibskich, żądnych sensacji”: *gawieź uliczna*). Dwunastoletnia piekarzanka natomiast opowiadała o *niedzieli goicznej* (od *goika*), obchodzonej tydzień przed Niedzielą Palmową (przez wieki *Kwietną* albo *Wierzbną*), i topionym *marzanioku* – „marzannie”. W jej tekście pojawił się też zwrot *dzień króceje* – „dzień robi się krótki”.

Dorośli obdarowywali nas równie pięknymi formami. Nie mogły nie zwrócić uwagi zwroty: *przista na idea* – „wpadła na pomysł”, *jeździło się na ciupa* – „jeździło się w tloku”, *było mocka placu* – „było dużo miejsc”, *co mnie potyłało?* – „co mnie skusiło?” czy *gorzoła chlastać* (*chlapać*) – „pić wódkę”.

Jak każdego roku pojawiały się typowo śląskie bohemizmy, czyli formy

## Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

## Za bajtla

utrwalone pod wpływem języka czeskiego (*Bohemia* to łac. nazwa Czech): *naskwoł* „naumyślnie”, *ożerok* „pijak” (*ożerok okłety, diosecki*) – „pijak przekłety, diabelski”, *szumny, najszumniejszy* – „piękny, najpiękniejszy” (*szumno gardinka* – „piękna firanka”), *strom, stromik* – drzewo, drzewko” (*stromy we kwieciu* – „drzewa w kwiatkach”) czy *diawczatko* „dziewczatko”, *dzieciacko* „dziecko”.

Ale w tej samej wypowiedzi uczestniczki konkursu z Koniakowa, w której musiały być obecne bohemizmy, znalazł się przysłówek *wiesoło* „wesoło” w najczystszej staropolskiej postaci (to dopiero później – akurat pod wpływem języka czeskiego – pierwotne brzmienia *wiesoły, wiesioło, wiesiele* przekształciły się w dziś obowiązujące w języku ogólnym postacie *wesoły, wesoło, wesele*).

Wielu narratorów musiało *za bajtla* codziennie *wyżynoń krowy*. *Wyżynoń*, czyli „wygnać, wypędzić” (oboczność morfologiczna *gn: żn*).

W kontaktach ze starszymi obowiązywały ich wyrażające szacunek formy typu *nasi dziadek* – „nasz dziadek” (*za dwoje kómuś godać/padać, dwoić*). *Dziadek* był często *starzy (i) kiem, upą, upkiem, upeczę (c) kiem*, a *babcia* – *babką, starką, starez (c) ką, umą, umką* albo *umecz (c) ką*.

Zawsze rozczuła mnie czasownik *asić się* „wywyższać się nad innych, mieć o sobie wysokie mniemanie”, bo po opuszczeniu Tarnowskich Gór już go na co dzień nie słyszę (ktoś *aszacy się* nazywany był, oczywiście, *asikiem*) – tak jak w dyskusjach z poszukiwaczami pełnej logiczności w języku, zżywającymi się na dopuszczalne w mowie potocznej konstrukcje typu *strasznie cię lubię, okropnie się cieszę*, mogą przywoływać nie tylko przykłady zaczerpnięte z tekstów wielkich mistrzów słowa, ale i zachowania Ślązaków: w czasie ostatniego konkursu mieliśmy *okropnie ważne sprawy, okropnych fachmanów i okropnie bogobojnych ludzi* – „bardzo ważne sprawy, dobrych fachmanów i bardzo bogobojnych ludzi”. Łatwiej także zrozumieć popularność nazwiska *Kaczmarek* na Śląsku i w Wielkopolsce, gdy się parę razy usłyszysz brzmienie *kaczmiorz*, a nie – jak w języku ogólnym – *karczmarz* – tak jak zdarzającą się przestawkę *pokrzywa* – *koprzywa* (stąd *Koprzywianka* i *Koprzywnica* – rzeka i miejscowość w okolicach Tarnobrzega) można „podeprzeć” typowo gwarową *krzy (i) kopą* „przykopą”.

Staropolską, zachowaną w gwarach śląskich *gańbę* (pod czeskim wpływem zamienioną w *hańbę*) usłyszeliśmy w imiesłowiu *zagańbiony* „zawstydzony”, stary zaś dopełniacz rzeczowników żeńskich z końcówką –*e* w formach *do pierwszej komunie, do piwnice* „do pierwszej komunii, do piwnicy”.

Z archaizmów leksykalnych przywołajmy jeszcze postacie: *prziwiarek* „przesąd, przekonanie”, *eli* „jeśli”, *poprznioly* „niejadek”, *obleczka* „odzienie”, *wynokwiać, nanokwiać* „wydziwiać, wymyślać” (*jakichś gupot nanokwio*), *plećkorz* „ten, który plecie koszyki, koszykarz”, *skumać* „zrozumieć”, *mazok* „mazgaj, bek-sa”, *ślimtać* „plakać”, *ciupnąć se* „kucnąć sobie”, *latosi* „tegoroczny” (por. formułę życzenia noworocznego *do siego roku* „do tego roku”), *boczon* „bocian”, *bez male* „bez mała”.

Na zakończenie powiedzmy i to, że wspomnieniowo-melancholijnym wyrażeniu *za bajtla*, które wychodziło z ust zarówno mężczyzn, jak i kobiet, towarzyszyły typowo śląskie konstrukcje *za starej Polski* i *za starego pierwy*.



# Fenomen skandynawskiego kryminału

Z MONIKĄ i RAFAŁEM CHOJNACKIMI  
rozmawia JAKUB MORAWIEC



**M**oda na skandynawski kryminał nie ominęła także Polski. Przy najmniej kilka wydawnictw systematycznie dostarcza na księgarskie półki tłumaczenia szwedzkich, norweskich, duńskich a nawet islandzkich autorów. Zjawisko cieszy i to podwójnie. Być może to właśnie ten gatunek zniweluje dramatyczne wyniki czytelnictwa w naszym kraju. Poza tym wraz z popularnością skandynawskich kryminałów różnie także zainteresowanie innymi gatunkami literackimi, którymi słynie Skandynawia. Dotyczy to też ogólnego zainteresowania regionem, chociażby jako celem aktywności turystycznej. Czy lektura skandynawskich kryminałów pozwoli nam lepiej zrozumieć tamtejsze

społeczeństwo, jego mentalność i kulturę? Co sprawia, że mamy dziś do czynienia już nie tylko z fenomenem literackim ale wręcz (pop) kulturowym? O odpowiedzi na te pytania poprosiłem Monikę i Rafała Chojnackich.

– **Jakub Morawiec:** Jak zaczęła się wasza przygoda ze skandynawskim kryminałem?

– **Monika Samsel-Chojnacka:** Podczas kolejnych pobytów w Szwecji obserwowałam, co ludzie czytają w metrze. Okazało się, że głównie kryminały i to lokalne, których wówczas nie znałam. W księgarniach były całe osobne działki wypełnione kryminałami, niemal sami szwedzcy autorzy. Kiedy zaczęłam prowadzić

pierwsze badania dotyczące skandynawskich kryminałów, początkowo nie traktowano tematu poważnie. Po prostu wyprzedziłam bum na tą literaturę, z czasem okazało się np. że Wallander jest bardzo popularny w kręgach akademickich.

– **Rafał Chojnacki:** Wcześniej zajmowałam się literaturą grozy i thrillerem. Z grupą znajomych tworzyliśmy portal „Carpe Noctem”, choć już od lat z nim nie współpracuję, nadal uważam, że to najciekawsze miejsce w polskim internecie, poświęcone kulturze grozy. W kierunku kryminału popchnęły mnie skandynawskie zainteresowania Moniki. Z czasem środek ciężkości przeniósł się właśnie na tą literaturę.

– **Na ile skandynawski kryminał to po prostu dobra literatura a na ile również jedyny w swoim rodzaju wgląd w skandynawskie społeczeństwo i jego mentalność?**

– **M.Ch.:** Wszystko zależy od konkretnej książki. Są całkiem zwyczajne, niezaangażowane powieści, takie jakie piszą np. Mari Jungstedt, Viveca Sten czy „królowa wakacyjnych kryminałów” – Camilla Läckberg. Ta ostatnia, nawet jeżeli wykorzystuje jakiś problem społeczny, sprowadza go zazwyczaj do roli dekoracji, choć nie ukrywam, że z perspektywy badawczej nawet takie elementy mogą się okazać ciekawe. Są również takie powieści, które okazują się bardzo mocno skoncentrowane na problematyce społecznej. Chyba najpopularniejszym przykładem byłby tu Stieg Larsson, którego książki wywołały falę dyskusji na co najmniej kilka tematów. Za to wszystkie książki skandynawskich autorów, pokazują nam w mniej lub bardziej udany sposób życie codzienne i problemy współczesnych Skandynawów. Są też takie powieści, które zajmują się kwestiami politycznymi czy historycznymi. Celuje w tym choćby Leif GW Persson.

– **R.Ch.:** Idealny skandynawski kryminał równoważy te wątki. Czytelnicy przyzwyczaili się do interesującej warstwy obyczajowej i pojawiającej się w powieściach problematyki społecznej, ale w literaturze kryminalnej dalej chodziło przede wszystkim o to, żeby powieść na kilka godzin przykuła czytelnika do fotela i nie pozwoliła mu wyrwać się z objęć świata przedstawionego. Oczywiście gusta są różne, tak jak różne są propozycje skandynawskich autorów. Chęć wglądu w trochę inną kulturę jest tu na dalszej pozycji, ale nie znaczy to, że pozostaje bez wpływu na wybory czytelników.

– **Dziś wokół powieści kryminalnej w Skandynawii powstał swoisty przemysł. Jak waszym zdaniem wpływa to na twórczość skandynawskich autorów? Czy na przykład starają się pisać tak aby nawiązywać do oczekiwań czytelników np jeśli chodzi o poruszane w powieściach tematy?**

– **M.Ch.:** O modzie możemy mówić głównie przy okazji kobiecej gałęzi kryminału, która często jest tworzona właśnie w taki sposób: jest konkretny czytelnik, pod którego przygotowuje się produkt. Jeżeli dodamy, że najpopularniejsza pisarka z tego nurtu, czyli wspomniana już Läckberg, to z wykształcenia ekonomistka, to łatwo zrozumiemy, że na pewno potrafi dodać dwa do dwóch i zrobić z tego przepis na bestseller. Z drugiej strony są tacy jak GW Persson, którzy nie ulegają modom. Mają wprawdzie stałych wielbicieli, ale nawet ich potrafią zaskoczyć.

– **R.Ch.:** Gdyby tylko o to chodziło, Henning Mankell pisałby zapewne co roku nową powieść o Wallanderze, a do pracy nad kontynuacją larssonowskiego „Millennium” zatrudniono by nie zdolnego literata, a cały sztab drobnych wyrobników pióra, którzy już od kilku lat zalewają rynek serią o „przygodach Salander”, tworzonych jak seryjnie pisane kontynuacje prozy Zbigniewa Nienackiego o Panu Samochodzik. A jednak wielu pisarzom chodzi chyba o coś więcej. Kluczem może tu być doświadczenie z innych zawodów, jakie większość z nich posiada. Ludzie tacy jak dziennikarz Anders Roslund czy adwokat Jens Lapidus przenoszą znane sobie sprawy na karty powieści, tworząc w ten sposób absolutnie wyjątkowe rzeczy.

– **Jesteście założycielami portalu „Deckare. pl Skandynawskie Kryminały”. Powiedzcie parę słów o tym fascynującym miejscu w sieci.**

– **R.Ch.:** To może najpierw wyjaśnię nazwę. Słowo „deckare” to stara potoczna nazwa zawodu detektywa, ale z czasem jej znaczenie przeszło na powieści detektywistyczne, a później na wszystkie kryminały. Półki z kryminałami w szwedzkich księgarniach są właśnie tak opisane. A nasz portal, to właśnie taka półka z książkami. Pomysł na portal pojawił się przy okazji zbierania przez Monikę materiałów. Pomagałem jej porządkować i katalogować dane. Zebraliśmy np. informacje o wszystkich polskich wydaniach – przed- i powojennych – skandynawskich kryminałów. Pomyslałem, że szkoda by było, gdy-

by cała ta praca miała służyć tylko jako materiał pomocniczy przy pracy naukowej. Jako że miałem już doświadczenie w budowaniu stron, decyzja o stworzeniu portalu pojawiła się bardzo szybko. Mój kolega, grafik Sławomir Szpadzik, zaprojektował logo i z czasem zaczęło się również pojawiać na okładkach książek, nad którymi mamy patronat. Wyszło ich już ponad sto. Obecnie „Deckare.pl” to również kilka innych inicjatyw, m.in. prężnie działająca grupa na Facebooku, gdzie informacjami o książkach wymienia się spore grono fanów skandynawskich kryminałów.

– **M.Ch.:** Portal to jeden z najwspanialszych prezentów, jakie dostałam od mojego męża.

– **Co polecilibyście osobie, która chce rozpocząć swoją przygodę z kryminałem. Od czego powinna zacząć?**

– **M.Ch.:** A wiemy coś o tej osobie? Bo to nie takie proste. Pytanie brzmi: czy ten ktoś miał już jakieś doświadczenie z kryminałem? Bo jeżeli tak, to można zacząć chociażby od książek Johana Theorina. Jego „Zmierzch” to zupełnie nowatorskie spojrzenie na kryminał, ale żeby go docenić, trzeba już wiedzieć jak ta literatura funkcjonuje. Ale można też zacząć od Läckberg, co uważam za świetny start dla osób niezbyt obeznanych z kryminałem. Wiem że wielu czytelników zaczynało od jej powieści, a teraz sięgają po coraz bardziej zaawansowane lektury. Także sposobów na start jest bardzo dużo.

– **R.Ch.:** Ja proponuję trochę stereotypowe podejście. Można tu polecić perspektywę historyczną, czyli zacząć od pierwszej skandynawskiej serii współczesnych kryminałów, czyli opowieści o śledztwach prowadzo-

nych przez zespół dochodzeniowy komisarza Martina Becka z powieści duetu Maj Sjöwall i Per Wahlöö. Niedawno wszystkie zostały u nas wydane, dlatego zdobycie ich nie powinno stanowić problemu.

– **Sporo powieści zostało zekranizowanych. Jakie jest wasze zdanie na temat tych produkcji?**

– **M. Ch.:** To znowu zależy od produkcji. Niektóre są kultowe, jak np. ekranizacje powieści Henninga Mankella z Rolfem Lassgårdem w roli Wallandera. Świetny i wysmakowany wizualnie jest również serial według klasycznych powieści Marii Lang, znany w Polsce jako „Zbrodnie namietności”. Do tych lepszych należą na pewno szwedzkie ekranizacje cyklu „Millennium” i nowe filmy według powieści Lizy Marklund, z Malin Crépin w roli dziennikarki Anni-Bengtson. Gorzej natomiast ze starszymi ekranizacjami Marklund z Heleną Bergström. Najgorsze co do tej pory widziałam, to stara ekranizacja książek Åke Edwardsona o komisarzu Winterze z Johanem Gry w tytułowej roli. Dramaturgia i poziom gry aktorskiej przypomina rekonstrukcje scen zbrodni w starych programach z cyklu „997”.

– **R.Ch.:** Monika wymieniła już najciekawsze serie, ale nie wspomniała, że niektóre z powieściowych postaci żyją w filmach własnym życiem. Tak jest z drugą szwedzką serią o Wallanderze, w której w rolę policjanta z Ystad wcielił się Krister Henriksen. Poza dwoma wyjątkami wszystkie filmy z tej serii, to nowe historie, które powstały we współpracy scenarzystów z Mankellem i uzupełniają niejako oficjalną biografię Wallandera. To na pewno seria, po którą warto sięgnąć.

– **Dziękuję za rozmowę.**

The screenshot shows the Deckare.pl website interface. At the top, there's a navigation bar with categories like 'News', 'Artykuły', 'Pisarze', 'Wydania', 'Książki w Polsce', 'Książki na żelazce', 'Książki o kryminałach', 'Książki z pogranicza', 'Niedziela, Łuty 04, 2015'. Below the navigation, there's a main content area with a featured article titled 'SKANDYNAWSKA POWIEŚĆ KRYMINALNA JAKO ZAPROSIENIE DO PODRÓŻY - SPOTKANIE Z MONIKĄ SAMEŁ-CHOJNACKĄ I RAFAŁEM CHOJNACKIM 17 PAŹDZIERNIKA 2014, GODZ. 17 MISB PELA 18 19, UL. OBROKONCÓW WĘSTERPLATTE 10 KATOWICE'. The article features a book cover for 'ZE ZBRODNIĄ W PLEKAKU' by Moniką Sameł-Chojnacką and Rafałem Chojnackim. The website also has a sidebar with a search bar, a login section, and a 'Patronaty' section listing books like 'HAKAN NERSSER' and 'LET GW PERSSON'. At the bottom, there's a footer with 'Dodane przez taclem dnia październik 04 2014 22:43:47' and '0 Komentarzy 50 Czysta'.



# NORDALIA

## – na co to komu?

– Za nami kilkanaście edycji Festiwalu Nordalia. Jak to się zaczęło i jaka jest idea Festiwalu?

– Festiwal Nordalia po raz pierwszy został zorganizowany we wrześniu 2002 roku. Wówczas odbył się w Katowicach, Czeladzi i Zabrze. Od tego czasu zrealizowanych zostało już 13 edycji. Ideą festiwalu jest poznanie krajów nordyckich, tj. Szwecji, Danii, Norwegii, Islandii, i dodatkowo Finlandii. Chcemy przybliżyć na Śląsku Skandynawię, a więc kulturę, tradycje, historię, literaturę,

sztukę, dizajn, muzykę i problematykę ochrony środowiska.

Nie zapominamy jednak o tym, by obok promowania twórców i osiągnięć skandynawskich, popularyzować także polskich wykonawców, interesujących ludzi, którzy mieszkają w Polsce, a których pasją jest północna Europa.



– Czy przed festiwalem zajmowała się pani kulturą krajów skandynawskich?

– W tym roku mija 21 lat odkąd zajmuję się organizowaniem imprez

związanych ze Skandynawią. W latach 1996-2001 byłam prezesem katowickiego oddziału Towarzystwa Polsko-Szwedzkiego. Wspinali członkowie naszego stowarzyszenia chcieli wówczas czegoś więcej, niż spotykać się w czterech ścianach. Jedną z osób, które odegrały dużą rolę w naszych początkowych akcjach, była Halina Żmij, wiceprezes oddziału. Posiadała dużą wiedzę na temat Szwecji i działających tam Polaków. Niestety, jej przedwczesna śmierć przerwała naszą współpracę.

W latach 1996-2001, w ramach TPS zorganizowaliśmy sześć edycji Dni Szwedzkich w Katowicach. Początkowo były to jednodniowe imprezy kulturalne, które w późniejszych latach trwały każdorazowo już około tygodnia. W programie były m.in. wystawy, spotkania, przedstawienia teatralne, pokazy filmowe. Gościliśmy wielu bardzo interesujących literatów, pisarzy, dziennikarzy, artystów plastyków, którzy przyjeżdżali nie tylko z różnych stron Polski, ale też ze Szwecji i Francji. Można śmiało powiedzieć, że prekursorem Nordaliów były Dni Szwedzkie. Od tego wszystko się zaczęło.

– Skąd wzięła się pani pasja do kultury skandynawskiej?

– Mam wiele pasji, a Skandynawia jest jedną z nich. Interesują mnie różne zagadnienia związane z tą częścią Europy, a zwłaszcza ze Szwecją. Ten kraj jest mi najbliższy, co wynika z historii mojej rodziny, która miała związki ze Szwecją od drugiej połowy XIX wieku. Mój pradziadek Axel Nilsson kierował w Malmö fabrykę wyrobów wiklinowych, w tym mebli i wózków dziecięcych. Głównym artykułem niezbędnym do produkcji była wiklina, po którą przyjeżdżał do Polski, gdyż była ona bardzo ceniona. Podczas jednej z podróży poznał swoją przyszłą żonę, Stanisławę Pobóg-Warmską. Mieli pięć córek, z których najstarsza Helena, moja babcia, wyszła za mąż za polskiego nauczyciela, późniejszego profesora gimnazjalnego w Rzeszowie.

Moje zainteresowanie Północą zaczęło się od udziału w uroczystości zorganizowanej z okazji Dnia Świętej Łucji. Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego wzruszenia i magii, jakiej poddałam się tego wieczoru. Później miałam okazję wyjechać na wyprawę do Danii, Szwecji, Norwegii, zahaczając o Lofoty. To była męcząca wyprawa starym autobusem marki San, którym przejechaliśmy bez awarii ponad pięć tysięcy kilometrów, nocując przeważnie w piątce pod namiotem i pichcąc we własnym zakresie. Był to wspaniały okres i niezapomniane wrażenia z podróży. Wtedy to właśnie zachwyłam się Skandynawią. Ten obraz pozostał w moim sercu. Szkoda tylko, że dzień dzisiejszy w krajach nordyckich już jest inny niż wówczas.

– Czym jest dla pani organizacja festiwalu?

– Organizując imprezy kulturalne przekonałam się, że moją pasją, która jest źródłem wzrostu adrenaliny, jest tworzenie czegoś z niczego. To znaczy: przygotowywanie projektów, w tym kulturalnych, od podstaw. Począwszy na znalezieniu środków finansowych, szukaniu interesujących tematów i bohaterów ciekawych wydarzeń, którzy często nie są znani szerokiej publiczności. Później jest zachęce-



nie potencjalnych partnerów do współpracy, praca nad programem i materiałami informacyjnymi. Cały ten cykl wieńczy przeżywanie niepokoju i niepewności do samego końca, czy będą wystarczające środki finansowe na realizację imprez, a jeśli nie, to co należy wykreślić i przenieść na następne lata.

W tym całym procesie tworzenia, o którym dość szczegółowo mówię, jest ta bardzo przyjemna część, czyli etap realizacji wydarzeń, a więc spotkania z gośćmi Nordaliów i obserwowanie, analizowanie reakcji publiczności.

**– Jakiego rodzaju wydarzenia stanowią program Nordaliów? Kim są ich odbiorcy?**

– Stworzyłam festiwal i wymyśliłam wiele rzeczy, w tym nazwę, która przyjęła się i została zaakceptowana przez publiczność. Od wielu lat Nordalia są organizowane co roku w październiku w kilkunastu miejscowościach województwa śląskiego, tj. w dużych miastach, miasteczkach i wioskach.

Program jest obszerny i składają się na niego wystawy fotograficzne i plastyczne, debaty, spotkania, wykłady, warsztaty, koncerty muzyczne, pokazy filmowe, czy konkursy (np. Nordalicus, poświęcony dizajnowi). Z interesujących pomysłów, zrealizowanych w przeszłości, warto wspomnieć o konkursie „Nordyckie kulinarium” dla szkół gastronomicznych i hotelarskich, który był organizowany przez 10 lat.

Staram się uwzględnić w programie szeroki wachlarz zagadnień o charakterze interdyscyplinarnym, żeby trafił do jak największej rzeszy odbiorców o różnorodnych zainteresowaniach, lubiących tematykę popularną, jak i mniej znaną, dla niektórych może trudniejszą.

Festiwal jest adresowany do osób w różnym wieku, a więc od lat trzech do stu. Odbiorcami są przedszkolaki, uczniowie różnych rodzajów szkół, studenci, osoby starsze, w tym słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Współpracuję ściśle z bibliotekami, domami kultury, muzeami, kinami, szkołami, uczelniami publicznymi i prywatnymi oraz różnymi organizacjami na terenie województwa śląskiego.

Jest to bardzo ważne, gdyż wszystkie te podmioty działają dla ludzi i są blisko nich. Mają dużą wiedzę na temat zainteresowań potencjalnej publiczności Nordaliów i doskonałą orientację zagadnień, które warto przybliżyć. Pozwolę sobie wymienić niektóre z nich: Śląskie Stowarzyszenie Miłośników Folkloru, Stowarzyszenie „Koloniamy Mościckiego”, biblioteki miejskie w Katowicach, Czeladzi, Chorzowie, Łazach, Świętochłowicach, Rybniku, Zabrze, katowickie domy kultury „Szopienice–Giszowiec”, „Południe”, Muzeum Historii Katowic, katowicka Akademia Sztuk Pięknych, Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Trzeciego Wieku. Nie jest to pełna lista partnerów, w rzeczywistości jest ich dużo więcej. Wspominałam tylko o tych, z którymi stale współdziałam od lat.

**– Kim byli goście Festiwalu Nordalia? Kogo wspomina pani szczególnie?**

– Mielismy przyjemność gościć wiele osób z całej Polski, a także ze Skandynawii. Byli to pisarze, tłumacze, pracownicy wyższych uczelni, artyści plastycy,



*Bajki szwedzkie w interpretacji młodzieży z Zespołu Szkół nr 2 w Niegowonicach w trakcie wizyty ambasadora Królestwa Szwecji Staffana Horstroma, Nordalia, październik 2013*

fotograficy, projektanci, dziennikarze, podróżnicy, nauczyciele i studenci. Bardzo cieszyliśmy się z przyjazdu na festiwal ambasadorów Szwecji, p.p. Matsa Staffansona i Staffana Herrströma, oraz innych przedstawicieli skandynawskich placówek dyplomatycznych w Polsce.

Kogo wspominam szczególnie? Tyle było wspaniałych osób, które uczestniczyły w festiwalu, że trudno je wszystkie wymienić. Ale była jedna osoba, która zapadła głęboko w mojej pamięci i sercu. To Janina Katz, poetka i pisarka tworząca w języku duńskim, Polka pochodzenia żydowskiego. Szkoda, że już nie żyje. Pozostały jej wiersze i powieści.

**– Jakie ma pani refleksje po tych kilkunastu edycjach festiwalu?**

– Dwadzieścia lat zajmowania się Skandynawią to kawał czasu. Refleksje? Nasuwa się kilka, ale jedna jest bardzo istotna. Festiwal nie posiada odrębnego budżetu, którego wysokość byłaby określona w momencie ustalania programu. To bardzo utrudnia planowanie i organizowanie z większym wyprzedzeniem czasowym imprez bardziej urozmaiconych z większym udziałem gości z Polski i zagranicy. Środki zdobywamy poprzez udział w konkursach na dofinansowanie, organizowanych przez Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego i Urząd Miasta Katowice. Wprawdzie współorganizatorzy partycypują w pokrywaniu kosztów imprez oraz nasze działania wspierają ambasady państw skandynawskich, z czego bardzo się cieszymy i co doceniamy, ale wszystko to jednak dość skromne środki. Zmusza to nas do dokonywania zdecydowanych wyborów i bolesnych cięć. My również odczuwamy panujący od lat kryzys w finansach kultury. Z każdym rokiem jest coraz mniej pieniędzy na tę sferę działalności. Szkoda, że tak się dzieje.

Popularyzujemy nie tylko państwa nordyckie i skandynawskie wartości, które mają charakter uniwersalny, ale promujemy też Polaków, Katowice i województwo śląskie. Wymaga czasu, by efekty tej pracy były widoczne, ale już teraz można powiedzieć, że mimo różnych trudności Nordalia znane są w Polsce i zagranicą oraz kojarzone są z Śląskiem i Skandynawią.

Przy prowadzeniu takiego projektu należy utrzymywać stałe kontakty ze skandynawskimi placówkami dyplomatycznymi i instytucjami kulturalnymi działającymi w Polsce. Ważne jest także dobranie od-

powiedzialnych współorganizatorów, na których zawsze można liczyć.

I ostatnia refleksja: to bardzo uważne słuchanie wszystkich rad, uwag, spostrzeżeń, sugestii ze strony publiczności, partnerów, urzędów i różnych instytucji. Dokładna ich analiza pozwala na wzbogacenie programu, skorygowanie niedociągnięć, stosowanie nowych narzędzi i instrumentów, np. w przekazywaniu informacji, czy też ich przygotowywaniu.

**– Wielu spośród zaproszonych przez panią gości dało nam ciekawą lekcję na temat życia w krajach skandynawskich. Czego, pani zdaniem, polskie społeczeństwo mogłoby nauczyć się od Skandynawów?**

– Jest wiele rzeczy, których można nauczyć się od Skandynawów, dla przykładu: zwracania uwagi na ekologię i ochronę środowiska, stosowania zasad recyklingu w życiu codziennym; szacunku dla starych przedmiotów i budowli, niezależnie od ich przeznaczenia i rzeczywistej wartości materialnej. Warto docenić charakterystyczną architekturę czy wzornictwo, zajmujące trwałe miejsce w pantheonie światowego dizajnu i stale znajdujące naśladowców wśród młodego pokolenia.

Od dawna zwraca się tam uwagę na tolerancję ludzi innych narodowości, wyznań i poglądów. Wprowadzane są zasady równouprawnienia w życiu zawodowym i politycznym niezależnie od płci, zakaz stosowania przemocy wobec drugiego człowieka, w tym dzieci; przyjęcie jako normy partnerskiego modelu rodziny. Część skandynawskich rozwiązań została wprowadzona w prawodawstwie Polski, ale inne wymagają stopniowej zmiany poglądów części społeczeństwa polskiego, a to wymaga czasu i spokojnych, konsekwentnych rozmów, perswazji.

**– Czy wiemy już, co nas czeka w kolejnej edycji Nordaliów? Jakże ma pani plany?**

– Wstępny program jest w zarysie, trwają rozmowy w kwestii szczegółów. Wszystko zależy jednak od dotacji, tego czy, i ile środków przyznanych zostanie przez samorządy lokalne i innych partnerów. Jedno jest raczej pewne. Festiwal Nordalia odbędzie się w październiku 2015 roku i już teraz serdecznie zapraszam!

**Rozmawiali:**  
ALEKSANDRA JOCHYMEK  
i GRZEGORZ BARTUSIK

**Dziś** kwiaty są wciąż na topie. W różnych wcieleniach: realistycznych, symbolicznych, ekspresyjnych! – pisała niedawno Monika Małkowska i spostrzeżenie to powinno ucieszyć zwłaszcza ANNE LAMPE. Atrybutem jej malarstwa są bowiem kwiaty właśnie, czyli motyw tyle oczywisty co tajemniczy. I prawdę mówiąc nasemantyzowany tak silnie, że krucha subtelność łodygi czy płatków stoi tu w jaskrawej kontrze do otchłannej symboliki, możliwych alegorii i przesłań. No i ta tradycja! Od gotyckich kanonów, przez Leonarda, Durera, Boticello, Aksamitnego Brueghla, a potem burza impresjonistycznych i fowistycznych bukietów, która nie ucichła ani nie przestała pachnieć po dziś dzień. Tak więc wybuchają na naszych oczach i nigdy nie więdną te wszystkie róże, osty i kaczęce, postrzępione astry, zgeometryzowane kalie, onieśmielone same sobą lekko erotyczne konwalie.

Mijają epoki, mody i trendy, upadają imperia (także estetyczne) a zatrzymanie w czasie przez malarza rzeczy tak ulotnej, bezbronnej, krótkotrwałej nadal ma swój artystyczny sens.

Anna Lampe, a przyglądam się jej twórczości od lat, bardzo szybko znalazła pewien złoty punkt, złoty środek, który umożliwił malowanie rzeczy pięknych, zdobniczych, feerycznych z zachowaniem wobec nich stosownego dystansu i lekko chłodnej rezerwy. Bo tylko wtedy można mówić o sztuce, kiedy widzimy także abstrakcyjną formę przedmiotu i nie skatalogowaną w słownikach znakowość. Słowem nie ma jednego bez drugiego. Potrzebna jest radość, ba! przyjemność a nieraz wręcz frenetka, żeby kwiatowym czy kwietnym motywem „zdobić”, ale też wyrażać głębsze, bardziej skomplikowane nastroje.

Skala modulacji tego malarstwa jest głęboka i czuła. Od przepychu wybuchających kwieciami wazonów (herbaciane, białe i czerwone róże, bzy i chryzantemy), po lekko zrezygnowane kaczęce w donicach i jurne dziewczyny pod murem. Ale przecież to co było i pozostaje najważniejsze to kolor, kolor i jeszcze raz kolor. To on tu jest panem. On dyktuje warunki i określa przekaz.

W malarstwie Anny Lampe jego medium były pęki, bukiety, wiązanki wielobarwnych roślin, z którymi igrało światło. Ale jakież to „medium” ktoś powie, skoro każdy widzi, że to kwiat...



Rozmowę z malarką Anną Lampe prowadził redaktor Maciej Szczawiński

## O czym mówią piwonie, koguty, róże i kaczki

A skoro kwiat, to natychmiast otwiera się rejon tkliwy, subtelny i lekko słodki. Nic to, że wanitatywny, że z głębi wyrasta i bardziej jest „przyziemny” niż niejeden naturalistyczno-realistyczny motyw. Widzimy to co wiemy, jak zawsze. Dlatego Anna Lampe, chociaż maluje też udatnie pejzaż, zwłaszcza górski, postrzegana jest najczęściej jako „malarka kwiatów”. Nie wiem, czy zniecierpliwili ją w końcu te klasyfikacje, czy może sam temat, w każdym razie zrobiła coś absolutnie wspaniałego artystycznie.

Jej wolta to wyzwolony, przekorny i jednocześnie głęboko uzasadniony malarsko gest. Otóż na ostatnich obrazach (jest ich już cała seria) pojawiają się nie kwiaty, nie wonne powoje i bukiety ale... kury, koguty, kaczki, gęsi i indyki. Czasem jakiś ptasi przybłęda typu kawka. Chwył polega tu nie na ekstremalnym odwróceniu (odrzucaeniu) dotychczasowych wyborów, ale zwró-

na dźwięk samego słowa wzdychamy wciągając do płuc wymagowaną wonność (łańcuchek skojarzeń: eteryczność, delikatność, nieuchwytny powab poetyczności, kultura!), o tyle kura? Gęś? Kaczka z indykiem? O nie, drób takich konotacji nie posiada! Jeszcze jakiś łabędź arystokratycznie wygięty, ale indyk? Jeżeli poezja to jedynie smaku.

Ale – zdaje się mówić artystka – to przecież jota w jotę podobny kolor.

I identycznie gra światło na piórach i płatkach. Co więcej obydwaj byłyby jak najbardziej przyziemne, więc może też podobnie ambrozjskie? Podniosłe?

No wyzwól się kotku ze swych przyzwyczajęń. Postaraj zobaczyć to co widzisz, nie wiesz. A widzisz przecież, jak każdy, niezmordowaną orację światów. Nieustanną karuzelę form. Widzisz tajemnicę.

\* \* \*

Anna Lampe wzbogaca oto na naszych oczach swój artystyczny przekaz o nowe kwestie malarskie i nowe pytania, które kieruje do siebie i do nas. I oczywiście także o nową przyjemność, jaka towarzyszy oglądaniu jej obrazów.

MACIEJ SZCZAWIŃSKI

„Wspomnienie lata” to tytuł wystawy malarstwa Anny Lampe, której wernisaż odbył się 29 stycznia w galerii „Na żywo”, w siedzibie Polskiego Radia Katowice.



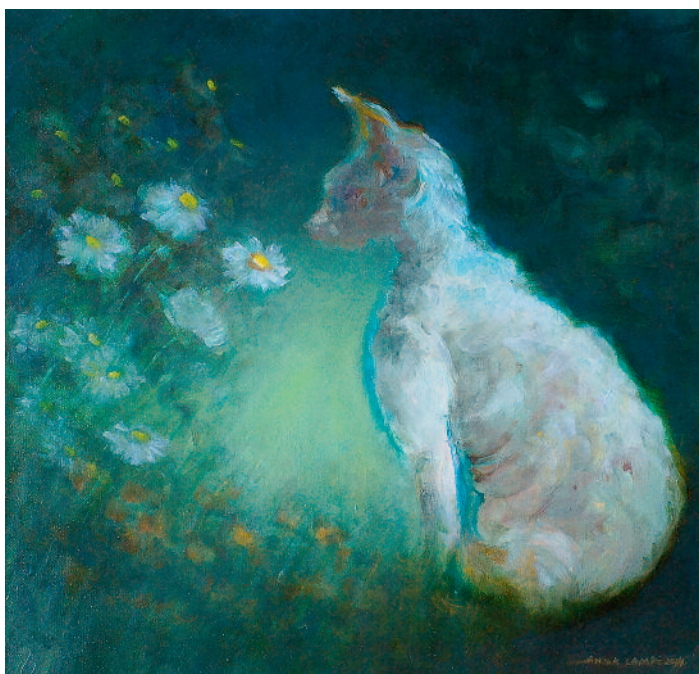
Wernisaż „Wspomnienie lata” w galerii „Na żywo”

Zdjęcia: Ryszard Stokio



Galeria „Na żywo”

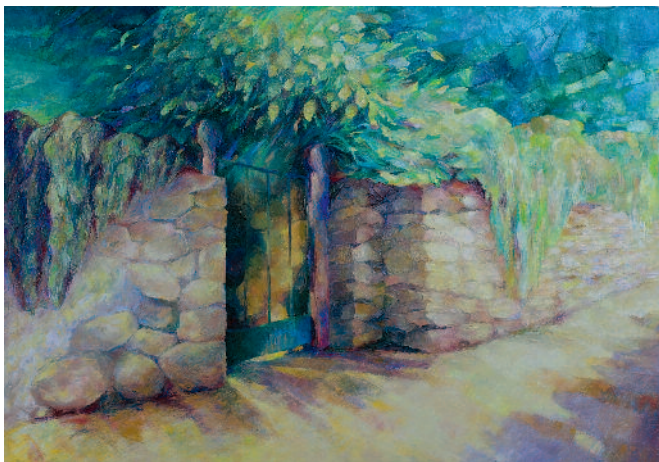
## Wspomnienie lata Anny Lampe



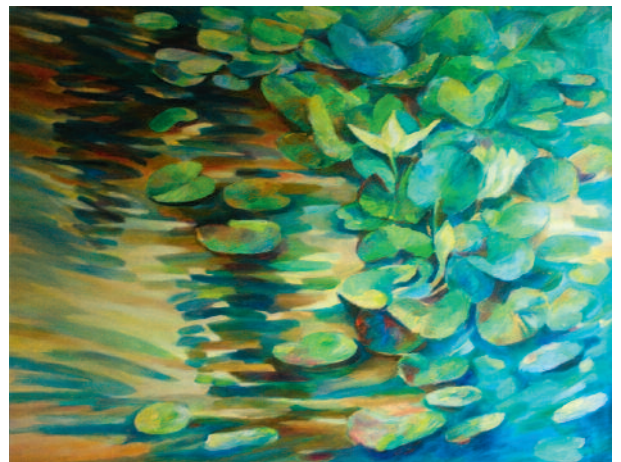
Zdjęcia: Krzysztof Nieszporek



Horzont



Furtka



Staw z lotosami



Staw

**W** chaosie aktywności artystycznych i wewnętrznych potrzeb malarstwo jest dla mnie nadrzędnym sposobem wypowiedzi. W sposób prosty: barwą i znakiem pozwala mówić do każdego w jego osobistym języku. Jest zaworem bezpieczeństwa dla emocji, które szaleją, kiedy stoję sama na sam w przestrzeni szczególnego, czasem zarejestrowanego jednym spojrzeniem krajobrazu – tak mówiła Urszula Figiel-Szczepka o swojej postawie wobec głównego motywu jej malarstwa, jakim jest pejzaż przy okazji wystawy swoich prac w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich, w 2014 roku.

W obrazach Urszuli Figiel-Szczepki ujmuję przede wszystkim... zwykłość. Ale to złudzenie. Jeśli widzimy falę rozmywającą się na piaszczystej plaży czy wydmę wybijającą się niczym pokryty śniegiem szczyt pasma gór, albo obserwujemy horyzont rozdziałający to co spokojne, znane, bliskie od nadszarpniętej gradowej chmury, to dokładne widać dwoistość natury autorki tych prac. Z jednej strony, z wierzchu uspokojenie, równowaga, z drugiej jakies wewnętrzne rozwichrzenie, dynamiczne reagowanie na zjawiska zachodzące w przyrodzie czy wydarzające się w krajobrazie. Przemawia za tym sposób obrazowania, gesty, kolorystyka poszczególnych obrazów. Jej pejzaże to tylko z pozoru sielankowe impresje. Wdziera się w nie niepokój, jakieś zawirowanie. Ale oczywiście są też prace, które ewidentnie służą uspokojeniu – jak widok furtki porośniętej roślinnością wspinającą się po wiekowym, zbudowanym z piaskowca, murze – atmosfera i nastroj tego ujmującego w swej prostocie obrazu każe skierować myśli ku południowej Francji, ale słońce jakby inne, operujące nie tak intensywnie, dlatego więcej w obrazie Urszuli Figiel-Szczepki spokoju, wyciszającego chłodu. Tę furtkę chciałoby się otworzyć, przeniknąć do wnętrza tajemnicy, jaką skrywa mur i oplatająca ją zieleń. To miejsce magiczne: czy za moment na piaszczystej drodze zza tej furtki nie wyjdzie z Krainy Czarów Alicja, a za nią Królik i inne baśniowe postaci? Może się tak zdarzyć, pod warunkiem, że przymkniemy oczy i pozwolimy naszym myślom i zmysłom zanurzyć się w ten świat uludy.

Sięganie dalej, niż to możliwe, poza horyzont, to ce-



Urszula Figiel-Szczepka

## Zapatrzona w pejzaż

**Urszula Figiel-Szczepka.** Rocznic 1959. Absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu oraz Studium Podyplomowego w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego.

Uprawia malarstwo i projektowanie graficzne. Zawodowo związana jest z Domem Kultury „Sokolnia” w Imielinie. Zajmuje się również pracą artystyczną z dziećmi i dorosłymi. W 2004 roku zainteresowała się kierunkiem *land artu* i odtąd bierze udział w Letniej Akademii Sztuki w Jeleniej Górze. Jest autorką programu „Otwarty horyzont” skierowanego do artystów z terenu powiatu bieruńsko-lędzkiego. W 2014 roku została laureatką nagrody „Clemens Pro Arte” nadanej przez Starostę Powiatowego w Bieruniu.

Ma na swoim koncie kilkanaście wystaw indywidualnych oraz zbiorowych.



Urszula Figiel-Szczepka, *Wydma, olej*

cha malarstwa Urszuli Figiel-Szczepki. W jej obrazach z rzadka pojawia się postać, ale wyczuwamy jej obecność – to właściwie my sami, a raczej autorka tego co rozpościera przed nami, a co siłą rzeczy musi być zamknięte w ramach. Ale spoglądamy dalej, chcemy przekroczyć próg własnych możliwości, pozbyć się ograniczeń, wejrzeć dalej niż to możliwe, także w głąb siebie. W „Kamienistym brzegu” postać oddala się, jakby stąpała po wodzie, a zataczające się na powierzchni kręgi są jak wyjęte z opowieści o pewnym Mędrцу stąpającym po wodzie, rozmnażającym ryby czy napełniającym sieci rybaków na Jeziorze Genezaret. Wejście do wody nie tylko oddala, ale oczyszcza nasze myśli, pozwala na jasne spojrzenie i rozpoznanie na nowo tego co dobre a co złe. Nie jesteśmy jednak pewni, że oddalająca się postać ma właśnie taki zamiar. Woda dzieli, ale i łączy brzegi – przejść na drugą stronę, do innej rzeczywistości, zobaczyć inny (lepsz?) świat? O takich lub temu podobnych rozważaniach natury egzystencjalnej świadczą i inne obrazy zawierające element drogi, przejścia, brzegu, horyzontu, odpływu i przyplwy. Z gruntu prosty krajobraz nabiera nowych znaczeń, otwiera przed nami skrywane przed obcymi wnętrza artystki, otwiera, jak to w cytowanej wypowiedzi zapisano – zawór bezpieczeństwa.

Zestawione na jednej ekspozycji obrazy Urszuli Figiel-Szczepki unaczynają, że jest to artystka ciągle poszukująca. Eksperymentuje, rozszerza swoje malarskie emploi – przedstawione krajobrazy są pretekstem do opowiadania o tym, co już znalazło swój materialny wyraz, a co tkwi poza tą przestrzenią. Artystka poszukuje nowego sposobu obrazowania,

jak we „Wschodzie rozety”, w której zachowuje gamę barwną, pojawiającą się w innych obrazach, ale zmienia sposób malowania. Pojawia się fragmentaryczna architektura – najprawdopodobniej katedra i wirujący niczym wschodzące słońce witraż – rozeta. Ale to z pewnością tylko próba, bo jej światem jest pejzaż, przypominający czasem pracowicie utkane gobeliny, przykuwające uwagę kolorem – jego niezwykłymi odcieniami, pozwalającym na budowanie skojarzeń ze światem baśni.

WIESŁAWA  
KONOPELSKA

*Dziś wiem, że po tylu latach życia na północy Szwecji, ja się po prostu w tym miejscu zakochałam. To taka prawdziwa miłość, bez fajerków, ale stabilna – mówi Asia, trzydziestolatka, która od kilku lat mieszka w Skandynawii i zgodziła się z nami porozmawiać. Z nią, jak i innymi bohaterami tego reportażu, spotkaliśmy się początkiem września w Sztokholmie.*

# Polskie drogi w Szwecji

ALICJA  
BADETKO

Joanna przyjechała do stolicy Szwecji na kilka dni. Wybrałyśmy się wspólnie na wycieczkę po tutejszym archipelagu, by zwiedzić Grindę i Gallano. Statek turystyczny mijal wyspy z większości niewysokim klifem, kamieniste lub zalesione z małymi czerwonymi domkami z drewna. Obserwowałyśmy jak promienie słoneczne iskrzą się na wodzie. Mijały nas co rusz stacje z żaglem wyglądającym jak flaga Szwecji lub ścigające się motorówki. I tak miałyśmy szczęście, że była słoneczna pogoda, a temperatura sięgała nawet 16-20 stopni. Kilka dni temu bardzo daleko na północy Szwecji, w Kirunie, spadł już śnieg.

*– Dziś wiem, że po tylu latach życia na północy Szwecji, ja się po prostu w tym miejscu zakochałam. To taka prawdziwa miłość, bez fajerków, ale stabilna – zaczyna w pewnej chwili. – Tam ludzie mieszkają w domkach z widokiem na jezioro, w zimie jeżdżą na skuterach, korzystają z sauny lub jacuzzi, a latem pływają na łódkach. Do tego dążę.*

Zauważa, że w Szwecji nikt nie okazuje swojego bogactwa, chociaż ważna jest jakość życia. A warunki socjalne w Skandynawii są dużo lepsze niżeli w Polsce. Na przykład, jeżeli ktoś ma dziecko, to aż do jego pełnoletności, co miesiąc otrzymuje od państwa ok. 1000 koron. Darmowe są wizyty z nim u lekarzy. Do przedszkola można zaprowadzić już rocznego malucha, a godziny jego pobytu tam zależne są od czasu pracy jego rodziców. Wymaga się, by dziecko miało w domu swój „kąt”. Jeżeli nasze zarobki

nie są za wysokie, to możliwa jest dopłata do mieszkania.

Asia zauważa, że do tzw. białych nocy można się przyzwyczaić, a człowiek żyje wedle naturalnego cyklu. *– Latem jest się bardziej aktywnym, a zimą trochę bardziej wyciszonym. Wtedy człowiek ceni sobie ciepły dom, kocyk, książkę i świeczuszki.* Kiedy pytam ją o samotność, stwierdza, że jest to kwestia indywidualna. Sama nigdy nie czuła się smutna akurat z tego powodu, chociaż mieszka bez współlokatorów. *– Mam paru znajomych. W pracy są koleżanki i koledzy. W weekendy zawsze coś dzieje się w miasteczku. W tygodniu moje obowiązki rzadko pozwalają na towarzyskie pogaduszki po pracy. Poza tym więdziemy spokojne życie – dodaje.*

Asia wygląda jak typowa Szwedka. Ma blond włosy i niebieskie oczy. Trochę śmieszy ją mój wniosek, że dzięki temu jest jej łatwiej wtopić się w środowisko autochtonów i znaleźć przyjaciół. *– Pogadanie sobie na ulicy to jedno a umówienie się na wspólny lunch, to już inna bajka. Może na południu jest inaczej, ale na północy ludzie są dość zamknięci.*

Co miłe szybko się kończy, także nasza wyprawa na tutejsze wyspy. Płynąc promem do Sztokholmu, siedzimy opatulone kocem, z ciepłą kawą w dłoniach i obserwujemy topiące się w morzu słońce. Cóż chcieć więcej?

## Cóż, że dyplom ze Szwecji



Hanna to rodowita Ślązka, ale w duszy kosmopolitka. Rezolutna 23-latką kilka dni wcześniej wróciła ze studiów w Królestwie Bry-

tyjskim, a teraz leci pisać tzw. „magisterkę” do Umeå, miasteczka na północy Szwecji. *– W Anglii studiowałam zarządzanie z językiem hiszpańskim. Fajnie było, chociaż ciężko. W pewnej chwili moja koleżanka stwierdziła: „Jeźdźmy do Szwecji. Tam można też studiować”. W rezultacie jedna z nas trafiła do Sztokholmu, ja do Umeå, a „prowodyrka” ostatecznie zaczęła studia w Warszawie... Jak się okazuje, w Szwecji będzie się uczyć za darmo. Musi jednak utrzymać się sama. A to nie jest ani tanie, ani bardzo łatwe. – Żeby tu żyć, pracowałam przez wakacje w UK. Pokój znalazłam na jednym z forów internetowych. Mieszkam ze Szwedem, który wynajmuje salon. Właściciel mieszkania to Irańczyk i zajmuje trzeci pokój. Nie mamy w drzwiach kluczy. Panuje atmosfera wzajemnego zaufania – tłumaczy.*

W ramach studiów nie ma wiele zajęć, chociaż musi pisać czasochłonne projekty. W systemie szwedzkim jest inny sposób nauki niż w Polsce, np. teraz przez miesiąc Hanna ma zajęcia z jednego tylko przedmiotu, który kończy egzaminem pod koniec września. A potem zaczyna drugi fakultet etc. *– Cała moja klasa jest międzynarodowa i wszystkie zajęcia przebiegają po angielsku. Każdy ma tu rower i dojeżdża nim na uczelnię. Oprócz mnie moi koledzy i koleżanki chodzą na siłownię... Hanna zauważyła, że na drzewach jest mnóstwo jarezębiny. To podobno ma świadczyć o srogiej i długiej zimie.*

## Amerikanin z Podlasia

Schronisko, w którym śpię usytuowane jest niemal w centrum Sztokholmu. Dokładnie 5 minut do dworca centralnego i mniej więcej tyle samo do Starego miasta tzw. Gamla Stan.

W City Lodge mieszkają także Polacy. Mirek jest z Chicago, ale 10 lat temu opuścił Podlasie. Przyjechał teraz do Sztokholmu, by pierwszy raz od dwóch lat spotkać się ze swoją dziewczyną, którą zna tylko z internetu. Ona przyjechała na tydzień aż z Indonezji. Planują wspólną przyszłość. „Najdroższa/y” – to najczęściej padające słowo w ich rozmowie. Przyjechały też dwie dziewczyny studiujące w Warszawie. Błogie, młodzieńki studentki, które w nietuzinkowy sposób chciały spędzić czas w Szwecji, rozpoczynając podróż promem z Gdańska – 18h!; zamiast zafundować sobie dwugodzinny lot, w podobnej cenie. Jest również Renata, zasymilowa-

na na Śląsku góralka. Ma 26 lat. Uczy się szwedzkiego w szkole językowej. Jest po anglistyce i pracuje w jednej z międzynarodowych korporacji w Katowicach. Przyjechała odwiedzić Sztokholm, by między innymi spotkać się ze znajomym, który *via skype* uczy ją szwedzkiego.

Obie wychodzimy jeszcze tego wieczoru „w miasto”. Siedzimy nieopodal ratusza, który odbija się w zatoce. Jest delikatnie podświetlony, co uwydatnia cegły w kolorze ciemnobordowym. Z drugiej strony widzimy dzielnicę Södermalm. Jest to ciekawe miejsce. Dużo czystsze, mniej śmierdzące i chyba bezpieczniejsze niż centrum Sztokholmu. To tu Larsson zadomowił bohaterów swej sagi „Millenium”, czyli Mikaela Blomkvista i Lisbeth Salander. Do tego ulokował tam w rzeczywistości nieistniejące: redakcję Millenium, budynek Milton Security, a także realne ekskluzywne mieszkanie książkowej hakerki oraz kilka filmowo/książkowych knajp. Niemniej jednak wyjście na Wzgórze Mojżeszowe nie należy do najłatwiejszych i najszybszych. Ale to tam znajduje się teatr z niewielkim placzykiem i oczywiście filmowe mieszkanie głównej bohaterki powieści. A poniżej stacji metra (Slussen) jest Mc Donald, w którym hamburgery jadła Salander oraz w innej części wyspy niewielkie sklepy sieci „7eleven”, gdzie robiła zakupy

bohaterka Millenium. (Więcej informacji nt. Szlaków śladem bohaterów powieści w przewodniku Wojciecha Orlińskiego)

### Spotkanie z (anty) cenzorem

— *Nie lubię tego określenia punkcie wyczulony. Robiłem przeciwieź wszystko, aby nie tylko nim nie być, ale też, by wymierzyć „Cenzurze” cios. Chciałbym być dobrze zrozumianym. Po podjęciu decyzji ani przez moment w ciągu osiemnastu – w jej efekcie spędzonych w krakowskiej delegaturze Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk – miesiący nie czulem się „cenzorem”. Czulem się antycenzorem, ponieważ mając świadomość wytyczonego sobie zadania – w przeciwieństwie do zatrudnionych w tej instytucji ludzi – cały ów czas wypełniałem pracą przeciw cenzurze. To pogarda i wstręt do cenzury leżały u podstaw mojej decyzji i tej właśnie odrazy stała się ona wyrazem – mówi Tomasz Strzyżewski, który dzisiaj mieszka w Sztokholmie. A 10 marca 1977 r., przybył do Szwecji, gdzie poprosił o azyl polityczny. Opuszczał nasz kraj, zabierając tajne dokumenty skierowane dla pracowników Głównego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk, zwanego potocznie „Cenzurą”. To właśnie z tych materiałów powsta-*

ła „Czarna Księga Cenzury PRL”, która ma szansę na ponowne wznowienie, po blisko 40 latach od pierwszego, londyńskiego wydania.

Przeglądając internet, natrafić można na informacje, mówiące, że Tomasz Strzyżewski jest niezależnym publicystą znanym jako Thomas Starski. Jako działacz emigracyjny wspierał Konfederację Polski Niepodległej – prowadził jej Biuro Informacyjne. Publikował w kanadyjskim „Czasie”, „Głosie Polskim”, sztokholmskich „Wiadomościach Polskich”, „Słowie” Kongresu Polaków w Szwecji oraz prasie krajowej: „Przegląd Artystyczno-Literacki”, „Głos”, „Życie”.

Pan Tomasz, jak sam się określa, należy do introvertyków, zatem raczej słucha. Nie rozgaduje się, a gdy mówi, to jak najbardziej konkretnie. Ma ogromną kulturę osobistą. Zabiera mnie w niezwykle miejsce, które polecam każdemu, kto będzie zwiedzał Sztokholm. To wieża telewizyjna Kaknästornet, która bodaj obok Muzeum Vasa i lunaparku jest bardzo ważnym punktem na mapie turystycznej miasta. Ma ona 170 metrów, a niemal na jej szczyt szybko wwozi winda. Jest tam restauracja z bajecznym widokiem na cały Sztokholm. Zamawiam kurczaka w sałacie i z grzankami. W istocie nie wiem co w tej chwili jest bardziej emocjonujące: niezwykła, odbierająca głos pa-



Widok Sztokholmu z wieży telewizyjnej

norama rozłożonego na 14 wyspach miasta, czy wymarzone spotkanie z człowiekiem, którego wyczyn wymienia się w książkach historycznych. Zawsze chciałam zadać mu kilka pytań i okazja wreszcie pojawiła się.

– **Panie Tomasz, Andrzej Koraszewski w książeczce „Rycerze domniemanej oczywistości”, zaznaczył, że w latach 1968–1970 do Szwecji przybyło około 5 tysięcy osób pochodzenia żydowskiego, zarówno członków PZPR jak i ludzi, którzy spędzili wojnę w ZSRR a także studentów z roku 1968 zaangażowanych w wydarzenia marcowe. Po przyjeździe miał pan z nimi kontakt? Jaka w ogóle była reakcja Polaków na pana działanie?**

– Nie miałem z Polakami dużego kontaktu, a ci z nich (nieliczni), których tu poznałem, włączyli się do tego środowiska emigracyjnego, które było wrogo usposobione do działaczy emigracyjnych, popierających w kraju opozycję niepodległościową. Miałem i nadal mam wrażenie, że cała ta „pomarcowa” emigracja łącznie z cytowanym przez panią Andrzejem Koraszewskim postanowiła surowo potępić mnie za to, że byłem „cenzorem”.

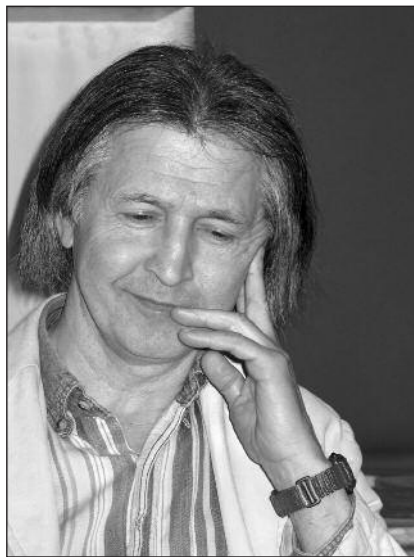
– **W jaki sposób?**

– Ludzie ci, skonfrontowani z tym, co uczyniłem, nie umieli właściwie zareagować. Musieli mnie potępić choćby dlatego, że trzeba było ukryć swe prawdziwe oblicze, a najłatwiej uwolnić się od ciężącego kompleksu winy przerycając go na kogoś, na kim ona nie ciąży. Wszystkie informacje, jakie emigracja miała na mój temat, pochodziły od pana Koraszewskiego, który szczególnie pozytywnie do mnie nastawiony nie był. Starał się cenzurować pochodzące ode mnie informacje o samej cenzurze. Miał też świadomość pewnej mojej zależności od niego. Przecież nie mówiłem po szwedzku, nie miałem tu żadnych kontaktów. Na przykład podczas jednego z wywiadów dla szwedzkiej telewizji, w pewnej chwili przestał tłumaczyć moje słowa, a sam odpowiadał na pytania dziennikarzy itd., itp. Był on również autorem paszkwilu, skierowanego przeciwko mnie, na który odpowiedziałem na łamach polonijnych „Wiadomości Polskich” w 1981 roku... itd., itp.

– **Kiedy pan zrozumiał to zachowanie?**

– Dopiero kiedy w pełni uświadomiłem sobie rodowód tych ludzi i wynikające z tego motywy, odzyskałem pewność siebie.

– **A próbowali pana przekonać do siebie?**



Tomasz Strzyżewski w wydawnictwie „Wektor” (2005 r.)

– Chyba tak. Pamiętam, że w 1980 roku skontaktowała się ze mną dotychczasowa lektorka z KC PZPR do Instytutu Badań nad Europą Wschodnią przy Uniwersytecie w Uppsali. Tam partyjni dotychczas intelektualiści trafiali bez najmniejszych problemów. Później zrozumiałem, że to załuga wpływowych kontaktów i prywatnych koneksji diaspory... Ale nie udało im się przerobić mnie na „swego człowieka” już ochrzczonego przez Koraszewskiego „Wallendrodem Cenzury”. Nie zostałem drugim Józefem Światło lub Stefanem Michnikiem.

– **W 2005 roku IPN uznało pana za pokrzywdzonego. Rok później otrzymał pan Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Czyli tak oficjalnie po 28 latach przyznano panu rację i doceniono działalność z okresu PRL i lat następnych. Jaka była wtedy reakcja Polonii? Miał pan chyba dużo satysfakcji?**

– Satysfakcja? No tak – odczułem pewną satysfakcję, ale tylko w wymiarze osobistym. Prawda jednak o cenzurze – nie tylko tej peerelowskiej, ale o cenzurze w ogóle – nadal jest skrywana przed opinią publiczną. Reakcja Polonii nadal jest dwojaka, to znaczy ta jej część, która identyfikuje się z dawną opozycją niepodległościową (nadal w mniejszości) pogratulowała mi tego oficjalnego uznania przez państwo polskie. Ta druga część wywodząca się z emigracji „pomarcowej”, wraz z innymi zwolennikami ustaleń OS i systemu politycznego Trzeciej RP, przyjęła tę wiadomość z przysłowiową „kwaśną miną”. Nadal mnie zwalczają i nie jest nawet wykluczone, że będę zmuszony wejść na drogę sądową z powodu obrzydliwego „paszkwilu” opublikowanego niedawno w wydawanej tu w Sztokhol-

mie „Nowej Gazecie Polskiej”. Co zaś do nieosobistego wymiaru, to mam nadzieję, że mająca wkrótce nastąpić reedycja mojej „Czarnej Księgi Cenzury PRL” sytuację tę zmieni i że kłamstwo o cenzurze jako o instrumencie sprawowania Władzy Czwartej przestanie wreszcie triumfować.

– **Jakby pan określił dzisiejszą polską emigrację. Jest ona spójna czy podzielona. Kogo personalnie, by pan w niej wyróżnił?**

– Przykładowo Tadeusz Nowakowski od 1982 roku redaguje tu i wydaje „Nową Gazetę Polską” finansowaną przez emigrację „pomarcowców”. No a emigracja „pomarcowa” brała paszporty z wizą do Izraela, a ogromna jej część znalazła się tutaj (ok. 5000 osób). Korelacja oczywista pomiędzy tą przeszłością a sympatiami politycznymi istnieje do dzisiaj. Spośród znanych mi osób i ze mną zaprzyjaźnionych działaczy tutejszej niepodległościowej Polonii wyróżniłbym panią prezes Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji Jolanę Halkiewicz oraz zmarłego w tym roku pana prezesa Kongresu Polaków w Szwecji Michała Bieniasza. A dzisiejsi głównie młodzi ludzie, którzy przyjeżdżają do Szwecji, rzadko interesują się polityką, będąc – co dość naturalne – zaabsorbowanymi pracą zarobkową i jej poszukiwaniem. Zdarzają się oczywiście godne podziwu wyjątki. Wtedy angażują się raczej po tej naszej – niepodległościowej stronie.

– **Czym dzisiaj zajmuje się Tomasz Strzyżewski?**

– Jestem od kilku lat emerytem. Mam więc dużo wolnego czasu, co pozwala mi na działalność w niepodległościowych organizacjach polonijnych, takich jak np. Rada Uchodźstwa Polskiego w Szwecji czy Klub Gazety Polskiej w Sztokholmie. W początkowym okresie działalności tego ostatniego byłem jego przewodniczącym. Zajmuję się poza tym publicystyką a od czasu do czasu udzielam wywiadów w radio lub w telewizji.

Spotkanie z panem Tomaszem było niezwykle. Patrzyłam na legendę, a w rzeczywistości człowieka bardzo skromnego. Kiedy wracaliśmy do centrum miasta, pokazał mi muzeum narodowe, teatr im. Strindberga, gdzie sezon rozpoczął się w tym roku „Trzema Siostrami”. Odwiedziliśmy skansen z drewnianą zabudową: kościołem, pomalowanymi na czerwono domkami wzniesionymi w typowym szwedzkim stylu. Mój przewodnik zasugerował, że w niedzielę na zamku odbywa się widowiskowa zmiana wart, co warto zobaczyć. Aha no i grzechem by-



łoby nie odwiedzić tutejszego metra, a szczególnie niezwykle pięknie pomalowanych, drążonych w kamieniu stacji na dwóch liniach niebieskich.

## Polacy w szwedzkim parlamencie

**J**ak wynika z informacji, które mam z biura prasowego MSZ, dokładna liczba obywateli polskich w Szwecji jest niemożliwa do ustalenia, ze względu na brak obowiązku meldunkowego/rejestracyjnego w Szwecji a także z powodu intensywnego ruchu osobowego między Polską a Szwecją. W związku z powyższym stosuje się różne wskaźniki częściowe pozwalające oszacować tę liczebność, przekraczającą naszym zdaniem 100 tys. osób. Przykładowo, według danych z lipca 2014 r. ze szwedzkiego centralnego biura statystycznego (Statistiska Centralbyrån), liczba rezydentów w Szwecji urodzonych w Polsce wynosiła 78.175 – są to jedynie osoby zarejestrowane w szwedzkim rejestrze ludności. Ponad 38 tys. obywateli polskich przybyło do Szwecji już po przystąpieniu naszego kraju do UE. Żadna z tych liczb nie uwzględnia oczywiście pracowników sezonowych oraz znacznej rzeszy obywateli polskich przebywających w Szwecji – czasami przez wiele lat – bez dopełnienia jakichkolwiek formalności. Największe skupiska Polonii to Sztokholm wraz z przedmieściami, a ponadto inne duże aglomeracje miejskie: Göteborg, Malmö, Uppsala, Umeå. Dominuje zatrudnienie obywateli polskich w sektorach związanych z pracą fizyczną (sektor budowlany, transport oraz sprzętanie), jednakże w Szwecji licznie reprezentowani są również wysoko kwali-



Uczennice jednej ze szkół zbierają na wycieczkę do Auschwitz

fikowani specjaliści z Polski, np. lekarze i informatycy. Właśnie polscy lekarze i stomatolodzy cieszą się dużym uznaniem (szacuje się, że w Szwecji pracuje ich ponad tysiąc). Uznana pozycję mają Polacy w sferze nauki i kultury. Wielu Polaków ma małe prywatne firmy handlowe, usługowe, budowlane. Działają kilkanaście polskich restauracji i sklepów z polską żywnością. Osoby z polskimi korzeniami należą do kręgów opiniotwórczych inteligencji szwedzkiej (m.in. dziennikarze Michael Winiarski, Peter Wołodarski, Maciej Zaremba, prof. Jerzy Sarnecki). W ostatnich latach wyraźnie wzrósł udział środowiska polskiego w życiu politycznym Szwecji. W poprzednim parlamencie szwedzkim po raz pierwszy w historii znalazły się dwie osoby pochodzenia polskiego (Eliza Roszkowska-

-Öberg i Marta Obminska). Ponadto do władz lokalnych wybrano kilkadziesiąt osób z polskimi korzeniami. Szwecja prowadzi otwartą politykę migracyjną, w tym wobec obywateli innych państw UE i – w przeciwieństwie do niektórych innych krajów destynacji migracji zarobkowej w ramach Unii – nie spotyka się w dyskusie publicznej negatywnych opinii dotyczącej migracji zarobkowej z Polski lub innych państw UE. Należy ocenić, że Polacy są dobrze wrośnięci w szwedzkie realia, o ustabilizowanej sytuacji materialnej i socjalnej – głośni nota z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

## Epilog

**D**o kraju odlatuję, z położonego 100 km od Sztokholmu lotniska zwanego Skavsta, znajdującego się w gminie Nyköping. Mimo że po niecałych 2 godzinach lotu jestem już w Pyrzowicach, to w pamięci pozostaje widok szwedzkich wysp i tanię chmur, które przedzierał z impetem nasz boeing 747. Dziękuję za pomoc w napisaniu reportażu jego bohaterom oraz Biuru Prasowemu MSZ w Warszawie. Więcej o wycieczkach szlakiem sagi „Millenium” znajduje się w książce autorstwa Wojciecha Orlińskiego pt. Sztokholm. Przewodnik śladami bohaterów Steiga Larssona, wyd. Pascal.

Więcej zdjęć z archipelagu i Sztokholmu: [www.jadebomusze.blox.pl](http://www.jadebomusze.blox.pl). Cytowana Informacja o Tomasz Strzyżewskim pochodzi z [http://www.sunny.kramwamd.com.net.pl/Tomasz\\_Strzy%C5%BCewski.html](http://www.sunny.kramwamd.com.net.pl/Tomasz_Strzy%C5%BCewski.html)



Zdjęcia Alicja Badelko

Anita podczas wycieczki statkiem po sztokholmskim archipelagu.



Józefa Slania, Portret matki



Czesław Slania, Autoportret, 2001



Jan Paweł II  
znanek dla Poczty Watykańskiej



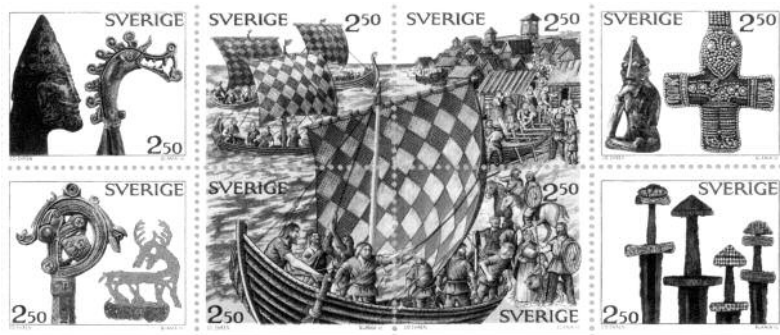
Księżę Gustaf VI Adolf  
znanek dla Poczty Szwedzkiej



Wisława Szymborska  
znanek z cyklu „Nobliści”  
dla Poczty Szwedzkiej



Znanek dla Poczty Islandzkiej



Znanek dla Poczty Szwedzkiej

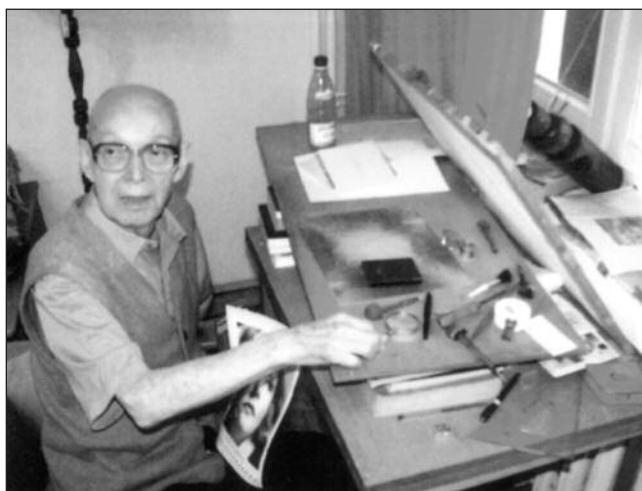
W Czeladzi, w dzielnicy Piaski, ciągle stoi dom, w którym dzieciństwo spędził Czesław Słania. To urokliwy famiłek w dziś zabytkowej dzielnicy, jakich wiele dla robotników zbudowali francuscy właściciele kopalni Czeladź. Na frontowej ścianie umieszczono tablicę poświęconą jego pamięci. W 1999 roku miasto nadało artyście tytuł honorowego obywatela miasta – ale nie zdążył go odebrać osobiście. Wielkim propagatorem i miłośnikiem miniaturowych arcydzieł Słania był jego przyjaciel, również czeladzianin Antoni Krawczyk, zapalony filatelista, dbający o pamięć o Czesławie Słaniu a także upowszechniający jego dzieło.

W Polsce nazwisko Słania znane jest przede wszystkim w środowisku filatelistów. Zygmunt Krzysztof Jagodziński biograf, ale także znawca i wielbiciel jego twórczości podczas pracy nad dwutomowym, opasłym dziełem opisującym życie i twórczość Słania, opowiadał, że w świecie, na przykład w Chinach, na spotkanie ze Słanią wynajmowano ogromny stadion!

Jakim nietuzinkowym artystą był Słania długo by opowiadać: znakomity artysta – absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Specjalizował się w miniaturowych pracach rytowniczych.

Posiadanie tej wymagającej niebawym precyzji umiejętności sprawiło, że podczas studiów wykonał rysunki do atlasu anatomicznego dla studentów medycyny! Kolejnym etapem w jego życiu była praca w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. W Łodzi i w Warszawie. Tu poznał dogłębnie tajniki opracowywania projektów znaczków pocztowych, a także innych całostek filatelistycznych jak karty i stemple okolicznościowe oraz banknotów. Kiedy w 1956 roku znalazł się na emigracji w Szwecji, z wielkim upodobaniem rytował nie tylko znaczki pocztowe, ale też historyczne mapy. Zadziwiał cierpliwością, która stanowiła kontrpunkt do jego nietuzinkowego poczucia humoru – w swoich pracach umieszczał niewidoczne gołym okiem żarty. Z niedowierzaniem zachwycono się jego umiejętnością pomieszczenia na przestrzeni 1 milimetra siedmiu linii, które odzwierciedlały w stalowej płytce w tej samej konfiguracji i wielkości. Po jego śmierci w 2005 roku prasa szwedzka pisała, że zmarł Polak, który rozślawił Szwecję.

Sława Czesława Słania jako wybitnego rytownika szybko rozeszła się nie tylko po Europie, ale i po świecie. Związany był przede wszystkim z Poczta Szwecji, ale zamówienia napływały od poczt Księstwa Monaco i Księstwa Danii, z Watykanu (m.in. z okazji 80 urodzin papieża Jana Pawła II Słania



Czesław Słania w swojej krakowskiej pracowni



## Czesław Słania – Polak, który rozślawił Szwecję

wygrawerował znaczek wspólny dla Poczty Polskiej i Poczty Watykańskiej, za co uhonorowany został przez papieża Orderem Świętego Grzegorza – najwyższym medalem Watykanu), z Australii i Stanów Zjed-

noczonych. Jego niezwykły talent do wykonywania kopii obrazów, a szczególnie upodobał sobie malarstwo szwedzkie, owocował seriami znaczków pocztowych, na których widnieją dzieła najwybitniejszych malarzy. Motywem znaczka z 2000 roku, z numerem 1000, 79-letni artysta uczynił środkową część barokowego plafonu zatytułowanego „Heroiczne czyny królów szwedzkich” autorstwa Davida Klöckera Ehrenstrahla – nadwornego malarza portretowego, który zdobi królewski pałac Drottningholm w Sztokholmie. Wtedy to powstał największy znaczek pocztowy na świecie.

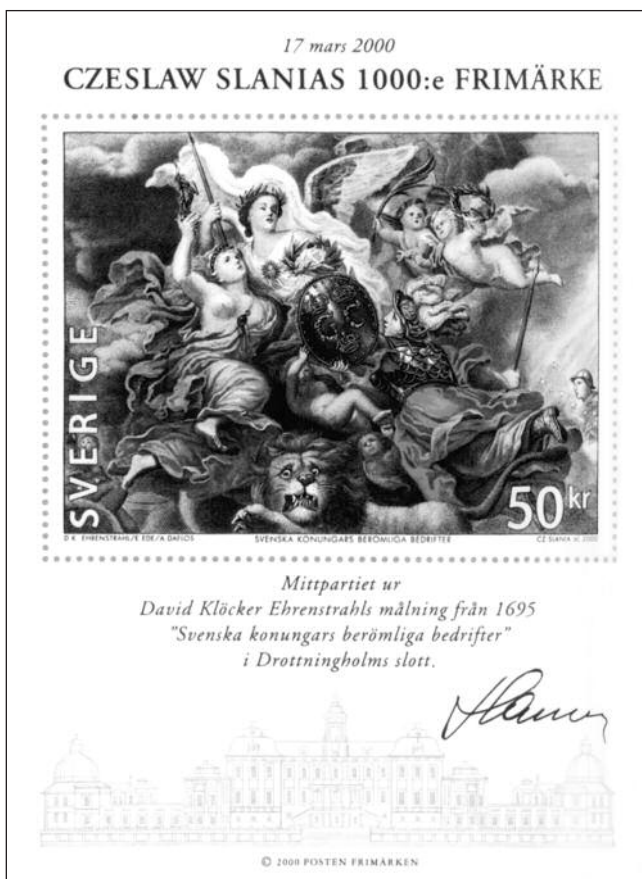
W 1972 roku książę Szwecji Gustaf VI Adolf nadał Czesławowi Słaniu tytuł Nadwornego Grawera Królestwa Szwecji. Odnaczali Słanie także książęta Danii i Monako. Nazywano Słanię najwybitniejszym grawerem znaczków pocztowych na świecie, a dowodem tego nagradzanie wielu jego miniaturowych dzieł mianem najpiękniejszych znaczków świata, co potwierdzano stosownymi dyplomami i certyfikatami.

\*\*\*

Czesław Słania wielokrotnie powracał w swe rodzinne strony, a Czeladź była dla niego wręcz magicznym miejscem na ziemi. Dlatego też w tym mieście działa założone przez Antoniego Krawczyka przed ponad 30 laty Młodzieżowe Koło Filatelistyczne, któremu nadano imię Czesława Słania. I właśnie tym młodym filatelistom Słania jako wyraz podziękowania za pamięć i za organizowane cyklicznie wystawy jego miniatur pocztowych ofiarował jedną ze swoich prac grawerskich – portret papieża Jana Pawła II.

Ten obywatel świata, człowiek znany i zawsze chętnie witany na salonach świata zawsze i wszędzie podkreślał swoją polskość. W wydanej niedawno przez Wydawnictwo Muza książce zatytułowanej „Wielcy zapomniani Polacy, którzy zmienili świat” obok nazwisk Henryka Arctowskiego, Bronisława Hubermanna, Wandy Landowskiej czy Zofii Kossak-Szczuckiej znajduje się rozdział poświęcony Czesławowi Słaniu – Polakowi, którego zna cały świat, a o którym w Polsce ciągle za mało mówimy i niewiele wiemy. A on pokazał światu, że znaczek pocztowy może być nie tylko dziełem grawera, ale arcydziełem sztuki rytowniczej.

Swoje pełne przygód oraz artystycznych poszukiwań i doznań życie zakończył w Krakowie, w 2005 roku.



Największy znaczek świata, tysięczny w dorobku artysty.

WIESŁAWA KONOPELSKA



Debata „Z Górnego Śląska do sowieckich obozów”. Na zdjęciu od lewej: Gabriel Tobor, burmistrz Radzionkowa i Dariusz Węgrzyn (katowicki IPN)

# Do domów wracali wycieńczeni

RYSZARD  
BEDNARCZYK

**Deportowani przymusowo w 1945 roku Górnoszlązacy trafiali do morderczej pracy w kopalniach Donbasu, ale także do wyrobów lasów na Białorusi i kopalnia torfu po kolana w wodzie. Szczególny postrach budził obóz pracy w Krasnowodsku, gdzie więźniów dziesiątkowały nocny mróz, dzienny upał i skażona chemicznie woda.**

Maksymilian Paprotny, mieszkaniec Sierakowic, miał 41 lat, gdy 15 lutego 1945 roku został deportowany do Związku Radzieckiego. Trafił do obozu pracy w Borżumi, położonego 150 kilometrów od Tibilisi w Gruzji. Wraz z czterema tysiącami jeńców niemieckich pracował przy budowie tamy, kanału i elektrowni. Kiedy po kilku miesiącach zachorował na dur brzuszny i poczuł, że zbliża się kres jego życia, na odwrocie kartek ubezpieczeniowej książeczki zaczął pisać ołówkiem wspomnienia. „Ostatnie pozdrowienia dla moich bliskich” – tak zaczął się pierwszy zapis z 31 lipca 1945 roku. Oprócz słów pożegnania z rodziną zawierał także szereg rad dla żony dotyczących wychowania synów oraz rozdysponowania majątku. *Co sięyczy gospodarstwa, utrzymaj wszystko, co się da* – zanotował Maksymilian Paprotny. Kolejne notatki dotyczyły pogarszającego się zdrowia oraz śmierci towarzyszy niedoli. *Choroba tak mnie niszczy, że ta rosyjska ziemia mnie przykryje* – przeczuwał. Ostatnie wspomnienie nosiło datę 23 sierpnia 1945 roku. Maksymilian Paprotny faktycznie zmarł na nieludzkiej ziemi 31 sierpnia 1945 roku.

– Te zapiski przywiózł kuzyn po zwolnieniu z deportacji i tak dowiedzieliśmy się, że ojciec nie żyje – wspominał Henryk Paprotny, syn deportowanego, podczas debaty „Z Górnego Śląska do sowieckich obozów” zorganizowanej 10 lutego w bytomskim Muzeum Górnoszląskim. W panelu dyskusyjnym uczestniczyli także Adam Dziurok i Dariusz Węgrzyn – pracownicy katowickiego Instytutu Pamięci Narodowej oraz Gabriel Tobor, burmistrz Radzionkowa, gdzie w budynku starego dworca w 70. rocznicę Tragedii Górnoszląskiej otwarto Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoszlązaków do ZSRR. Dyskusję, którą prowadziła Joanna Lusek, poprzedziła projekcja filmu „Przemilczana tragedia”.

## Krowiakami po szerokich torach

Maksymilian Paprotny był jednym z 45 tysięcy mieszkańców Górnego Śląska wywiezionych na początku 1945 roku do niewolniczej pracy w ZSRR. Deportacje, na podstawie uchwał sowieckich władz i rozkazu o oczyszczaniu tyłów frontu, w niemieckiej przedwojennej części nadzorowało NKWD. Po dawnej

polskiej stronie w wywózkach uczestniczyli także polscy milicjanci, bezpieczeństwa i przedstawiciele administracji. Akcja rozpoczęła się od wywieszenia w górnoszląskich miastach 15 lutego 1945 roku obwieszczeń o przymusowym zgłaszaniu się mężczyzn w wieku od 17 do 50 roku życia do pracy na okres 14 dni. – Mężczyźni myśleli, że skierowani zostaną do prac porządkowych w miastach – mówił Dariusz Węgrzyn z katowickiego IPN.

Tymczasem z miejsc zbiórek w centrach miejscowości przewiezieni zostali do obozu przejściowego w Łabędach lub pomniejszych podobozów, gdzie uwięziono Niemców przeznaczonych do wysiedlenia. Tam mężczyźni poddani byli wstępnej filtracji, trwającej od kilku do kilkunastu dni. – Badano kondycję fizyczną, przydatność do pracy i okupacyjną przeszłość – dodaje Adam Dziurok z oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach.

Sowieci zabierali wszystkich mężczyzn nadających się do pracy, nie tylko górników i hutników. Areszt groził każdemu Niemcowi czy Górnoszlązakowi wpisanemu na folklsistę. Zamykano za przynależność do niemieckich organizacji, nawet do związków zawodowych, których członkami byli wszyscy pracownicy. W wyłapywaniu pomagali niekiedy sąsiedzi, pisząc donosy. Wywózki zaczęły się w marcu 1945 roku, gdy Sowieci dostosowali tory do szerokości obowiązującej w Rosji i zgromadzili odpowiednią liczbę wagonów. Deportowani transportowani byli po czterdziestu w jednym wagonie przystosowanym do przewozu krów. Wyposażenie stanowił żelazny piecyk, słoma i dziura w podłodze do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Z głodu i chłodu podczas trwającej kilka tygodni podróży więźniowie masowo umierali. Grzebani byli przy torach, gdzie popadnie.

Najwięcej deportowanych przetransportowanych zostało do kopalń i hut Donbasu, Doniecka, Karjiewki, Dniepropietrowska, gdzie przy zakładach utworzono bataliony pracy. Kierowani byli także do obozów w środku lasu w okolicach Mińska na Białorusi, do wycinki drzew lub kopalnia torfu w wodzie po pas. Pracowali na Syberii i w Gruzji. – Trafiali wszędzie, gdzie potrzeba było darmowej siły roboczej – wyjaśnia Dariusz Węgrzyn. Wyczerpująca praca, głód, choroby dziesiątkowały deportowanych. Postrach budził obóz w Krasnowodsku na granicy z Iranem, gdzie nocne mrozy i upały w dzień a także zanieczyszczona chemicznie woda przyczyniały się do masowych zgonów.

Wywiezienie z Górnego Śląska tysięcy mężczyzn i maszyn fabrycznych miało fatalne skutki dla rodzin, które niejednokrotnie wyrzucano z mieszkań. Żony deportowanych, dotychczas będące na utrzymaniu mężów, popełniały samobójstwa lub masowo wyprzedawały dobytek, dzieci żebrały, nie uczyły się w szkołach. Na wsparcie materialne władz nie można było liczyć, dopóki nie dotarła wiadomość o śmierci wywiezionego. Wtedy rodziny dostawały rentę.

Dlatego wiosną 1945 roku polskie władze na Górnym Śląsku rozpoczęły starania o powrót wywiezionych na nieludz-

ką ziemię. Najbardziej starał się o powrót ludzi do pracy w górnośląskich kopalniach Fryderyk Topolski, dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego. – Efekty przyniosło to mierne. Zwalniano głównie chorych i niezdolnych do pracy – ocenia Dariusz Węgrzyn.

Powroty zaczęły się w lipcu 1945 roku. Do domów przyjeżdżali ludzie wycieńczeni, którzy miesiącami dochodzili do siebie, a bywało że umierali tuż po powrocie. Z 45 tysięcy deportowanych do 1950 roku powróciło z ZSRR zaledwie 30 procent Górnolązaków. Zdarzało się, że zamiast na łono rodziny wywożeni byli do obozów w Rosji lub do radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec.

Korzyści wynikające dla ZSRR z wywózek z Górnego Śląska górników, specjalistów od maszyn czy wysadzania dynamitem skał, którzy skierowani byli do zniszczonych kopalń w Donbasie, były niewielkie. – Ich kwalifikacje były marnowane, bowiem otrzymywali koszt z wikliny i kilof, potem szli upadować do prostej pracy – podsumowuje historyk z IPN.

### Przerwane milczenie o wywózkach z Górnego Śląska

**A**ż do 1989 roku o górnośląskich deportacjach do katorżniczej pracy na Wschodzie zakazywała uczyć w szkole i pisać w czasopiśmie ówczesna ludowa władza. Sami deportowani także nie mieli ochoty wracać wspomnieniami do bolesnych przeżyć. Stopniowo w latach 90. XX wieku historycy i publicyści



Zdjęcia Ryszard Bednarek

Henryk Paprotny ze Izami w oczach wspominał deportację swojego ojca Maksymiliana.

zaczęli przywracać pamięć o wywózkach. Do nurtu zapisywania białych plam w najnowszych dziejach Górnego Śląska włączyły się także władze niewielkiego Radzionkowa, z którego wywieziono w 1945 roku do ZSRR 250 mieszkańców.

– Kiedy w 2003 roku IPN zorganizował objazdową wystawę na temat deportacji

Górnolązaków, narodził się pomysł, żeby umieścić ją na stałe w naszym mieście – przypomina Gabriel Tobor, burmistrz Radzionkowa. Ekspozycja trafiła do miasta w 2007 roku wraz z ekspонатem – wagonem kolejowym, który postanowiono

umieścić – po przejęciu od PKP – w budynku nieczynnego dworca. W lutym 2015 roku swoje podwoje w mieście otworzyło Centrum Dokumentacji Deportacji Górnolązaków do ZSRR, którego utworzenie finansowo wsparło 29 górnośląskich gmin. W placówce obok wystawy nielicznych zachowanych przedmiotów związanych z wywózkami np. trzech drewnianych walizek, zgromadzone zostały także dokumenty, a w dawnej poczekalni urządzono salę konferencyjną do organizacji spotkań historyków.

## www.poradniajęzykowa.pl

### Internisaż

Muzeum Nadwiślańskie w Kazimierzu Dolnym organizuje *internisaże*, lecz wyrazu takiego nie odnotowuje żaden słownik. Rzecznik prasowy Muzeum zauważa, że jest to nowa forma działalności polegająca na organizowaniu w połowie trwania wystawy czasowej spotkania, które ma na celu wzmocnienie promocji wystawy, przypomnienie o niej publiczności, umożliwienie spotkania z twórcami prezentowanych dzieł, jak również uczestnictwa w wykładach czy spotkaniach autorskich.

Nowe słowo powstało na wzór zapożyczonego z języka francuskiego *vernisażu*. *Vernissage* po raz pierwszy odnotowano w poł. XIX wieku jako nazwę czynności werniksowania, od *vernissier* ‘lakierować’, czyli pokrywać obraz werniksem (fr. *vernis*). Znaczenie ‘pokaz dzieł malarskich dla zaproszonych osób przed wystawieniem ich na widok publiczny w przeddzień otwarcia wystawy’ pojawiło się około 1880 roku pod wpływem angielskiego wyrażenia *varnishing day* o tym

samym znaczeniu. Dzień werniksowania był ostatnim momentem, gdy malarze mogli wprowadzić poprawki na swych dziełach, które następnie pokrywali werniksem, czyli przezroczystą substancją żywiczną mającą zabezpieczyć obrazy przed wpływami atmosferycznymi oraz dodać połysku i głębi barwom. Słowo *vernissage* z czasem stało się nazwą dnia poprzedzającego wystawę, a potem uroczystego otwarcia wystawy i już w takim znaczeniu zapożyczyliśmy je na początek XX wieku.

W czasach nam bliższych w znaczeniu ‘uroczyste zakończenie, zamknięcie wystawy’ zaczęło być używane francuskie słowo *finissage* o pierwotnym znaczeniu ‘wykańczanie’, które na gruncie polskim ma postać *finisaż* (odnotowuje je Wikipedia), nawiązując formą do *wernisażu*. Podobne formy funkcjonują w innych językach (niem. *Finissage*, ang. *finissage*). Podczas *finisażu* wystawy następuje jej podsumowanie, połączone ze spotkaniem okolicznościowym, wystąpieniami autorów dzieł, organizatorów, sponsorów.

Rzecznik *internisaż* uzupełnił tę krótką serię. Przy jego tworzeniu wyodrębniono część *-nisaż*, wspólną dla wcześniejszych nazw imprez powiązanych z wystawą sztuki, i połączone z członem *inter-*, który w wyrazach złożonych oznacza ‘między, wśród’ (zob. *interlinia*, *interdyscyplinarny*). Nie jest to typowy sposób tworzenia nowych wyrazów, bo te powstają np. dzięki stałym cząstkom słowotwórczym, jak np. *-arz*, *-nik* (wykonawcy czynności) czy *-ek*, *-ik* (zdrobnienia), do których *-nisaż* nie należy. Mechanizm ten nie jest jednak zjawiskiem odosobnionym, analogicznie bowiem utworzono m.in. nazwy afer zakończonych na *-gate* na wzór *Watergate* (*Rywingate*, *Irangate*), a także nazwy osób od czegoś uzależnionych na wzór rzeczownika *alkoholik*, od którego odcięto fragment *-holik* i przyłączono do elementów rzeczownikowych (np. *seksuholik*, *zakupoholik*).

Nazwa *internisaż* może się przyjąć w polszczyźnie, jeśli działalność promocyjna instytucji kulturalnych będzie się rozwijać zgodnie z prawami rynku, czyli gdy będą organizowane spotkania tak nazywane. W języku utrwalone zostają formy niekoniecznie tylko wzorcowe, lecz także i takie, które zaspokajają potrzeby nazweczne i w sposób czytelny nazywają nowe zjawiska.



# Bo udało się w... Porto Alegre

KRZYSZTOF  
KOSIŃSKI

Chyba żadne pojęcie nie zrobiło w ostatnich latach takiej kariery w kręgach samorządowych, jak „budżet obywatelski”. I jak mało które natychmiast obrosło populizmem, demagogią i tanimi hasłami.

Jeśli wpisujemy hasło „budżet obywatelski” w jakąkolwiek internetową wyszukiwarę, zaraz dowiemy się, że cała idea zrodziła się w brazylijskim mieście Porto Alegre w 1989 r. O tym piszą wszyscy. W większości publikacji bezkrytycznie też powtarza się stwierdzenie, że „*pomysł dobrze się sprawdzał i budżet obywatelski (nazywany także budżetem partycypacyjnym) zaczęto wprowadzać także w innych miastach w Brazylii i na świecie*”. Taki pogląd to dziś prawie obowiązujący dogmat.

Tylko w bardzo szczegółowych opracowaniach możemy przeczytać, że w Porto Alegre silny ruch stowarzyszeń obywatelskich powstał w opozycji do rządów dyktatury wojskowej. W 1984 r. odbyły się pierwsze wolne wybory samorządowe. Burmistrzem został kandydat populistycznej Demokratycznej Partii Pracy, który obiecywał spełnienie postulatów właśnie tych tzw. organizacji sąsiedzkich. Lata osiemdziesiąte były jedną z najgorszych dekad w dziejach miasta. Liczba mieszkańców żyjących w warunkach poniżej wszelkich standardów wzrosła z 15% do 28%. W 1989 r. Demokratyczna Partia Pracy zamieszana w afery korupcyjne i malwersacje finansowe przegrała wybory, a jej miejsce zajęła Partia Pracowników, założona przez przywódców związkowych. Współtworzyły ją również kluby lewicy chrześcijańskiej, socjaldemokraci, marksiści, w tym szczególnie silni w Porto Alegre trockiści. Kontrowersyjny to roadów...

W administracji Porto Alegre panował wtedy kompletny chaos: pracownicy komunalni nie otrzymywali pensji od ponad dwóch miesięcy, 98% budżetu miejskiego pochłaniały wynagrodzenia pracowników samorządowych (!), wstrzymano realizację wszystkich inwestycji. Na dodatek w kraju hiperinflacja sięgnęła 1.774%. To kolejna specyficzna rekomendacja...

Dodajmy jeszcze do tego, że w Polsce „biblią” ideologów budżetu obywatelskiego jest książka pt. „Bez państwa” Rafała Górskiego – niewątpliwie erudyty, ale przede wszystkim jednej z najważniejszych postaci współczesnego ruchu... anarchistycznego w Polsce. Jego praca jest o tyle cenna, że – będąc sam ideologiem anarchizmu – autor przynajmniej nie ukrywa tych korzeni... Dla niego są one powodem do dumy i przekonania o tym, jak wspaniałym wynalazkiem jest budżet obywatelski...

Ale może nie warto czepiać się rodowodów i korzeni? W końcu nie one są najważniejsze. W każdym środowisku może przeciw narodzić się świetny pomysł... Wybrana nawet w najbardziej demokratyczny sposób władza nie wie przeciw wszystkiemu, nie zna każdego szczegółu, może nie zauważyć jakiegoś drobiazgu i w efekcie przeoczyć jakąś lokalną potrzebę lub cenną inicjatywę. I tu właśnie kłania się idea budżetu obywatelskiego. Z pozoru rzecz się wydaje bardzo prosta. Z budżetu gminy (miasta) wydzielamy jakąś część (z reguły niezbyt wielką) i ogłaszamy mieszkańcom: sami zdecydуйте, jak tę kasę podzielić. Macie jakiś ciekawy pomysł? Nie piszcie petycji, nie wydeputujcie ścieżek za radnymi, tylko zadbajcie o to, żeby odpowiednia liczba waszych sąsiadów uznała, że pomysł jest naprawdę najlepszy. Potem zagłosujecie. Wygracie? To będziecie mieli...

Nie do przecenienia jest właśnie nadzieja na znaczną aktywizację mieszkańców. To wartość, którą docenia każdy światły samorządowiec. Ci, którzy uważają, że łatwiej rządzi się biernym społeczeństwem, nigdy nie powinni rządzić żadną, nawet najmniejszą zbiorowością.

## Ale to nie jest takie proste...

Atym bardziej tanie. Przyjrzyjmy się podstawie prawnej wprowadzenia budżetu obywatelskiego w gminie. Nie ma specjalnych regulacji ustawowych, więc wszystko opiera się na znanej samorządcom konstrukcji konsultacji społecznych „wzmocnionej” o... dżentelmeńską umowę. Burmistrz (prezydent, wójt) oświadcza, że w projekcie budżetu zare-

zeruje odpowiednią kwotę. Inaczej mówiąc – zobowiązuje się, że to, co wybiorą mieszkańcy w tych – de facto – konsultacjach, przyjmie do realizacji. Radni z kolei zobowiązują się, że taki właśnie budżet uchwalą.

Do tego momentu wszystko to kosztuje niewiele więcej, niż zwykłe konsultacje. Co najwyżej dochodzi proces zbierania propozycji, ich szczegółowej wyceny, sprawdzenia, czy propozycja jest realna finansowo i prawnie. Da się przeżyć...

Ale ideolodzy wprowadzenia budżetu obywatelskiego, autorzy sporej liczby różnorodnych poradników i „podręczników” jego wprowadzania mają o wiele dalej idące oczekiwania wobec lokalnej władzy. Żądają szerokiej akcji promocyjnej, informacyjnej, propagandowej (łącznie z rozsyłaniem poczty do każdego mieszkańca), organizacji spotkań mieszkańców, często stworzenia specjalnej komórki w urzędzie (czytaj: oddelegowania jakiejś liczby urzędników do obsługi całego procesu), zorganizowania samego głosowania (praktycznie równorzędnego z organizacją wyborów lub referendum). A to wszystko już kosztuje. Między bajki można włożyć zapowiedzi, że głosowanie w lokalach wyborczych, dla zmniejszenia kosztów można oprzeć na wolontariuszach. Już widzę tę armię chętnych... A kto potem odpowie na ewentualne protesty i zarzuty sfalszowania wyników (choćby były one zupełnie bezpodstawne i niesprawiedliwe)? Przykłady z ostatnich wyborów samorządowych tylko potwierdzają zasadność moich obaw. Niestety, nigdzie nie udało mi się znaleźć rzetelnego opracowania, ile tak naprawdę kosztuje (lub kosztowałaby) cała „obsługa” stworzenia budżetu obywatelskiego wedle takich wymagań. Ile do wyznaczonych np. 3 mln zł trzeba jeszcze doliczyć (czytaj: skądś zabrać)?

## Jak to działa w praktyce?

Na szczęście w większości polskich miast i gmin – tak na oko – wszystko odbywa się w granicach pewnego zdrowego rozsądku. Stwarza się pewien mechanizm składania propozycji, udziela niezbędnych informacji i resztę zostawia się miejscowym aktywistom. To oni mają przekonać swoich sąsiadów, że warto... Nie czas i miejsce na omawianie tutaj szczegółów organizacyjnych typu: czy głosować mogą tylko zameldowani, czy może też młodzi ludzie już od 16. roku życia, czy organizowane są specjalne „wybory powszechne”, czy też trzeba się pofatygować do urzędu... Jak dzielona jest pula pieniędzy np. na poszczególne dzielnice? Czy głosuje się na jeden wybrany projekt, czy stawia się punkty kilku propozycjom? To naprawdę kwestie drugorzędne. Najważniejsza jest odpowiedź na pytanie: co w praktyce z tego wynika?

Oto np. losowo przeze mnie wybrane (przegłosowane) propozycje z jednego ze śląskich miast (przeгляд innych pokazuje jasno, że propozycje obracają się wokół dość podobnych tematów):

– termomodernizacja budynku LKS – ok. 250 tys. złotych;

- budowa siłowni na świeżym powietrzu – 50 tys. złotych;
- plac zabaw – 30 tys. złotych;
- rewitalizacja stawu w parku miejskim – ok. 170 tys. złotych;
- remont ulicy (od jakiegoś skrzyżowania do jakiegoś łuku w prawo) – 150 tys. złotych.

Można się uśmiechnąć i zapytać, czy akurat tylko ten jeden plac zabaw przydałby się w mieście? Czy tylko ta jedna ulica i to na tym jednym odcinku od skrzyżowania do łuku wymaga remontu? Na pewno nie, ale z drugiej strony właśnie tam mieszkańcy potrafiliby się skrzyknąć (a może ujawnił się zdolny do porwania ludzi miejscowy lider), co zaowocowało tym, że ludziom chciało się zgłaszać. To jest poważny argument za tym, że warto...

### Populizm rośnie w siłę

**S**kąd zatem mój (chyba wyczuwalny dla Czytelników) nie końca entuzjastyczny ton tego artykułu? Bo niestety coś, co mogło być fajną ideą, zaczyna być elementem nie do końca szlachetnej polityki. Obserwuję zjawisko kolejnej wymuszonej poprawności politycznej, która nie pozwala być „przeciw”. To taki swoisty terror. Nie mogę być przeciw, bo natychmiast okrzykną mnie wrogiem prawdziwej demokracji, zazdrośnie strzegącym swojej władzy, uważającym obywateli za niezdolnych do podejmowania rozsądnych decyzji itd. Znam wielu samorządowców, którzy mieli sceptyczne zdanie na temat budżetu obywatelskiego. Wskazywali na fakt, że współczesna demokracja opiera się na systemie przedstawicielskim i nie po to ludzie idą do wyborów, żeby potem decydować za tych, których wybrali. Nie można zaprzeczyć, że jest to jakiś logiczny argument, z którym powinno się dyskutować i spierać. Ale teraz już praktycznie żaden z nich głośno tego nie mówi. To niepokojący objaw. Skrajnym przykładem jest prezydent Nowej Soli Wadim Tyszkiewicz, zdecydowany przeciwnik budżetu obywatelskiego, który jeszcze nie tak dawno potrafił otwarcie powiedzieć: „*To populizm, zaprzeczenie funkcjonującej demokracji, gdzie w wolnych demokratycznych wyborach wójt, burmistrz, prezydent jest wybierany, by zrealizować program wyborczy zgodnie z wieloletnim planem inwestycyjnym i wieloletnim planem finansowym. Bo tu nagle może się okazać, że zorganizowana mniejszość wysła więcej sms-ów i przełamuje coś, co w planach nie jest ujęte*”. Nawet on w ostatnich wypowiedziach już zmienił ton mówiąc, że wprowadziłyby budżet obywatelski w każdej chwili, ale po prostu „nie ma kasy”...

Co jeszcze razi mnie w polskiej praktyce wprowadzania budżetów obywatelskich? Wkraczająca w nie polityka. Jeśli jakaś zorganizowana siła społeczna jeszcze nie zdążyła wystąpić z tym postulatem, natychmiast odezwie się lokalna opozycja (polityczna). Przecież to świetna okazja, by zarzucić władzy, że tłumi obywatelską aktywność. Część prezydentów (burmistrzów, wójtów) uznała wręcz, że w takiej sytuacji najlepszą obroną jest atak i wbrew swoim przeko-

naniom z wielkim entuzjazmem rzuciła się do tworzenia budżetu obywatelskiego. Z kolei tam, gdzie budżet obywatelski już jest, pojawia się zjawisko swoistej rywalizacji, kto jest lepszy (czytaj: hojniejszy). Takim przykładem jest Ruda Śląska, miasto w nienajlepszej wciąż kondycji finansowej, gdzie na inwestycje w ramach budżetu obywatelskiego w 2015 r. wydzielono z budżetu miasta 2.375.000 zł. Prezydencki projekt zakładał 2 mln zł. Kwota ta została jednak zwiększona na wniosek radnych.

Do tego wszystkiego dołączyły natychmiast niektóre mniejsze partie polityczne, które chcą upiec swoją pieczęć i zapowiedziały dążenie do stworzenia ustawowego obowiązku tworzenia takich budżetów.

Budżet obywatelski ma w tej chwili, jak się szacuje, prawie 100 miast w Polsce. Dużo, mało? Zależy, z czym porównać. Wg różnych źródeł pomysł brazylijskiego Porto Alegre najpierw rozprzestrzenił się na Amerykę Południową (w roku 2010 taki budżet miało podobno ponad 500 miast na tym wielkim kontynencie). Budżet wraz z udziałem mieszkańców realizuje też 200 miast w Europie. Jedne źródła podają, że na całym świecie budżet obywatelski ma 750 miast, inne mówią, że nawet 1.500. Hmm... spory rozrzut, jeśli chodzi o wiarygodność danych... Ale nawet jeśli przyjmiemy tę wyższą liczbę, to 100 miast w niedużym kraju europejskim, jakim jest Polska, daje nam chyba miejsce w ściślejszej światowej czołówce? Dla wielu może to być powód do dumy, u mnie rodzi podejrzenia o tzw. owczy pęd...

### Dać kurze grzędę...

**G**dzieś na horyzoncie jawią się kolejne – moim zdaniem – zagrożenia. Oto w mediach pojawiają się doniesienia o wielkości budżetów obywatelskich, typu: „*Institut Badań Obywatelskich w ogólnopolskim raporcie na temat budżetów partycypacyjnych bardzo wysoko ocenił projekt realizowany w Dąbrowie Górniczej. Tam do dyspozycji mieszkańców oddano 8 milionów złotych*”. Albo pojawia się informacja (dotycząca 2013 r.), że w wielkości środków przeznaczonych na budżet obywatelski przoduje Łódź z 30 mln zł. Na drugim miejscu znalazła się Warszawa z 26,2 mln zł, a na trzecim – Wrocław z 20 mln zł. Jednak o „rzeczywistym prospołecznym nastawieniu samorządów” mają świadczyć nie kwoty, ale udział procentowy budżetu obywatelskiego w całkowitym budżecie samorządu oraz w jego wydatkach na inwestycje. I nagle pojawiają się małopolskie Kęty, gdzie w ręce mieszkańców oddano 3,4 mln zł, a to stanowi 3,4 proc. całkowitego budżetu miasta oraz ponad 17,6 proc. wydatków majątkowych. Świdnica i Krasińnik – odpowiednio prawie 2 proc. całego budżetu (ok. 12,4 proc. wydatków inwestycyjnych) i 1,86 proc. (8,1 proc. wydatków inwestycyjnych). W takim zestawieniu budżet obywatelski Łodzi stanowi tylko 1 proc. całkowitego budżetu miasta. „*Mizernie prezentuje się Warszawa, gdzie środki przeznaczone na budżet obywatel-*

*ski stanowią zaledwie 0,18 proc. wszystkich miejskich wydatków*” – podaje PAP. Jak skrzętnie policzono, aby zrównać się z Kętami w procentach, Łódź powinna pozwoić mieszkańcom decydować o wydatku 100 mln zł, Wrocław – 133 mln zł, a Warszawa – prawie pół miliarda! Gdzie jest jakaś rozsądna granica? Obawiam się, że jej nie ma. Bo oto czytamy gdzieś, że „*autorzy Obywatelskiej Strategii Konina 2013-2020 chcą, by do 2018 roku wszystkie wydatki inwestycyjne zależały od decyzji obywateli*”. Naprawdę wszystkie? Nie chcę sam uprawiać demagogii, ale jestem przekonany, że sporo absolutnie niezbędnych dla gminy inwestycji nie zostanie zgłoszonych jako projekty obywatelskie.

Przed samorządami staje więc spore wyzwanie, jak z jednej strony nie przeciwstawiać się sympatycznej idei, a z drugiej – nie dać się populizmowi. Mieszkańcy sami z siebie nie opracują np. całościowego systemu układu drogowego w mieście, ani nie stworzą programu wielkiej, często kilkuletniej modernizacji gospodarki wodno-ściekowej. Ze już o występowaniu o dotacje unijne nie wspomnę...

Nie dajmy sobie „wcisnąć” jako oczywistych takich np. stwierdzeń, jak to, że budżety obywatelskie polskich miast „*w opinii specjalistów mają liczne mankamenty i tylko ko dziesiątą z nich spełnia wszystkie kryteria konieczne do tego, by to przedsięwzięcie nazwać obywatelskim*”. W opinii jakich specjalistów? Samorządowcy i ich służby są na pewno też specjalistami. I to wcale nie gorszymi...

Żeby nie było, że jestem „za, a nawet przeciw”, tytułem pointy przytoczę ustęp z definicji i opisu budżetu obywatelskiego w internetowej Wikipedii. Jak wiadomo, tworzą ją sami internauci, ale odbywa się to pod ścisłym nadzorem administratorów. I oto czytamy:

*.../Badania, a także praktyka miast korzystających z tej formy demokracji uczestniczącej wskazują, że skutkuje on wyższą jakością życia, zwiększonym zadowoleniem z usług publicznych, większą przejrzystością i wiarygodnością władz publicznych, większym udziałem w życiu publicznym (szczególnie osób wykluczonych), a także edukacją obywatelską.*

I natychmiast po tym stwierdzeniu pojawiła się uwaga: **(potrzebne źródło)**. Do tej pory nikt tego źródła nie wskazał...

*Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.*

**Krzysztof Kosiński** – dziennikarz radiowy, publicysta, komentator i felietonista. Od lat specjalizuje się w tematyce samorządowej. Autor książki „*Dwa światy – samorządowy thriller z elementami horroru*” wydanej nakładem ŚZGiP w 2011 roku.



**Lasy. Największe bogactwo życia na Ziemi. Dawniej trwały. Dziś są rąbane, niszczone i ratowane. Ich malejące zasoby zmagają się w nierównej walce z ekonomią świata. Z rozwojem i zyskiem. Także z katastrofami. Dlatego każdy patrzy na lasy inaczej.**

Dla zamieszkujących głębie Puszczy Amazońskiej lasy są całym ich światem. W Islandii są tylko karłowatym gąkikiem brzoźowym, bo innego nie ma. W Europie, szczególnie tej zachodniej, prawie je wyrąbano. Nie budzą wielkich emocji rosące w ich miejscu plantacje jednogatunkowych i szybko rosnących drzew. Tylko rozsądek nakazuje, by było ich coraz więcej. Ten to czyste powietrze. Niezbędny do życia.

W Polsce lasy przetrwały w bardziej naturalnej postaci. Są dobrem narodowym, zarządzanym przez Państwowe Gospodarstwo Leśne „Las Państwowe”. Ale nie rosną same, „pod kłosem”. Degradowane, ale i przebudowywane żyją dzięki leśnikom...



Dostrzegalnia przeciwpożarowa w Murckach

## Kadry z życia leśnika

Polscy leśnicy to szczególna zawodowa grupa ludzi. Niezależnie od pełnionych przez nich funkcji. Poczynając od tych podstawowych po naukowe. Zawsze pracują razem dla dobra wspólnego. I w momentach najtrudniejszych dla lasu i podczas jego pielęgnowania. Dla wielu z nich leśnictwo było powołaniem, wzmocnionym tradycją rodzinną. Dlatego las traktują jak swój drugi dom. Spędzają w nim więcej czasu niż w tym pierwszym. Niezależnie od tego czy są to szumiące knieje, lasy górskie, czy – jak te na Śląsku – lasy skażone, wymagające szczególnej troski i wiedzy.

Uświadamiają nam to życiorysy wielu pokoleń polskich leśników. Ich godnym reprezentantem jest mgr inż. Bogdan Gieburowski, zastępca dyrektora ds. gospodarki leśnej w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach.

### Julianka

Wszystko zaczęło się w nadleśnictwie Julianka k. Złotego Potoku, gdzie pracował jego ojciec. Było to wyjątkowe miejsce. Trzydzieści kilometrów od Częstochowy tylko cisza i prawdziwy, czysty las. Mieliliśmy małe gospodarstwo na własne potrzeby, ule i niewielką uprawę ziół, które trafiały do „Herbapolu”. Pomagaliśmy

z siostrą Bożenką przy ich zbieraniu i suszeniu. Tak „zarabialiśmy” na własne potrzeby. Może trochę gorzej było zimą, gdy trzeba było wstawać o piątej rano, by dojechać do szkoły w Częstochowie. Ale już wiosną, nie raz udało mi się namówić siostrę, by spóźnić się na pociąg i pobłądzić po naszym baśniowym leśnym świecie. Gdy trochę dorosłem, towarzyszyłem ojcu w wyjazdach gospodarskich do lasu.

Potem było liceum w Częstochowie, w połowie nauki L.O. im. A. Mickiewicza w Katowicach. Rodzice przenieśli się tu ze względu na naszą edukację. (Ojciec trafił do Nadleśnictwa Murcki, później do wydziału hodowli lasu w OZLP w Katowicach). Muszę przyznać, po Juliance, „dusiłem się” w przemysłowych Katowicach. Przeżyłem miejski szok. Zaczęłem oszczędzać na motorower, by móc powracać do lasu. Zdecydowałem, że będę studiować leśnictwo, wspomina dyrektor B. Gieburowski.

Świadomy wybór zawodu nie zawiódł. Studia na wydziale leśnym wówczas Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie (obecnie Uniwersytet Rolniczy) tylko ugruntowały leśny zapał absolwenta tej renomowanej uczelni. Zwłaszcza że jej studenci zawodu uczyli się nie tylko w jej murach. Przede wszystkim w uczelnianych zakładach doświadczalnych, posadowionych głęboko w lasach. Ale nawet wów-

czas trudno było wyobrazić sobie, jak wielkim wyzwaniem będzie praca leśnika w górnośląskiej aglomeracji.

### W Murckach

Staż rozpoczyna w lasach Smurckowskich jesienią 1970 roku. Dokładnie w czasie, gdy kończyła się w tym miejscu działalność górnictwa odkrywkowego, obecnego tu od XVII wieku. Widać ogromne zniszczenia. Żyje rany w ziemi po wybrany płytkim węglu. Widoków tak zdegradowanego lasu się nie zapomina. Zwłaszcza że po latach będzie go rekultywował jako nadleśniczy w Nadleśnictwie Katowice (wchłonęło ono wcześniejsze nadleśnictwa: Murcki, Panewniki i Imielin). Było to duże wyzwanie, ale i nagroda. Później także satysfakcja, gdy starszy syn Wojtek, pisał na studiach leśnych pracę magisterską z rekultywacji tego „odkrywkowego” lasu.

Dziś słynie on głównie z rezerwatu „Las Murckowski”. Z jego wiekowych dębów – świadectwa Puszczy Śląskiej, ponad dwustuletnich buczyn i chronionego w nim wielkiego bogactwa roślin i zwierząt. Także z dostrzegalni, czyli wieży widokowej, wpisanej w nowoczesny system przeciwpożarowy Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach.

O lesie, nie da się nie myśleć nawet wtedy, gdy człowiekowi się wydaje, że zajmie się czymś innym, równie pożytecznym, mówi dyr. B. Gieburowski. Po stażu w Murckach i pracy w dawnym Nadleśnictwie Kobiór, zostaje naczelnikiem gminy Wesoła. Zdobywa doświadczenie we współpracy z miejscową kopalnią. Temat na co dzień to także szkody górnicze. Szczególnie, gdy do gminy trzeba doprowadzić wodę, budować drogi, domy. Temat bliski problemom lasów aglomeracji górnośląskiej, pod którą wydobywa się węgiel na zawal. Zaczyna „ciągnąć wilka do lasu”. Powrót do niego staje się oczywisty. Trafia do Nadleśnictwa Katowice.

### Zielony pierścień

Tam trwa przebudowa drzewostanów, rozpoczęta na przełomie lat 50/60 przez śląskich leśników. Pionierskimi metodami. Bez urzędowej, warszawskiej zgody, ale za aprobatą ówczesnego wojewody Jerzego Ziętka. By ją jakoś zalegalizować wypracowano na Śląsku ideę Leśnego Pasa Ochronnego GOP. W praktyce warunki



do przebudowy drzewostanów czyli zastępowania drzew iglastych bardziej odpornymi liściastymi. I do wybudowania w lasach aglomeracji ośrodków podmiejskiego wypoczynku dla ludzi pracy. Środki na ten cel pochodziły głównie z zakładów pracy.

Leśnicy dobrze wykorzystali ten czas. Lasy zyskały prawną ochronę. Leśnicy wkroczyli z przebudową wszędzie tam, gdzie uznali to za konieczne. W większym, niż planowano rozmiarze.

Bo trudno było patrzeć bez emocji gdy padały ostatnie jodły, usychały masowo świerki, a las balansował na krawędzi totalnej katastrofy, wspomina dyr.

Gieburowski. Nie ważne było to, że po każdym wejściu do lasu, gdzie runem leśnym był głównie trzcinnik i inne trawiska, człowiek wychodził brudny i lepki od pyłu. Czarne spodnie, czarne łydki pod nimi.

Rekultywaliśmy las na potęgę. Z wielką nadzieją. Sadziliśmy dużo dębów, buków, olch i brzozy, która pierwsza reaguje na zagrożenia środowiska. Choć nie ustrzeżliśmy się błędów, wprowadzając do lasu m.in. odporny, lecz obcy naszej przyrodzie dąb czerwony. Zrobiliśmy to, co było wówczas możliwe. Zyskaliśmy czas dla lasu, który podnosił się po zapaści, zazieleniał od nowa. Także czas dla siebie, by szukać nowych rozwiązań, przyspieszać z pomocą nauki postęp w gospodarce leśnej. W sumie z klęski uczynić jakiś pożytek. Gdybyśmy nie podjęli się tej przebudowy, mielibyśmy dziś las cherlawy, słaby. Mamy na to dowody. W niektórych miejscach celowo pozostawiliśmy enklawy starego, zniszczonego lasu bez naszej ingerencji. Po to, by obserwować, co się z nim stanie?

Można go sobie dziś obejrzyć w Katowicach. Rosną w nim dalej karłowate, poskręcane kilkudziesięcioletnie sosny. I porównać, jak zmienił się las przebudowany. Pojaśniał, odmłodził się. Stał się bardziej lasem mozaikowym, bo więcej jest w nim drzew liściastych, różnowiekowych. Sosny, które szybko rosły i dawały szybki zysk są w odwrocie. Dotąd przebudowaliśmy lasy, podległe RDLP w Katowicach na ponad 200 tys. hektarów. I przebudowujemy dalej. To zadanie na lata. Zwłaszcza że potrafimy to robić korzystniej dla przyrody i kondycji lasu.

Dzisiejszy las musi trwać, by pełnić swoje funkcje ekonomiczne, ochronne, przyrodnicze, edukacyjne, społeczne i wiele innych. Zagrożeń mu nie



Mgr inż. Bogdan Gieburowski w lesie po śniegolomach

ubywa. Wręcz przeciwnie. Jest ich coraz więcej.

Dlatego trzeba je wpisać na stałe w trwań lasu cywilizacyjnego. Rzecz w tym, by być na nie przygotowanym i umieć „być mądrym po szkodziu”.

### „Pożyteczne” klęski

Tak stało się po najtragiczniejszym pożarze, jaki wydarzył się w Rudach Raciborskich w 1992 roku. Spłonęło ponad dziewięć tysięcy hektarów lasu. Udało się go ugasić po prawie miesiącu morderczej walki z żywiołem. Wydawało się wówczas, że na skażonej i wypalonej, wyjałowionej do cna ziemi bez drzew, nie da się lasu odtworzyć. Zwłaszcza że pierwsze nasadzenia ginęły. Naukowcy – leśnicy pomogli lasowi powrócić. Zieleni się dziś po horyzont.

Pożar zmobilizował nie tylko naukę leśną. Stworzono nowoczesny technicznie i logistycznie system ochrony przeciwpożarowej. Z wieżami obserwacyjnymi, systemem błyskawicznej łączności, samolotami, łądowniskami, basenami wodnymi pośród lasu. Powstały najnowocześniejsze obiekty szkółkarskie, bezpieczne technologicznie przechowalnie nasion, banki

genetycznych zasobów najdrodziej polskich drzewostanów. Materiału siewnego i szkółkarskiego polskim lasom nie zabraknie.

Regionalna Dyrekcja Lasów Państwowych zadbała też o wysokiej klasy specjalistyczne pojazdy, przystosowane do mechanicznej ścinki powalonych drzew po klęskach. Szybko usuwają te po huraganach, wichurach śnieżnych, zjawiskach szadzi i okiści. Udrażniają drogi i dojeżdża do linii energetycznych niemal błyskawicznie.

W opinii dyr. Gieburowskiego, najważniejszym osiągnięciem po klęskach lasów jest zdolność przedsiębiorstwa La-

sy Państwowego do odtwarzania potencjału biologicznego drzewostanów i zachowania ich zasobów genowych. Gdyby LP jej nie posiadały, trudno sobie wyobrazić lasy beskidzkie bez świerków istebniańskich i innych dorodnych drzew, które nie wytrzymały najpierw naporu zanieczyszczeń, potem ataku kornika.

Na szczęście wcześniej zebrano nasiona od najokazalszych jodeł, buków i dębów, które owocują co kilka lat. Zgromadzono ich zapasy, które czekają na swój czas w Karpackim Banku Genów. Leśnicy posadzą je w miejscach, gdzie rosły ich leśni rodzice. Trafiają one na uprawy pochodne, by wykiełkować i podrosnąć. Dla przyszłych pokoleń.

Gdyby zagrożony las pozostawić jego naturalnej sukcesji, musielibyśmy czekać aż urosnie za dziesiątki, a może nawet setki lat. Dlatego staramy się jego wzrost przyspieszać, ale nic na siłę, mówi dyr. Bogdan Gieburowski. Zasady hodowlane lasu są ściśle określone, coraz bliższe naturze. Nawet jeśli wykonujemy zręby zupełne drzew na cele gospodarcze, robiąc miejsce ich następcom, pozostawiamy co najmniej pięć procent zrębowej powierzchni w stanie nie naruszonym. Po to, by stare drzewo w sposób naturalny obumarło, rozłożyło się

i stało żerowiskiem dla ptaków, gadów czy schronem dla leśnych zwierząt. Tak dzieje się i w lasach nizinnych i w Beskidach. Zgodnie z zasadą wielofunkcyjnej, coraz bardziej równoważonej gospodarki leśnej.

Gdy pytam Dyrektora czy wyobraża sobie życie bez lasu, gdy przyjdzie pora na zasłużony wypoczynek, z uśmiechem odpowiada tekstem ze swojej sportowej koszulki: „Praca albo zdrowie. Wybór należy do ciebie”.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Przed rekultywacją lasu debata w terenie



Dofinansowano ze środków  
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska  
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

# EKOLOGIA

Od chwili wystawienia sztuki Hanocha Levina w Teatrze IMKA w Warszawie w 2010 roku, sztukę poznali już widzowie Krakowa i Rzeszowa. W grudniu 2014 roku, tuż przed świętami, przyszedł czas na Częstochowę. Troje aktorów – Michał Kula (*Szmuel Sprol*), Antoni Rot (*Johanen Cingerbaj*), ale przede wszystkim Agata Ochota-Hutyra (*Bela Berlo*) pod kierunkiem reżysera Andrzeja Bartnikowskiego postanowili przypomnieć diagnozę współczesności izraelskiego dramaturga. Sztukę zapowiadano jako smutną komedię podobną choćby do utworów Samuela Becketta.

I rzeczywiście, na Scenie Kameralnej im. Iwo Galla było wesoło, smutno i straszno. Najpierw pojawia się śmiech. Każda z postaci realizuje bowiem model komediowego nieudacznika, który marzy o szczęściu, jednak nie znajduje odpowiedniej recepty, by je osiągnąć, a może raczej nie potrafi zrealizować obowiązującego w społeczeństwie modelu normalności czy jednego z poradnikowych scenariuszy. Widz śmieje się więc z nieśmiałości i seksualnej nieporadności *Cingerbaja*, a jego śmiech wkrótce zmienia się w nerwowy chichot przy każdym kolejnym powtórzeniu słowa prezerwatywa lub jego synonimu (jak w zabawie „pomidor” z dziecięcych lat). Śmieje się także z groteskowych rozwiązań teatralnych, gdy np. trup *Sprola* rozmawia na cementarzu z nowymi sąsiadami (jak w dialogach zmarłych), a następnie w ciemnej sali pojawia się podświetlony latarką (jak na koloniach), by opowiedzieć o nieoznaczonym terminie sądu ostatecznego i złożyć wyznanie niewiary w nieskończoność. Śmieje się wreszcie, ponieważ przyszedł na komedię.

Ale gdy w świecie przedstawionym nie się nie zmienia, a komediowe sytuacje buksują, nie posuwając akcji ani o centymetr, pojawia się smutek wzmocniony jeszcze faktem, że opowieść dość niepostrzeżenie objęła swoim zasięgiem również widownię. Uświadomienie sobie tego faktu może przerazić, ale przychodzi nieubłagane, bo jak długo można się śmiać z prezerwatyw. Tym sposobem sztuka z komedii, a nawet farsy, przekształca się jeśli nie w tragedię, to na pewno w dramat.

Farsę zapowiada już układ postaci – dwóch mężczyzn i kobieta to przecież typowy trójkać o zabarwieniu erotycznym. Schemat wydarzeń odwołuje się jednak do wzorca komediowego, gdy ślub miał wyznaczać finał i oczekiwany *happy end*. Każda postać ma swoją *idée fixe*: aptekarka chce wzmocnić pozycję rynkową przejętej właśnie firmy, urzędnik odkłada pieniądze na jakiś bliżej nieokreślony cel, wreszcie *Sprol* daremnie próbuje spieniężyć odziedziczony po ojcu majątek, 10 tysięcy prezerwatyw australijskich, a jego sytuacja wraz z upływem czasu staje się coraz bardziej ab-



Agata Ochota-Hutyra (*Bela Berlo*)

Fot. Piotr Dlubak/mat. teatru

## Gumki BB

TEATR

surdalna. Postać grana przez Michała Kulę jest chyba najbardziej podejrzana. To trochę niebieski ptak, trochę kusiciel, który przed pozostałymi roztacza wizję szczęścia, jednocześnie uniemożliwiając ich wspólne życie. Ma również niezwykły dar narracyjny (to urodzony uwodziciel, dziwi więc, że nie sprawdza się jako akwizytor) – potrafi wciągnąć każdą z postaci w swoją opowieść; aptekarzędwie obiecuje szczęście, a przed *Cingerbajem* roztacza wizję Teksasu, czyli seksualnego raj.

Częstochowski spektakl rozgrywa się trochę obok tekstu Levina i wypowiedzianych na scenie słów. Zresztą w polszczyźnie językowy obraz seksualności oscyluje między wulgarnością a infantylnością, co było pewnie tym większym wyzwaniem dla tłumacza (Agnieszka Olek). Inscenizacja nie dąży do realistycznej odpowiedniości między słowem a gestem, ani tym bardziej do jego uzupełnienia. Teatralny język wybrany do opowieści o relacjach damsko-męskich jest niemal ascetyczny. Scenografia (Wanda Kowalska) ogranicza się do wiszącej w tle ścianki z kwadratowym otworem, który służy jako okienko apteki, ale również wyznacza miejsce oczekiwania pięknej *Beli* na klientów i adoratorów. Tylne ścianka nieco splyca scenę, przesuwając aktorów ku widzowi i staje się tłem dla kolorowego światła, tworzącego nastrój poszczególnych sytuacji. Na przedzie sceny znajduje się jeszcze ławka oraz mikrofony. Ascezę teatralną potęguje wykorzystanie jedynie kilku rekwizytów – latarki, a przede wszystkim baloników, czyli tytułowych gumek.

Spektakl składa się z dwóch części, między którymi upływa 20 lat. Okazuje się jednak, że bohaterowie znajdują się dokładnie w tym samym miejscu (rzeczywistym, społecznym i mentalnym), choć mają nieco siwych włosów i wydają się lekko przykurzeni. Ta metamorfoza, wywołana innym ułożeniem ciała i sposobem poruszania się, to jeden z elementów popisu aktorskiej gry.

W części drugiej samotność doskwiera postaciom coraz bardziej, wyolbrzymiając

ujawnione wcześniej cechy i przekształcając ich w jeszcze większych dziwaków. I wówczas dostają od losu jeszcze jedną szansę, ponownie spotykają się i... rozstają. Tak jakby jakiś zły duch po raz kolejny z nich zakpił. Okazuje się bowiem, że nie potrafią żyć inaczej, że zbyt mocno zapętlił się w swoich natręctwach i dziwactwach. Mają kłopot nie tylko z seksem, ale przede wszystkim z nawiązaniem trwałej relacji, choć marzą o niej nieustannie i boją się, że życie przejdzie obok nich. Trudno jednak stwierdzić, czy rzeczywiście pragną miłości, czy może jedynie czują strach przed samotnością albo potrzebują stabilizacji.

Postacie funkcjonują podobnie jak muzyka w spektaklu, którą na żywo tworzy przy użyciu loopera Marcin Rumiński.

Różne odgłosy aktorów (pukania, sapania, wydawane dźwięki) są natychmiast zapętlane. To podkreśla niepowtarzalność każdej chwili, każdego przedstawienia, wyraża emocje i nastroje poszczególnych postaci. A jednocześnie ujawnia, że odgłosy nie znikają tak łatwo, ale wypełniają i przekształcają przestrzeń.

Jedną z głównych cech inscenizacji jest jej metateatralność. *Bela Berlo* jest przecież quasi-narratorką. To ona pokazuje widzowi świat ze swojej perspektywy, a w części drugiej publicznie zakłada perukę, by ujawnić upływ czasu, a poza tym analizuje swoje upodobania teatralne. Pod koniec części pierwszej *Bela* wraz z *Johanenem* idą na jakąś nieśmieszna komedię, a po dwudziestu latach aptekarka wraca do tej sytuacji, by wyjawić, że najbardziej lubi moment, gdy w zaciemnionej jeszcze sali oczekuje na podniesienie kurtyny. To wyznaczenie wpisuje ją w grono postaci poszukujących, a może nawet tęskniących, które obserwują świat z okna i marzą o innym życiu.

W przypadku *Sprzedawców gumek* ważniejsze jest jednak zaciemnienie po spektaklu, ponieważ dopiero wówczas postawione przez sztukę pytania docierają do odbiorcy. Pod banalnym chwilałami tekstem toczy się przecież rozgrywka o współczesność, o miejsce uczuć i kondycję człowieka. Nie wiadomo, czy w świecie jest jeszcze miejsce na miłość? Czy zastąpił ją zupełnie język handlowy (znany choćby z *Ożenku* Gogola)? Czy symbolem współczesności jest czek czy gumka, sprowadzająca miłość do zaspokojenia seksualnego bez zobowiązań, co tworzy/utrwała kulturę użycia? I czy w takim świecie *happy end* jest jeszcze możliwy?

JOANNA WAROŃSKA

Hanoch Levin: *Sprzedawcy gumek*, przekład: Agnieszka Olek, reżyseria: Andrzej Bartnikowski, scenografia: Wanda Kowalska, muzyka: Marcin Rumiński, akustyka: Dominik Głowacki. Premiera: Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie – Scena kameralna 20 grudnia 2014 r.

Dawno, dawno temu za dyrekcji Jana Klemensa Teatr Zagłębia słynął farsami. Zdarzało się, że wystawiana na tej scenie klasyka nie budziła uznania widzów i recenzentów, ale farsy w Sosnowcu bawiły wszystkich. Wbrew pozorom to wcale nie takie łatwe. Udana farsa to nie tylko zabawna fabuła, bez cynizmu i ordynarnych dowcipasów plus lekka ręka reżysera, ale przede wszystkim żelazna dyscyplina (nie można niczego przerysować), wdzięk i pewnego rodzaju finezja ze strony zespołu aktorskiego, inaczej mówiąc – aktorstwo na najwyższym poziomie.

Teatr Zagłębia nawiązał do tej starej tradycji i w lutym pojawiły się na sosnowieckiej scenie nie jedna, ale dwie farsy! Pierwsza Francisca Vebera zatytułowana „Najdroższy” i druga: „Boeing Boeing” Marca Camoletti firmowana przez Scenę Inicjatyw Aktorskich. Zanim zachęczę do obejrzenia obu zabawnych przedstawień zdradzę, że o ile na „Najdroższym” znakomicie bawiłem się podczas drugiej części – w pierwszej walcząc ze snem, to na „Boeingu” wraz z całą widownią śmiałem się od pierwszej sceny... Tak czy siak bardzo brakuje nam uśmiechu na co dzień – z sosnowieckiego teatru ludzie wychodzą radośni i nikt na nikogo nie ryczy na parkingu. Dobra farsa potrafi odmienić największego gburę i chwala jej za to.

„Boeing, Boeing” to komediowy megahit, który trafił do Księgi Rekordów Guinnessa z powodu ilości teatralnych realizacji na całym świecie, według jednego źródła grany w 55, według innych w 57 krajach świata. Niegdyś popularny był przekład Henryka Rostworowskiego pod tytułem „Latające narzeczone” pokazywany z wielkim powodzeniem również w Sosnowcu 30 lat temu. Reżyserował wówczas wspomniany Jan Klemens, któremu asystował i zarazem wcielił się w rolę Bernarda obecny dyrektor teatru Zbigniew Leraczyk. Przy tej okazji muszę wspomnieć dwie urocze aktorki, których przezabawnych kreacji nie zapomnę: legendę tamtych lat Ewę Nijaki i Krystynę Gawrońską.

Nowego przekładu farsy Camolettiego dokonał mistrz przenoszenia najzabawniejszych treści oryginałów w polskie realia Bartosz Wierzbęta, którego kochamy za polskie wersje językowe takich kinowych szlagierów jak *Shrek*, *Sezon na misia*, *Skok przez płot* czy *Madagaskar*. Wierzbęta nie tylko przetłumaczył, ale



„Boeing, Boeing”. Na zdjęciu Maria Bienkowska (Nadia) i Wojciech Leśniak (Paweł)

## Palce gryźć i brzuchy trzymać

TEATR

i odświeżył troszkę przykurzonego starszaka jakim jest już niewątpliwie „Boeing, Boeing” i dzięki temu brzmi dzisiaj rewelacyjnie. Po to tłumacznie sięgnął Wojciech Leśniak i to już była połowa sukcesu! Resztę zapewniła sprawna reżyseria i ulubieńcy sosnowieckiej widowni, czyli aktorzy! Na scenie rządzi wcale nie główny bohater *Maks*, dawniej *Bernard* (Piotr Zawadzki), ale gospośka *Nadia*, w tej roli Maria Bienkowska, która wspaniale puetuje sceny – palce gryźć i brzuchy trzymać, inaczej popękają ze śmiechu. Partneruje jej godnie Wojciech Leśniak (Paweł) – miny, gesty, kroki nie do podrobienia, jedyne i niepowtarzalne. Trzy stewardesy, kochanki-narzeczone głównego bohatera to trzy całkowicie odmienne charaktery: Beata Deutschman jako *Johanna* to żywiołowa kwintesencja niemieckości, Agnieszka Bienkowska (*Janet*) to symbol amerykańskiego wyzwolenia i braku uczuć wyższych, no i Ewa Kopczyńska (*Jola*) jako Polka oczywiście zadowolona, zaborcza i cwana, która w końcu zaciągnie Bernarda do ołtarza i da mu popalić, zemści się za wszystkie dziewczyny świata...



„Najdroższy”. Na zdjęciu od lewej: Grzegorz Kwas (Toulouse), Michał Bałaga (Pignon) i Małgorzata Sadowska (Christine).

wiekiej widowni z pokazywanymi niedawno na tej scenie komedii „Plotka” i „Kolacja dla głupca”. Autor preferuje nieco bardziej wyrafinowany dowcip, przez co trudniej zawojować widownię i nie reaguje ona tak żywiołowo jak na „Boeingu”. Wyreżyserował „Najdroższego” – jak na mój gust zbyt spokojnie, w pierwszej części wręcz sennie – Paweł Aigner. Tu szaleństwo zaczyna się, gdy scena należy do Zbigniewa Leraczyka (*Jonville*), Grzegorza Kwasa (*Toulouse*) i Małgorzaty Sadowskiej (*Christine*). Edyta Ostojak (*Olga*) dobra jest we wszystkim, toteż i w farsie świetnie sobie radzi, ale już główny bohater *Pignon* (Michał Bałaga) – niestety nie... Brakuje młodym aktorom tak niezbędnej odrobiny wdzięku i finezji. Mam nadzieję, że z każdym przedstawieniem będzie lepiej. Premiera zawsze młodych stre-suje...

Celowo nie przybliżałem treści obu fars, bo to nie ma najmniejszego sensu, najważniejsze wszak są sytuacje, dialogi i oczywiście drzwi z pojawiającymi się i znikającymi w nich aktorami.

WITOLD KOCIŃSKI

Teatr Zagłębia w Sosnowcu: Francis Veber – *Najdroższy*, przekład: Barbara Grzegorzewska, reżyseria: Paweł Aigner, scenografia: Magdalena Gajewska, muzyka: Piotr Klimek. Premiera: 13 lutego. 2015 r.

Marc Camoletti – *Boeing, Boeing* w tłumaczeniu Bartosza Wierzbęty, reżyseria i scenografia: Wojciech Leśniak. Spektakl zrealizowany w ramach projektu Scena Inicjatyw Aktorskich. Pierwszy pokaz: 3 stycznia 2015 r.

## Na pożegnanie Bożego Narodzenia

Tuż przed Gromniczną można było posłuchać kolęd w wykonaniu zespołów prowadzonych przez pedagogów Wydziału Artystycznego US w Cieszynie. Koncert pod nazwą Akademickie Kolędowe Ostatki zorganizowano (zresztą już po raz czwarty) w kościele Opatrzności Bożej. Wystąpił Chór Żeński „Melodia” z Nawsi w Czechach, prowadzony przez Aleksandrę Zeman, Zespół Artystyczny Miasta Ustroń „Czantoria” pod dyrekcją Danuty Zoń-Ciuk oraz uczelniany zespół „Con Grazia”. Na organach grała Bogumiła Faustyna Dunikowska, a całość prowadził organizator imprezy, znany śpiewak i obecny szef Katedry Wokalistyki i Dyrygowania Wydziału Artystycznego US Hubert Miśka. W kontekście czekającej uniwersyteckie wydziały artystyczne reorganizacji mającej polegać na ich „uzadowodowieniu” wychodzenie w teren z muzyką przedstawia się jako nader pozytywne dla obu stron. Przypomina początki działalności tych wydziałów, kiedy studentów przygotowywano przede wszystkim do prowadzenia przeróżnych zespołów. Najbardziej atrakcyjne było – z różnych względów – podejmowanie pracy w Czechosłowacji, nie brakowało jednak zajęcia dla absolwentów także po polskiej stronie. Odradzanie się chórów w większych i małych miejscowościach polsko-czeskiego pogranicza jest widocznym plonem obecnej pracy cieszyńskiego wydziału. A zdaje się, że jest do dopiero początek...

## W zenicie karnawału

4 lutego odbył się w ramach cyklu NOSPR Środa Młodych koncert muzyki Johanna Straussa przygotowany przez Instytucję „Silesia”. Wystąpiło troje młodych wokalistów: sopranistka koloraturowa Aleksandra Resztik z Warszawy, tenor Łukasz Załęski z Łodzi i baryton Sebastian Gabrys z Katowic. Na fortepianie grała Joanna Steczek. Artysty wykonali znane fragmenty Strausowskich operetek *Zemsta nietoperza*, *Baron cygański* i *Noc w Wenecji*, zabrzmiał ponadto słynny walc *Odgłosy wiosny*. Rola gwiazdy wieczoru powierzono sopranistce. Młoda śpiewaczka, już wielokrotnie nagradzana na konkursach wokalnych, dysponuje bardzo dobrym głosem. Jej koloratury są czyste, tryle długie (choć trochę głuche, a może to taka „gardłowa” technika?), ale ogólny styl jeszcze bardzo ostrożny. Artystka uważnie nasłuchuje siebie, dbając o perfekcję wykonania, nie całkiem dobrze czując się w roli „divy”. Na to przyjdzie jeszcze czas, zresztą nie warto się spieszyć – emploi divy postarza... Z dwojga męskich wykonawców zdecydowanie lepiej czuł się na sce-

## MIEDZY NUTAMI



nie Łukasz Załęski. Rozśpiewywał się z arii na arie, a jego postawa i gesty były ścisłym odrobieniem lubianej i dobrej operetkowej konwencji. Publiczność kocha śpiewaków i Straussa, więc sukces był zupełny.

## Młoda muzyka w NOSPR

W tegorocznej bogatej ofercie NOSPR figuruje cały cykl koncertów Orkiestry Muzyki Nowej. Specjalizacja zespołu zdefiniowana jest w jego nazwie. Na koncercie, który miał miejsce 25 stycznia (dyrygował Szymon Bywalec, jako solista wystąpił fagocista Mateusz Słomiany), usłyszeliśmy muzykę najnowszą. Odbyły się aż trzy wykonania utworów młodych kompozytorów związanych z katowicką Akademią Muzyczną: Kamil Pawłowski przedstawił swoją pracę dyplomową – *Koncert fagotowy*, Przemysław Scheller zaproponował *Czasojaśnienie* na zespół kameralny, a Stanisław Bromboszcz dał się poznać jako autor utworu *Muzykanci* na orkiestrę kameralną i elektronikę. Program uzupełnił utwór *No. 27, 1950* (tytuł pochodzi od obrazów Jacksona Pollocka, które były źródłem inspiracji) Andrzeja Kwiecińskiego, kompozytora reprezentującego środowisko warszawskie, ostatnio nagrodzonego zaszczytną I lokatą na Międzynarodowej Trybunie Kompozytorów w Helsinkach (w kategorii młodych kompozytorów). Podobne laury zapewniły niegdyś wielki prestiż Lutostawskiemu, Pendereckiemu i Góreckiemu. Dziś blask zachodnich nagród nieco osłabł; tym bardziej jednak cieszy muzyka Kwiecińskiego – ciekawa i dobrze napisana.

Trzy śląskie wykonania to oczywiście pretekst do podjęcia zagadnienia „współczesnej śląskiej szkoły kompozytorskiej”. Jaka jest – nie wiem, ani nawet czy jest; widać jednak z grubsza rzecz zaskakująca: autorzy wszystkich trzech prawykonanń odchodzą od idio-

mu preferowanego w naszym środowisku przez dwa poprzednie pokolenia, a więc od muzyki „z misją”, mającej nas uwznioślać czy wręcz umoralniać (tego nie cierpię), zbliżając się do współczesnego „zglobalizowanego” standardu muzyki poważnej, którą zazwyczaj kojarzy się z postmodernizmem, ze względu na posługiwanie się twórców elementami gry z tradycją, podejmowanie różnych zabiegów kwalifikujących się jako „transmedialność” itp. Z prezentowanych na koncercie utworów podobalo mi się mimo wszystko najbardziej „monomedialne” *Czasojaśnienie* Przemysława Schellera, błyskotliwy efekt cieszenia się urodą dźwięków, perfekcyjnie napisany i zapewniający nieustającą radość słuchania.

## Kord i Gavrylyuk w NOSPR

W klasycznym repertuarze (Beethoven: *Eroica*, Czajkowski: *I koncert fortepianowy*) zaprezentowała się 5 lutego w swojej siedzibie orkiestra NOSPR pod batutą Kazimierza Korda. Solistą w utworze Czajkowskiego był wybitny wirtuoz Alexander Gavrylyuk, nazywany „współczesnym Horowitzem”, nie tyle ze względu na indywidualizm czy wręcz kontrowersyjność interpretacji, z których znany był stary rosyjski mistrz, co z uwagi na fenomenalne zdolności wirtuozowskie. Publiczność z zajęciem śledziła grę Gavrylyuka, który zaproponował ujęcie *Koncertu b-moll* zupełnie pozbawione rosyjskiego „sosu”, perfekcyjne technicznie, ujmujące pięknem brzmienia fortepianu, szczególnie w piano. Na bis zagrał Gavrylyuk – tym razem „z uczuciem”, ale również przepięknym dźwiękiem *Nokturn Des-dur* op. 27 nr 2 Chopina.

Drugą część koncertu wypełniła *III Symfonia Es-dur* Beethovena. Poprowadził ją Kord w dość wolnych tempach (wyjąwszy, oczywiście dwie ostatnie części), a całości nadał wymiar bardzo poważny, mierząc się z heroiczną legendą utworu, o którym napisał niegdyś Witold Hulewicz jako o podwójnym portrecie – Napoleona i samego Beethovena: „dwóch ludzi niskich, przysadzistych, o szerokich barach, mocnych kościach i upornym karku, [którzy] jedną parą dłoni przeorali cały świat”. Książka Hulewicza niestety nie ostała upływowi czasu, utwór Beethovena – tak. Krytycy wiedzący, którzy byli świadkami prawykonania, mówili że wzniosłość *Eroiki* jest tak rzadkiej materii, iż sąsiaduje z dziwactwem. Po dwustu latach z okładem, jakie minęły od owej premiery, nadal żywo interesuje nas owo „dziwactwo”, a wzniosłość – na szczęście nie krępuje, jak niektóre współczesne utwory, których autorzy z góry nas zapewniają, że napisali rzeczy ważne i wielkie.

MAGDALENA DZIADEK



Henryk Mikołaj Górecki w fotografii Zbigniewa Sawicza.



Znaki i twarze  
miasta



KATOWICE  
dla odmiany

## Zanim zabrzmiała IV Symfonia...

Niewielki fragment efektów swojej ponad dwunastoletniej fotograficznej rejestracji życia koncertowego i rodzinnego Henryka Mikołaja Góreckiego zaprezentował Zbigniew Sawicz w Filharmonii Śląskiej. Wernisaż z udziałem żony Kompozytora Jadwigi Góreckiej a także wielu znakomitych gości, wśród których byli dyrektor Tansman Festival w Łodzi Andrzej Wendland i aktorka Maja Komorowska, poprzedził koncert, podczas którego filharmonicy śląscy zaprezentowali śląskie prawykonanie IV Symfonii *Tansman Episody* Henryka Mikołaja Góreckiego.

Kilkadziesiąt fotogramów pokazuje patrona Filharmonii Śląskiej w niezwykłych sytuacjach, jakie były możliwe do uchwycenia wyłącznie podczas wędrówek autora zdjęć krok w krok w miejsca, w których się znajdował Mistrz. Jego dynamiczna mimika, gesty, zasłuchanie, ogromna siła wewnętrzna, ale też rodzicielska i rodzinna czułość przemawiają z każdego ujęcia, pokazując inne oblicze tego niezwykłego Człowieka. Aż trudno uwierzyć, że nie ma go wśród nas... Wystawa była znakomitym preludium do mającego się odbyć tak oczekiwanego koncertu. (wk)



Maja Komorowska i autor wystawy.



Profesorowie Andrzej Jasiński i Mirosław J. Błaszczki.



Wśród znakomitych gości wernisażu i koncertu: prof. Eugeniusz Knapik (z prawej) i Andrzej Wendland.



Jadwiga Górecka była najważniejszym gościem tego wydarzenia. Na zdjęciu z dyrektorem Filharmonii Śląskiej prof. Mirosławem J. Błaszczkiem.



Gienadij Pitsko „Rozmowy z aniołem”

# Opolska wystawa polskich artystów z Białorusi



Artyści zrzeszeni w Towarzystwie Plastyków Polskich na Białorusi wystawili swoje prace w galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Emanuela Smolki w Opolu. Stowarzyszenie, działające przy Związku Polaków powstało w Grodnie w 1992 roku, a dziś skupia niemal stu malarzy, rzeźbiarzy i grafików z Grodzieńszczyzny, Brześcia, Mińska, Witebska, Bobrujska i Mohylewa.

TPP zorganizowało w Polsce i na Białorusi ponad 250 wystaw zbiorowych oraz indywidualnych. W Opolu swoje prace zaprezentowali m.in.: Janina Pilnik, Wasilij Martynczuk, Gienadij Pitsko, Waclaw Sporski, Alex Sporski, Walery Stratovich, Walentyna Brysacz, Irena Miklaszewicz, Piotr Januszkiwicz. Zwiedzający mogli obejrzeć płótna o treści sakralnej i alegorycznej, na granicy imaginacji i rzeczywistości, pozwalające zgłębiać tajemniczą przestrzeń pomiędzy realnością a twórczą wyobraźnią.

Uroczystego otwarcia wystawy „Transgraniczna Strefa Sztuki” dokonał jej współorganizatorzy: dyrektor WBP Tadeusz Chrobak, prezes opolskiego oddziału Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Halina Nabrdalik oraz Janina Pilnik – Prezes Towarzystwa Plastyków Polskich, której towarzyszyła delegacja Związku Polaków na Białorusi.

dks



Walery Stratovich „Powrót z jarmarku”



Wasilij Martynczuk „Pejzaż”



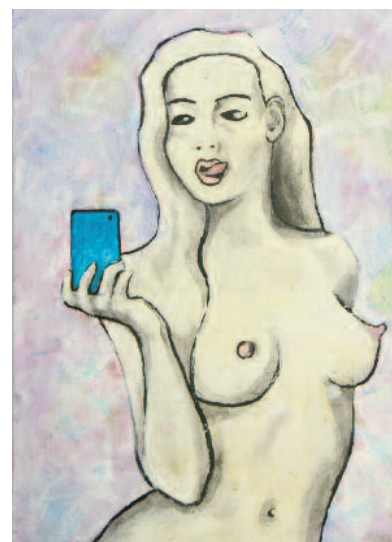
Waclaw Sporski „I tak dalej”



Janina Pilnik „Owoce”



Organizatorzy wystawy i polscy artyści z Białorusi. Od lewej: Ryszard Dalkiewicz, Halina Nabrdalik (Prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” O/Opole), Janina Pilnik (Prezes TPP), Anna Zabłocka, Tadeusz Chrobak (Dyrektor WBP), Natalia Klimowicz



George Schmit „Akt”

**Kuchnia Śląska Cieszyńskiego czyli wybór przepisów kulinarnych Emilii Kolder.** [Red. Helena Dobranowicz]. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Bielska-Białej i Podbeskidzia, Bielsko-Biała 2013, s. 152.

Chyba jeszcze nigdy nie polecałem w tym miejscu książki kucharskiej, uznałem ją jednak za tak ważną, że postanowiłem od niej zacząć. Kuchnia śląska większości kojarzy się z roladą, kluskami i modrą kapustą. Jest jeszcze żur, wodzionka... Górnośląska oferta kulinarna jest jednak niesłychanie uboga w porównaniu z tą z Ziemi Cieszyńskiej, na którą wpływ miały kuchnie czeska, węgierska, austriacka, bałkańska a – podobno – jeszcze i arabska (niektóre słodczyce). Emilia Kolder była osobą niezwykłą. Gotowała po weselach i innych uroczystościach, prowadziła pamiętnik, ale przede wszystkim zapisywała i upowszechniała przepisy kuchni regionalnej. Dzięki jej uporowi udało się w latach 70. wydać książkę kucharską. Dobrze, że wybrane receptury teraz zostały przypomniane. Polecam lekturę. Zbliża się Wielkanoc, warto na śniadanie spróbować murzina – drożdżowego ciasta nadzianego... wędlinami. Też rekomenduję.

**Lucja Marek, Monika Bortlik-Dźwierzynska: Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945-1989.** Wyd. IPN – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Katowicach, Katowice 2014, s. 372.

Obszerny album ilustrujący proces laicyzacji życia społecznego w Polsce złożony z licznych zdjęć „z epoki”, ale też druków propagandowych, reprodukcji prasowych wycinków i dokumentów czasem „do użytku wewnętrznego”. Żyłem w tamtych czasach, nie miałem jednak pojęcia jak obszerna i szczegółowa była świecka „liturgia” z racji rozmaitych okazji takich jak zawarcie cywilnego ślubu, uroczystość świeckiego nadania imienia dziecku, pasowanie na obywatela itd. Każda z tych okoliczności miała na przykład dokładnie określoną oprawę muzyczną – kilka zestawów utworów, z których jeden wykonywany był na początku, drugi na końcu celebracji. Przewidziane też było stosowne na każdą okazję słowo, były wzory świeckiej metryki chrztu, okolicznościowe dokumenty, nawet medale. Bardzo ciekawe. Myślę, że dla młodzieży ta książka będzie równie egzotyczna jak *Miś Bareji*.

**Paul Pogodalla: Potępieni i winni. Niemcom i psom wstęp wzbroniony. Moje wspomnienia z Chebzia.** Wyd. nakładem autora, Ruda Śląska 2014, s. 422.

Ze wstępu Bernarda Kopca dowiadujemy się, że Pogodalla jest Ślązakiem o orientacji niemieckiej, który jednak w Polsce, konkretnie w Chebziu, spędził dzieciństwo i 58 lat życia (do Niemiec wyjechał w roku 1988). Wspomnienia, dość obszerne, napisał dla swoich synów. Chyba po polsku, bo w książce nie ma nazwiska tłumacza. Pisze Kopiec: „całość nie ma ciągłości literackiej, jest to raczej zbiór wstrząsających i tragicznych epizodów życiowych”. Nie zawsze. Mnie trudno uwierzyć, że to naprawdę są wspomnienia. W prozie Pogodalii jest mnóstwo dialogów, głównie szczegółowych zapisów rozmów narratora z kolegami. Czytając je miałem wrażenie, że autorowi nie chodziło bynajmniej o rekonstrukcję przeszłych wydarzeń, tylko o zilustrowanie jakichś własnych, z góry przyjętych tez. Dobrzy (nie do końca) Niemcy, źli (też nie do końca) Polacy, a w środku biedni, krzywdzeni Ślązacy. We wspomnienia nie wierzę, kreacja literacka nie przekonuje.

**Małgorzata Anna Bobak: Medalik bez łańcuszka.** Wyd. Silesia Print Sp. z o.o., Tychy 2015, s. 98.

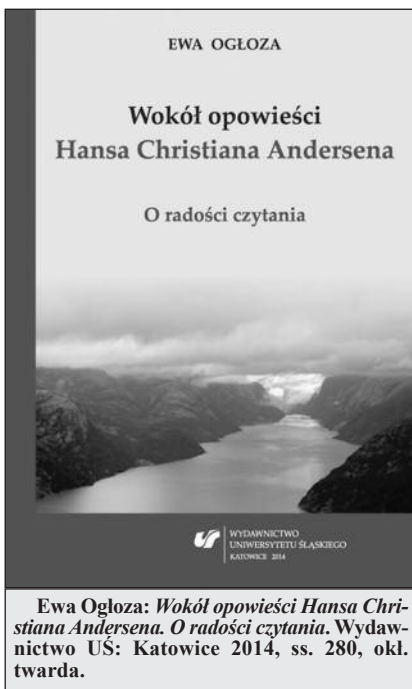
Małgośię poznałem dwa tomiki temu, odnotowałem je z przyjemnością w swojej rubryce, znalazłem w nich bowiem sporo dobrych wierszy. Nie jestem zbyt sposzregawczy, więc dopiero przy *Medaliku*... zauważyłem, że ona jest „tłumaczem”. „Przekłada” swoje życie na język poezji i wie, iż nie da się tego robić słowo w słowo. Dlatego jest prawdziwą poetką a nie ekshibicjonistką, dlatego jej jednostkowe doświadczenia i przeżycia stają się uniwersalne. Operuje konkretem – „gruchot w łazience”, „dziesięcioletnie sukienki”, „karma dla kota”, „czarna herbata”, nie ma u niej kwiatków, jest „ostróżka”, „malwa”, „nasturcja”. Pracuje fizycznie, na zmiany w firmie zajmującej się produkcją czegoś z chińskiego aluminium. Załoga nazywa ją fermą. Cytuję: *Zaczynamy piątą nockę/ „Aleja Gwiazd” w aluminiowej fermie/ Będziemy przed kotem piąć o szóstej.* Ale cała ta codzienność spłata się w jedno z tym, „co się komu w duszy gra”. Sentymentalizmu unika czasami autoironią: *(a byłam taka niezbędna).* Polecam.

**Mirosława Pajewska: Podróż do drugiego pokoju. (Autorski wybór wierszy 1993-2011).** Wyd. internetowe e-bookowo, Chorzów 2014, s. 80.

Wiersze tej autorki wielokrotnie publikowaliśmy w naszym miesięczniku. O jej twórczości wypowiadali się m.in. Feliks Netz, Maciej Szczawiński, Katarzyna Zdanowicz i Mieczysław Orski. Karol Maliszewski stwierdził: *...jestem wieloma wierszami niemal cieleśnie dotknięty, poruszony.* A większość krytyków i „ludzi z branży” podkreślała wyrazistość i oryginalność tej poezji. Książka jest wyborem autorskim, a więc to sama poetka zdecydowała, co chce ze swej twórczości przybliżyć czytelnikom. Już choćby tylko z tego względu warto po ten tomik sięgnąć. Jestem już w tym wieku, że coraz częściej przychodzą do mnie w snach bliscy, którzy zmarli. Być może dlatego najbardziej był dla mnie poruszający wiersz *„Moja umarła mama”*. Oto fragment: *Moja umarła mama/ Przewróciła się jak zwykle na lewy bok/ Dlatego grób się pochylił/ Moja umarła mama/ Często śpi w swoim pokoju/ I dopiero rano przypomina/ Ze w tym miejscu stoi teraz stół.* Prostota, prawda, poezja.

**Marek Płoszczyński: Wiersze fizyczne.** Wyd. Pisma pl. Warszawa 2014, s. 56.

Autor jest z wykształcenia lekarzem, co w sumie nie jest niczym nadzwyczajnym, w światowej i polskiej literaturze było całe mnóstwo medyków-ludzi pióra. To trzeci tomik Płoszczyńskiego. Zaintrygował mnie tytuł. *Wiersze fizyczne?* Co to takiego? Po lekturze pierwszych uznałem, że autor próbuje szukać inspiracji w filozofii przyrody, a może „unaukowie” poezję, wprowadzić do wierszy słowa ze świata pojęć ścisłych. Fragment utworu „Fala”: *Czym jesteś jednak/ Między jednym oddechem/ A drugim, gdy twa funkcja/ Przechodzi przez zero?/ Pędem, kwantem, fraktalem?* W miarę jednak dalszego czytania mogłem się przekonać, że autor bynajmniej nie rezygnuje z wierszy wcale albo znacznie mniej „fizycznych”. I mniej prerażających dla tzw. humanistów. Pojawiają się pytania: „czemu ma służyć liryka?”, „w jakim śnie jawi się róża Rilkego”? Bohaterami stają się Faust, Chopin i Syzyf. Czemu ma służyć liryka – nie wiem. Jestem natomiast pewien, że wiersz Płoszczyńskiego „Witebsk” do bardzo pięknych liryków się zalicza.



Ewa Ogłóza: *Wokół opowieści Hansa Christiana Andersena. O radości czytania*. Wydawnictwo UŚ: Katowice 2014, ss. 280, okł. twarda.

## Życie jest baśnią

**H**ans Christian Andersen wraz z braćmi Grimm należy do najbardziej znanych i poczytnych baśniopisarzy na świecie. Na język polski jego dzieła tłumaczyli m.in. Cecylia Niewiadomska, Stefania Beylin czy Jarosław Iwaszkiewicz. W 2006 roku z okazji 200-lecia urodzin pisarza Wydawnictwo Media Rodzina opublikowało kompletny, trzytomowy zbiór jego 164 baśni i opowieści w przekładzie – po raz pierwszy z języka duńskiego – Bogusławy Sochańskiej.

Ta edycja stała się naukowym impulsem dla polskich badaczy, którzy po raz kolejny wzięli na warsztat twórczość Andersena. W tym gronie znalazła się też Ewa Ogłóza, autorka książki *Wokół opowieści Hansa Christiana Andersena. O radości czytania* poświęconej wybranym dziełom duńskiego pisarza. Wśród analizowanych baśni i opowieści znalazły się i te najbardziej popularne, zawłaszczone przez kulturę masową (m.in. *Królowa Śniegu*, *Mała syrenka*), jak i te mało znane, ale równie piękne i niezwykle (m.in. *Cień*, *Driada*, *Kalosze szczęścia*, *Lodowa Pani*, *Mały Klaus i duży Klaus*, *Na krańcu morza*, *Obrazek z Kastelsvolden*, *Opowieść*

*o mate*, *Ostatnia perła*, *Ostatni sen staroego dębu*, *Pchła i profesor*, *Piotr Szczęściarz*).

Autorka, omawiając wybrane teksty literackie, scharakteryzowała ich treść, strukturę, motywy, symbole. Tropiła w nich wątki biograficzne, szukała inspiracji Andersena w jego licznych podróżach po Europie, w przeczytanych książkach, obejrzanych przedstawieniach teatralnych, operach. Starła się pokazać czytelnikom, w jaki sposób zainteresowania, wyznawana religia czy światopogląd baśniopisarza znalazły odzwierciedlenie w jego twórczości. W jej rozważaniach nie zabrakło również odniesień do współczesnych artystów szukających natchnienia w duńskich baśniach (niezwykle interesujące są jej dociekania na temat prezentowanej w Zachęcie od 27 listopada 2007 do 2 marca 2008 roku wystawy prac Wilhelma Sasnała inspirowanych baśniami Andersena).

Ewa Ogłóza niemalże w każdym szkicu dopinguje dziecięcych, lecz w szczególności dorosłych odbiorców do uważnej lektury baśni Andersena. Przekonuje, że jego twórczość może być dla współczesnego czytelnika drogowskazem, a także bramą do arkadii lat dziecięcych. Baśnie i opowieści Duńczyka, choć melancholijne i refleksyjne, w procesie lekturowym przynoszą bowiem wiele radości (stąd podtytuł *O radości czytania*), gdyż zawarta jest w nich nieprzemijająca mądrość o świecie i ludziach. Jak sama pisze we wstępie: „Radość daje czytelnikowi obcowanie z tekstami duńskiego prozaika, dostarczającymi silnych emocji i doznań, niezwykłych wyobrażeń, rozwiniętych przemyśleń, z tekstami ciekawie skomponowanymi, z płynną narracją i żywymi dialogami. Radość płynie z samej przyjemności lektury, z badania prozy Andersena, z dostrzegania coraz to nowych szczegółów, z poznawania ówczesnego świata, z odkrywania kolejnych poziomów i aspektów znaczeniowych, nowych znaczeń, ze świadomości, że współczesne konteksty oświetlają tę prozę, czyli ona sama jest wciąż ważna i aktualna”.

Badaczka zachęca także czytelników do równoległej lektury duńskich baśni i wybranych, współczesnych tekstów literackich, których autorzy poprzez problematykę, sposób prowadzenia narracji czy patrzenia na świat, nawiązują do twórczości autora *Brzydkiego kaczątka* (np. *Bajki dla Idy* Mikołaja Łozińskiego). Apeluje do nauczycieli języka polskiego o włączanie duńskich baśni do listy lektur nie tylko uczniów szkół podstawowych, lecz także gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. W rozdziale poświęconym narracji (*O narracji i kilku opowieściach Andersena*) pokazuje nauczycielom sposoby wykorzystania tych utworów w celu budowania kompetencji narracyjnych uczniów. Zachęca do prowadzenia zajęć, podczas których nie tylko dokonuje się analizy i interpretacji wybranych tekstów literackich,

lecz również tworzy własne formy artystycznej wypowiedzi (zarówno w mowie, jak i w piśmie). Proponuje, by do tych działań wykorzystać metodę projektu lub przygotować cykliczny Festiwal Andersenowski.

Pamiętając, że Andersen był bardzo wnikliwym obserwatorem świata, a przede wszystkim siebie i swojej twórczości, warto docenić również interesującą analizę Ewy Ogłózy poświęconą opowieści *Psyche*, w której autorka wnikliwie opisała stosunek baśniopisarza (w odniesieniu do jego biografii) do procesu tworzenia oraz roli i miejsca artysty w świecie. Podobne wątki znalazły się także w omówieniu dzieła *Piotr Szczęściarz*, będącego podsumowaniem życia i kariery artystycznej Andersena. Jak pisze badaczka: „Opowiedział historię człowieka, który miał wiele szczęścia w życiu, sam czuł się szczęśliwy i spełniony, i takim był postrzegany przez innych (...)”.

Praca zawiera wiele interesujących spostrzeżeń dotyczących twórczości Andersena, sposobów jej odczytania czy kontekstów interpretacyjnych. Autorka wielokrotnie podkreśla, że duńskie baśnie trzeba czytać, gdyż zawarte są w nich kody kulturowe funkcjonujące w literaturze, sztuce, filozofii do dnia dzisiejszego. Przytacza ciekawe rozważania teoretycznoliterackie (np. Marka Bieńczyka, Antoniego Kepińskiego, Leszka Kołakowskiego, Tadeusza Sławka), lecz nie wskazuje kierunku poszukiwań interpretacyjnych, nie pokazuje, w jaki sposób wykorzystać przytaczane teorie w praktyce, w pracy z tekstem, jakich użyć metod i form pracy z czytelnikiem zarówno dziecięcym, jak i dorosłym.

Nowy przekład baśni Andersena pozwolił czytelnikom na pełniejsze poznanie dorobku pisarza, który dla większości odbiorców pozostaje nieznan, gdyż w procesie lekturowym funkcjonuje tylko kilka, kilkanaście baśni. Zwraca na to uwagę autorka, która przestrzega czytelników, aby uważnie dobierali edycje baśni, które chcą przeczytać. Za wzorcowy uznaje przekład Sochańskiej, lecz nie podaje wydawców i nazwisk tłumaczy, których powinno się wystrzegać. Dziwnym wydaje się też pomysł przytaczania anglojęzycznych tytułów baśni przy omawianiu polsko brzmiących tytułów, gdyż jak wiemy Andersen był Duńczykiem i anglojęzyczny tytuł jest również „skażony” interpretacją tłumacza.

Mimo tych drobnych zastrzeżeń polecam książkę Ewy Ogłózy, gdyż w trakcie lektury nabiera się nieodpartej chęci powrotu do baśni Andersena, do zwerifikowania poglądów badaczki z tekstem. A od kiedy na polskim rynku wydawniczym pojawiły się również dzienniki duńskiego pisarza, ta lektura wydaje się być jeszcze bardziej smakowita i zajmująca!

SYLWIA BOROWIK



W tytułowym wierszu najnowszego tomiku Mariana Kisiele słychać mimo woli głos Karela Gotta, który śpiewa *C'est la vie, c'est la vie, tımto končí bál...* Piękna czeska piosenka z 1966 roku do słów Jiří Štaidla stała się inspiracją dla polskiego poety, który często dokonuje autorskich przekładów, kreując nową jakość tekstu. Wcześniej podobny zabieg zastosował w stosunku do twórczości Anny Achmatowej czy Paula Celana, nazywając niejednokrotnie swoje tłumaczenia „imitacjami”. Jednak Kisiel nie tyle imituje, co reinterpretuje, wydobywa to, co bliskie i ważne w cudzym utworze. Podobnie dzieje się we wspomnianym wierszu *C'est la vie*, w którym poeta po swojemu, dokonując modyfikacji i konkretyzacji oryginału, stara się rozstrzygnąć kwestię postawioną przez praskiego tekściarza. Cokolwiek się stanie, człowiek jest tylko aktorem w teatrze świata, na zakończenie powie – takie jest życie – „byłem zbyt zmęczony, / żeby dalej grać, / ostatni raz” (s. 59). Myśl ta w prostej linii nawiązuje do jednego z poprzednich tomów, którego tytuł *Życie* (2012) to zarazem cały wiersz: „było i się zmyło”.

Nie tyle śmierć, co przemijanie; nie tyle strach przed końcem, co melancholia pogodzonego z nieuchronnością losu stanowią trzon dojrzałej twórczości Kisiele. To one sprawiają, że poezja autora *Wypominków* (2009) przemawia głosem stoika, który z przypisanym sobie spokojem, ale i wyczuwalnym zdziwieniem mówi: „Byłaś, / nie ma Cię. // Jak to łatwo powiedzieć” (s. 10).

Taka lapidarność, oszczędność idzie w parze z precyzją słów, które nie mogą być przypadkowe, a tym bardziej zbędne. Kisiel to *poeta doctus*, który zmagą się z jarzmem akademickości. Jak wielu uczonych piszących wiersze, tak również autor *Czułości* (2011) z jednej strony posiada ogromną świadomość literatury, a z drugiej stara się znaleźć własną dykcję. Być może to niezwykle poczucie odpowiedzialności za słowo sprawiło, że przed kilkunastu laty na jakiś czas zamilkł jako poeta. Milczenie było potrzebą wielu poetów... Jak czytamy w wierszu *Nie wychodź z pokoju*: „Dużo napisałeś. Lecz czyś więcej wart?” (s. 37).

Na szczęście autor *Przypisów do współczesności* (2006) powrócił z tej „emigracji wewnętrznej”, by nie ziszcili się względem czytelników słowa: „Kiedy mnie nie będzie, / coś przez to straciecie” (s. 5). A stracić można by wiele, bo mało który poeta pisze dziś z taką refleksyjną ciszą w tle. W twórczości Kisiele sprawdzają się słowa Ignacego Loyoli: „Nie obfitość wiedzy, ale wewnętrzne odczuwanie i smakowanie rzeczy zadawała i nasyca duszę”. Tym samym nie tyle erudycyjność, co wrażliwość i czułość w doświadczaniu i podglądaniu świata sprawia, że wiersze z tomu *C'est la vie* zostają na długo w pamięci. Pamięci, która dla poety jest

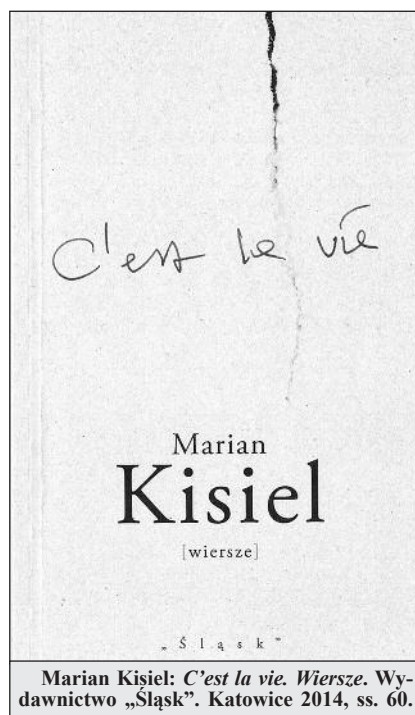
najwyższą wartością, bo zapewnia obecność, przedłuża istnienie tego, co już po drugiej stronie. Pamięć to swoiste „światło / przeciw ciemności” (s. 15). Stąd też wiele miejsca zajmują wiersze poświęcone zmarłym, w tym *Tren* (s. 44-45) i *Pieśń o Irenie* (s. 46). Co istotne, utwór otwierający tom, z którego pochodził cytowany przeze mnie fragment o stracie, przypomina postać profesora Stefana Szymutki, który odszedł niespodziewanie w 2009 roku. Kisiel sprawia, że w *Pieśni Stefana* słychać zaraźliwy śmiech tego niezwykłego „chłopaka ze Ćmoka”, bez którego katowicka polonistka nigdy nie będzie już taka sama, „nawet pęd po schodach / już nie będzie taki, // drzwi wciąż w te i we wte, / a jak-by inaczej” (s. 5).

To, co w poezji Kisiele urzeka mnie najbardziej, to umiejętność połączenia tego, co przasne i swojskie z tym, co filozoficzne i uczone. Obok wiersza o wybitnym profesorze z równą powagą umieszcza wspomnienie *O Franku malarzu*, po którym został ślad w postaci „wyzierających” spod tapet wzorów. Obaj mężczyźni należą już do przeszłości, a jednak to, co robili, było dla kogoś ważne. Jak o *Nagrobku ciotki Cili* na uniwersyteckich salonach, tak „kobiety rozprawiły / czyj wzór ładniejszy i kolor” (s. 7). Może to zestawienie kogoś obruszyć, ale Szymutko byłby zadowolony, bo przecież jego praktyczna i żywiołowa ciotka była skuteczniejsza dydaktycznie od Heideggera...

Tytułowe *C'est la vie* wybrzmiewa w motywie cmentarza, który powraca w kolejnych odsłonach jako miejsce spoczynku krewnych (*Cmentarz w Rakoszynie*, s. 15-16), ale też zamknięta przestrzeń, gdzie panuje „wciąż ten sam porządek”, bowiem „zawsze jedno / nakrywa się drugim” (s. 17). Równie nostalgiczne jest wspomnienie dzieciństwa i rodzinnych stron, przywoływanych w wierszach takich, jak: *Pasterka* (s. 21), *Jaskółka* (s. 51) czy *Wróble* (s. 52-53). Najboleśniej prawdę o znikomości życia wyraża jednak *Pieśń druga naiwna*, w której los człowieka przyrównany jest do wędrowki przez gościniec, gdzie „brzmi znajoma pieśń // z tyłu / nic nie ma // z przodu / nie ma też” (s. 33).

Wszystko zdaje się dla poety nietrawne, ulotne, jednak nie rodzi to ani rozpacz, ani żalu. Pocieszeniem jest prawda z wiersza *Rainerze*: „nigdzie nie będzie świata / poza wnętrzem” (s. 22). Do takich wniosków mogą dojść jednak tylko „wybrańcy”, którzy choć próbowali, trudzili się, mówią o sobie wprost: „biegłem / nie dobiegłem // stałem / wstać nie mogłem // patrzyłem / nie zobaczyłem” (s. 28).

Dla wielu twórców miłość jest alternatywą, ratunkiem od śmierci, antidotum na upływający czas. Bohater wierszy Kisiele nosi w sobie ziarenko strachu, które nie pozwala choć na chwilę wy-



## Prostota w pieśni odkryta

zwolnić się z niewoli zegara: „Dotykam Cię, / z lękiem, // że to wszystko minie” (s. 10). W innym miejscu zaś przeczucwa: „a kiedy / miłość straci smak // a kiedy / już nie będzie tak // co z nami stanie się // wtedy” (s. 13). Z drugiej strony głębokie uczucie powoduje, że „choć mijają lata / zmarszczki bruzdzą ciało // nie wyrzeknę się / twojej doskonałości” (s. 27). Kobieta jest naznaczona świętością, tak mocno, że to ona ma dostęp do prawdy – „mój śpiew nie wyśpiewa / tego co wiesz ty” (s. 14). Ta idealizacja prowadzi do prostej konstatacji: „myślałem, że do mnie, / a przychodzili do ciebie” (s. 42).

Tom *C'est la vie* ugruntowuje poetykę Kisiele, potwierdza też słowa, które napisał w 1983 roku: „wymyślałem cię na nowo / we wszystkich językach świata / a ty wciąż byłaś obok / ukryta w zwykłym słowie”. Niepozorny czterowiersz z debiutanckiego tomiku *Nie śnijcie mnie w waszych snach* sprawdza się po latach poszukiwań. Zwyczajne, codzienne słowa najlepiej oddają istotę poezji. Może stąd też tak wiele ostatnio u Kisiele pieśni, których urok tkwi w prostocie...

EDYTA ANTONIAK-KIEDOS



Federico García Lorca: *Lament na śmierć Ignacia Sanchez Mejiasa. Llanto por Ignacio Sanchez Mejias*. Przel. Feliks Netz. Instytut Mikołowski, Mikołów, 2015, ss. 30, nlb.

# Lament nad śmiercią hiszpańskiego toreadora

Ukazał się pierwszy z planowanych pięciu tomików przekładów z różnych języków wybitnego polskiego pisarza, poety i prozaka, tłumacza m.in. z języka hiszpańskiego czy węgierskiego oraz dziennikarza, znanego m.in. z Radia Katowice i miesięcznika „Śląsk” – Feliksa Netza. Jako pierwszy ukazał się dwujęzyczny tom, zawierający oryginał i tłumaczenie poematu *Lament na śmierć Ignacia Sanchez Mejiasa – Llanto por Ignacio Sanchez Mejias* wielkiego hiszpańskiego poety, jednego z największych europejskich pisarzy XX wieku – Federico Garcii Lorki. Niewątpliwie to dobry, „mocny” wybór i każący z optymizmem czekać na następne tomy przekładów.

Poemat Lorki poświęcony jest autentycznej postaci zaprzyjaźnionego z poetą toreadora, który został potrącony ro-

gami byka na arenie w czasie korridy 11 sierpnia 1934 roku i w wyniku tego zmarł po dwóch dniach. Poeta szybko napisał poemat upamiętniający przyjaciela – już trzy miesiące później czytał go w kręgu znajomych, a w roku następnym wydał drukiem. Polscy czytelnicy nie mieli zbyt wielu okazji do zapoznania się z tłumaczeniem tego poematu – w całości opublikowano go chyba tylko raz w tłumaczeniu Ireny Kuran-Boguckiej, tak więc naprawdę dopiero teraz ukazuje się on w dobrej, poetyckiej postaci.

Już od pierwszego momentu, gdy bierze się ten tomik do ręki, oprócz się nie można przyjemnemu wrażeniu. Zasługa to wydawcy – Instytutu Mikołowskiego i grafika – Wojtka Łuki, dzięki którym nabrał on pięknego, bibliofilskiego wyglądu. Wyszukana, wręcz wysmakowana postać całości, od grafiki poczynając, a na czcionce kończąc, to niewątpliwe zalety tej książki.

A przecież – to dopiero początek, bo trzeba ją przeczytać, by ocenić całość. Przede wszystkim dobrze się stało, że zdecydowano się na wersję dwujęzyczną – obok oryginału hiszpańskiego mamy więc na sąsiedniej stronie jego wersję polską, co pozwala na śledzenie i porównywanie tłumaczenia z oryginałem. Taki zabieg – bezlitosny dla tłumacza i często niestety pozwalający na niezbyt wysoką ocenę jego kompetencji – tym razem wypada pomyślnie i można powiedzieć, że dobrze się stało, iż z tłumaczeniem zestawiono oryginał.

Najpierw jednak powiedzmy kilka ogólnych prawd dotyczących translacji. Przede wszystkim każdy przekład jest interpretacją oryginału, wyborem jednego z możliwych sposobów wyrażenia go w języku docelowym translacji, a tych możliwości jest zwykle wiele. Tłumacz musi się zdecydować na tę jego zdaniem najwłaściwszą możliwość i odrzucić tym samym wszystkie inne, choćby wydawały się równie dobre, dlatego też możliwe jest powstawanie wielu różnych tłumaczeń tych samych utworów, a wręcz jest to pożądane, gdyż każde pokolenie trochę inaczej je odczuwa i rozumie. Jest to także możliwe dzięki pewnej wieloznaczności utworów literackich, zwłaszcza tekstów poetyckich – każde tłumaczenie jest więc nie tylko pewnym wyborem spomiędzy tych różnych znaczeń, ale także – i w tym widać wielkość przekładu – musi ono jednak zachować pewną dozę tej wieloznaczności, nie „spłaszczać” oryginału do jednej tylko wersji jego znaczenia.

I jeszcze trzeba tu powiedzieć – a w tym konkretnym przypadku to ma wielkie znaczenie – że, co prawda, najlepsze językowo przekłady wychodzą zwykle z warsztatu poetów, ale też

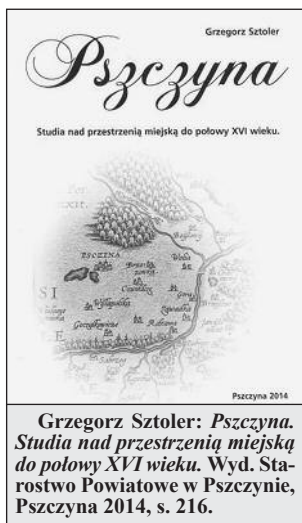
zwykle mamy z tymi tekstami pewien kłopot. Chodzi o to, że poeci mają zazwyczaj doskonałe poczucie językowe, sprawiające, że ich przekłady są z reguły znakomite pod tym względem. Nie są więc takie, jak nieraz widzimy w przypadku znakomitych filologów, znających wszystkie tajemnice języka, z którego dokonywany jest przekład – wierny językowo, lecz niestety trudny w czytaniu, gdyż brzmiący „sztywno”, niepoetycko.

Problem natomiast jest taki, że znakomite na ogół przekłady dokonywane przez ludzi pióra są często niezbyt wierne, nieraz wręcz mamy do czynienia nie tyle z przekładem, co z autorską wersją utworu, wymyśloną przez poetę. Efekt takiej pracy jest niewątpliwie dobry, tyle że odbiegający bardzo od oryginału, nieraz w stopniu tak znacznym, że czytelnik może się zastanawiać, czy mamy do czynienia jeszcze z przekładem, czy już tylko z parafrazą.

Jak więc w świetle tych refleksji przedstawia się omawiany przekład poematu Garcii Lorki pióra Feliksa Netza? Po pierwsze, widać że wyszedł spod pióra znakomitego pisarza i poety – nigdzie nie natrafiamy na miejsca wątpliwe, brzmiące w tłumaczeniu niezbyt dobrze – całość jest po prostu znakomitym wierszem, brzmiącym doskonale właśnie po polsku – a przecież to jest zawsze najważniejszym i ostatecznym kryterium jakości przekładu. Udało się natomiast tłumaczowi uniknąć wspomnianego wcześniej niebezpieczeństwa, pokusy, że jeśli napisze się coś inaczej, to będzie to lepsze niż hiszpański oryginał. Tłumaczenie Netza jest więc nie tylko piękne – jest też wierne, bez dodanych słów czy fraz, mających rzekomo „polepszyć” czy „wytłumaczyć” oryginał. Widać że tłumacz ma zaufanie nie tylko do siebie – a oczywiście bez tego, bez tej pewności, za którą idzie przekonanie o słuszności dokonanych wyborów, nie warto przystępować do tak trudnego zadania – ale i do czytelnika, który sięgnie po to tłumaczenie poematu Lorki, i do hiszpańskiego poety, od którego nie zamierza być lepszym.

Dobry to prognostyk na przyszłość – wspominaliśmy już, że tomik ten otwiera cały cykl przekładów z pięciu różnych języków. Nie trzeba więc chyba bardziej zachęcać czytelników do zapoznania się z poematem Garcii Lorki i z tomikami następnymi, gdzie jednak konfrontacja oryginału – np. węgierskiego – może być zadaniem trudniejszym. Tym ważniejsze więc stają się pozytywne wrażenia z lektury pierwszego tomu.

JACEK LYSZCZYNA



## Oszust w ratuszu?

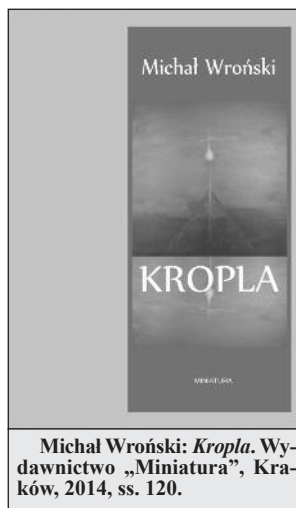
**N**asi Czytelnicy znają autora z reportaży od lat publikowanych w *Śląsku*. Teksty te często związane były z Ziemią Pszczyńską albo poprzez postać bohatera, albo przez miejsce akcji. Czasem pojawiały się w nich odwołania do historycznych dokumentów. Warto więc w tym miejscu zaznaczyć, że Sztoler na co dzień pracuje w Archiwum *Dziennika Zachodniego*, jest historykiem i podczas gromadzenia materiałów do swoich publikacji penetruje do archiwów, studiuje kroniki parafialne, sięga do starodruków. Nic zatem dziwnego, że uczestniczy w tworzeniu monografii miejscowości ze swojej Ziemi Pszczyńskiej.

Książka *Pszczyna. Studia...* właśnie wydana, jest, co z pewnością nie brzmi zachęcająco, skrótem jego pracy doktorskiej (konkretnie – jej tomu pierwszego). Warto jednak się przełamać, nie dać się wystraszyć licznym przypisom i spróbować zmierzyć się z tą publikacją. Dlaczego? Przede wszystkim przemawia do wyobraźni. Znamy Pszczynę w jej obecnym kształcie, podziwiamy jej urodę, oglądamy zabytki przekonujące, że to miejsce historyczne. Jednak

dopiero lektura tej publikacji pozwala na uświadomienie sobie „starożytności” miasta. Autor odtwarza jego dzieje od początków, czyli małej pogranicznej osady, do średniowiecznego grodu z funkcjonującymi w nim instytucjami. Przy okazji dociera do nas, że praca historyka ma wiele wspólnego z robotą detektywa rozwiązującego skomplikowane zagadki. Sztoler na podstawie wyników badań archeologicznych, zachowanych dokumentów i bogatej literatury przedmiotu usiłuje dotrzeć do prawdy, „rozwiązać zagadkę”. To nie jest łatwe, bo materiał archiwalny jest niekompletny, badacze także różnią się w swoich ustaleniach, pewne tezy można formułować poprzez szukanie analogii z historią innych, podobnych miejscowości. Stąd pojawiają się w książce ostrożne hipotezy oraz zdania, że jakiś obiekt znajdował się PRAWDOPODOBNIEM w danym miejscu albo fakt zdarzył się też PRAWDOPODOBNIEM przed takim to a takim rokiem.

Autor przekazuje nam w swojej pracy całe mnóstwo arcyciekawych informacji. Może mniej interesujące są wiadomości, że ktoś od kogoś kupił dany dom, który później odziedziczył jeszcze ktoś inny. Tym bardziej że tego budynku już nie ma i możemy tylko przypuszczać, że stał blisko bramy. Ale już nazwiska mieszkańców mogą dać do myślenia. Myślę, że to już czas aby rozwiązać tytułową zagadkę. Otóż nie było Oszusta w ratuszu. Burmistrz o tym nazwisku przyjmował radnych miejskich w domu, bo drewniany budynek magistratu się spalił. A czym zajmowali się rajcy? Ustalali m.in. wysokość dotacji na utrzymanie domu publicznego, który obok szkoły, szpitala i łaźni należał do instytucji miejskich. Z opłat klientów tego lupanaru opłacano natomiast rakarza. Praca w przybytku rozpusty była źródłem utrzymania licznych w mieście wdów i sierot „z nizin społecznych”. Niewątpliwym walorem książki jest materiał ilustracyjny – rekonstrukcje planów, map, zdjęcia zachowanych obiektów średniowiecznych.

BOGDAN WIDERA



## Z radością utonęłam w Kropli

**P**od koniec ubiegłego roku do sprzedaży trafił jeden z bardziej wymownych tomików wierszy Michała Wrońskiego – *Kropla*. Okraszony wspaniałymi grafikami Bożeny Kuszilek zbiór wydany nakładem krakowskiej „Miniatury”, zajął na mojej półce z poezją tego autora należne mu, pierwsze miejsce.

Zanim książka trafiła w moje ręce, moją uwagę przykuł jej tytuł. Tyleż skojarzeń łączy się z tym słowem! Kropla, choć jest czymś niewielkim i niestałym, ma siłę, w drążyć skałę, ale i moc sprawczą, by przelewać czarę gorzkości. Kropla krwi jest życiodajnym płynem. Z kropel składają się oceany, a kropla łzy wyrażać może prawie wszystkie możliwe emocje: radość, smutek, wzruszenie i strach...

Jakby w odpowiedzi na moje przemyslenia, niemal wszystkie te cechy kropli zawarł Michał Wroński w tytułowym wierszu. W nim jest ona kroplą krwi, gorzkości, deszczu i żywicy, która nie ściga się z czasem, a drąży go. Z czasem, który zresztą odgrywa w twórczości autora jak zawsze ogromną rolę. W jednym z wierszy jest nowym rokiem, który nie zostaje przez Wrońskiego wpisany, w innym jest przyszłością, której nie należy poganiać, by wystarczyła na dłużej, a w jeszcze innym, duchami dni.

W tomiku *Kropla* znaleźć można wszystkie elementy wła-

ściwe twórczości gliwickiego poety. Zawarte w wierszach prawdy – pierwszoplanowi aktorzy – odgrywają powierzoną im rolę na tle przyrody, uniwersum, kosmosu i nieba. Treść ociera się o subtelne erotyki, filozoficzne refleksje, celne spostrzeżenia i skrawki prywatnego życia. Są tu i echa wcześniejszej twórczości autora, zakodowane m. in. w dwoistości (ba, nawet wielowątkowości) jego natury, którą odnaleźć można chociażby w *Drugim Ja*. Jest w końcu wiersz, który wzruszył mnie najbardziej. Skierowany jest on do wnuków i stanowi coś w rodzaju testamentu Michała Wrońskiego pozostawionego najbliższemu. I w końcu ten, który autor zedykował mnie, *Cień nieba*, jeden z piękniejszych w całym tomiku, odwołujący się do mojej ulubionej książki o tym samym tytule, będącej zbiorem listów pisanych między autorem a Aniołem Stróżem:

„Gdy cień Nieba  
pada na Ziemię  
widzą go tylko  
Anioły –  
czasem ludzie  
kiedy im źle  
ze swoim istnieniem  
i dobrze  
we śnie”.

W tej opowieści o Michałowej *Kropli* nie może zabraknąć głębokiego ukłonu w stronę Bożeny Kuszilek, architektki, absolwentki Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, która opracowała graficznie tomik i jest autorką zawartych w nim ilustracji. Są one jednocześnie dopełnieniem wierszy i całkiem odrębnymi dziełami sztuki. W jednej, niewielkiej książce spotkały się dwie możliwości – poety i plastyka, obdarowując nas niezwykłym bogactwem doznań. Wiersze i grafiki uzupełniają się wzajemnie, ale mogą też prowadzić całkiem niezależne życie. Ilustracje krakowskiej artystki, nieco surrealistyczne, skąpane (to dobre słowo, gdy mówimy o kropłach) w przyrodzie lub w barwach, wprowadzają w treść tomiku element fantastyki.

W *Kropli* urzekła mnie bezpretensjonalność wierszy, a także ich krótkość, choć treściwa forma. Oszczędnie dawki słowa są niczym kamień, który uruchamia lawinę emocji i przemyśleń. To pozycja nietuzinkowa, którą polecam nie tylko miłośnikom poezji, ale również tym, którzy cenią literaturę składającą do osobistych refleksji. Ich też, tradycyjnie, odsyłam do Krainy Zielonego Pojęcia, bloga Michała Wrońskiego, na którym znaleźć można wiele niezwykłych literackich ścieżek ([www.michalwronski45.blogspot.com](http://www.michalwronski45.blogspot.com)).

ADRIANA  
URGACZ-KUŹNIAK

W ubiegłym roku Miejska Biblioteka Publiczna w Gliwicach wyznaczyła nowe kierunki swojej działalności. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom czytelników, a nawet je wyprzedzając, gliwicy bibliotekarze wprowadzili szereg usług i zorganizowali liczne oryginalne wydarzenia kulturalne, nawiązując współpracę z nowymi partnerami.

Powszechnie wiadomo, że jeśli ktoś lubi czytać, to czyta wszędzie. I na różnych nośnikach. E-booki nie są zagrożeniem dla tradycyjnej książki, a wręcz szansą na pozyskanie jej nowych odbiorców, dlatego biblioteka podpisała porozumienie z Fundacją Nowoczesna Polska i rozpoczęła akcję **Czytamy Wszędzie!** Na przystankach, w autobusach, na krytych pływalniach i w Palmiarni Miejskiej w Gliwicach pojawiły się naklejki z kodami QR, umożliwiającymi pobranie e-booków z serwisu Wolne Lektury. Dzięki temu miastem zawładnęły książki, do których dostęp jest łatwiejszy niż kiedykolwiek.

W 2014 r. gliwicka biblioteka podjęła wiele działań zmierzających do dalszego unowocześnienia swoich usług w oparciu o nowoczesne technologie. W ofercie pojawiły się dostępne online kursy multimedialne z różnych dziedzin – począwszy od języków obcych, przez matematykę, fotografię, po naukę szybkiego czytania i zapamiętywania. Zupełną nowością był udział w pilotażu Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego **Tablety w Bibliotece**, podczas którego sześć placówek w kraju testowało, jak takie urządzenia sprawdzają się w pracy bibliotekarza i czy ich udostępnianie jest usługą oczekiwaną przez użytkowników. Pilotaż, polegający m.in. na prowadzeniu warsztatów z seniorami i młodzieżą z wykorzystaniem iPadów, wypadł dobrze. W styczniu biblioteka otrzymała od FRŚI trzy takie urządzenia, więc zajęcia będą kontynuowane.

Dzięki nowym technologiom czytelnicy nawet nie muszą wychodzić z domu, by swobodnie sięgać po książkę. Taką możliwość daje bowiem platforma IBUK Libra. Gliwicka biblioteka, współpracując z Konsorcjum Śląskich Bibliotek Publicznych, oferuje 1900 tytułów książek elektronicznych. Ponadto już od stycznia 2015 r. gliwiczanie mogą w MBP wypożyczać czytniki e-booków. Ciekawą propozycją dla uczniów szkół gimnazjalnych jest możliwość zdobywania nowych umiejętności podczas warsztatów programowania w ramach projektu **Mistrzowie Kodowania**. Starsi mogą z kolei zdobywać wiedzę podczas spotkań z Latarnikiem Polski Cyfrowej.

Również w zakresie promocji czytelnictwa pojawiły się nowe pomysły. Jednym z nich był happening **Gliwice Czytają**, zorganizowany 23 kwietnia – w Świątym Dniu Książki i Praw Autorskich. Do różnorodnych działań, pod patronem Prezydenta Miasta Gliwice, zaproszeni



Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich. Happening Gliwice Czytają

Fot. Zdzisław Daniec

Nowe otwarcie  
w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Gliwicach

## „A droga wiedzie w przód i w przód...”

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

Tak jak wiele bibliotek, także i gliwicka włączyła się w **Narodowe Czytanie**. W ubiegłym roku „bohaterem” akcji była Trylogia Henryka Sienkiewicza. Co się wydarzyło 6 września 2014 r. w Gliwicach? Całodzienny maraton czytania rozpoczęła piosenkarka i aktorka Natalia Lesz, która potem miała okazję poznać uliczki miasta, jeżdżąc bryczką w towarzystwie... Henryka Sienkiewicza! Tego dnia ułożono wielkie serce z książek – by przypomnieć, że Trylogia powstawała „ku pokrzepieniu serc”. Dzieci i młodzież, wspierane przez członków Studenckiego Koła Naukowego „+ i KAWA”,

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

Fot. z archiwum MBP w Gliwicach



Narodowe Czytanie Trylogii Henryka Sienkiewicza

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

zostali: Śląska Sieć Metropolitalna, Stacja Artystyczna Rynek, Gliwicki Klub Sportowy „Piaś”, Gliwickie Centrum Organizacji Pozarządowych. Wykonano wspólne zdjęcie miłośników czytania; przeprowadzono: konkursy literackie, warsztaty artystyczne, akcję wymiany książek, wykład z prawa autorskiego i warsztaty poetyckie; głośno czytano na ulicach, w szkołach i przedszkolach.

**S**pośród tematów, które wydają mi się odpowiednie do marcowego wydania „Słaska” dwa wysuwają się zdecydowanie na plan pierwszy: wiosna i chamstwo. Wiosnę właściwie można by sobie podarować, jako zjawisko powtarzalne, na które nie mamy żadnego wpływu. Co wówczas pozostanie? No właśnie: to, co nas zalewa, a na co wpływ powinniśmy mieć, czyli chamstwo. Najgorsze jest to, że jego źródłem są coraz częściej instytucje i osoby, od których oczekujemy, iż przede wszystkim one chamstwu się przeciwstawią. Tymczasem guzik z pętelką. Obok chamstwa naszego powszedniego, mamy coraz częściej do czynienia z chamstwem medialnym i politycznym, które zresztą jak bliźnięta syjamskie połączone są ze sobą, a nawet gorzej: jedno napędza drugie. Dziś trudno już powiedzieć, które zaczęło. Gdyby odwołać się do przykładów, zapewne nie starczyłoby miejsca na naszych łamach. Zamiast tego wystarczy odbyć krótką wycieczkę po mediach drukowanych i niedrukowanych oraz po portalach internetowych. Politycy wszelkich możliwych opcji dokopują sobie nawzajem, niby uczniaki z sąsiadujących ze sobą szkół na dużej przerwie. Media podchwytyją te akcje i starają się, w trosce o dobro czytelnika (jakiego?) wyeksponować najcelniejsze ciosy i nadać im jak największą wagę. Wolność wyrażania opinii ma legitymizować takie postępowanie, a na sztandarze wypisane jest hasło dążenia do prawdy. Mam jednak w związku z tym pytanie: jeśli pan X uważa pana Y za idiotę, bądź odwrotnie, czy jest to informacja dla mnie istotna i czy poznanie tej prawdy coś wnosi do mojego oglądu świata? Powiem uczciwie i szczerze, że mam w głębokim lekceważeniu taki przepływ informacji, lekceważeniu tak głębokim, jak lekceważenie przez media mojego prawa do własnej opinii, albowiem w tym natłoku niewybrednych inwektyw małe są szanse, bym mógł wyrobić sobie własną opinię. A tak się składa, że ona jest dla mnie najważniejsza. Kiedy np. leader związkowy wygraża politykom czy pracodawcom, brutalność jego wypowiedzi ma dodawać powagi i znamion prawdziwości jego słowom. Ale czy rzeczywiście dodaje?

Inne pole chamskich zmagania to polemiki różnych medialnych sław i ikon. Rzadko zdarza się, by ich celem była wymiana poglądów. Chodzi raczej o obrzydzenie oponenta czytelnikom, zdezawuowanie jego

Z moich Górek  
WITOLD TURANT

## Media chamorum

poglądów i wreszcie zniszczenie jego samego. Autorzy tych pseudopolemik uważają się za matadorów jedynie słusznych idei i poglądów. A jeśli chodzi o jedyną słuszną, to wiadomo – wszystkie chywy dozwolone. Z zasady nie mieszam się do takich awantur, wychodząc z założenia wpojonego mi przez rodziców, że pewnych substancji dotykać nie należy, ponieważ z reguły brzydko pachną i można się ubrudzić. Kiedyś jednak nie wytrzymałem i na jednym z forów internetowych skarciłem pewnego harcownika, który mając niewiele argumentów rzeczowych, wykpiwał pewne fizyczne niedociągnięcia swej oponentki. Zwróciwszy uwagę, iż nie widzę usprawiedliwienia dla chamstwa, zostałem pouczony, iż występowanie w imię wyższej racji zezwala na użycie wszelkich dostępnych środków. Tak więc dostałem ze swoje i pokazano mi, iż ze swoimi poglądami z epoki króla Ćwieczka nie powinienem się afiszować i zawracać komuś głowę.

Może to i racja. Łatwo się bowiem przekonać, iż internauci, biorąc przykład z luminarzy życia publicznego, zmieniają sieć w rynsztok z wielkim upodobaniem. Pomijam już czyste tzw. hejterstwo, bo to raczej oddzielna kategoria. Każda informacja na portalach opatrzona jest licznymi komentarzami i kontrkomentarzami, w których określenia takie jak „matol” czy „niedorozwój” pojawiają się z częstotliwością pochmurnych dni jesienią porą i należą do stosunkowo humanitarnego rodzaju amunicji. Odpowiedników pocisków „dum-dum” cytować nie będę.

Istnieją oczywiście także rodzaje chamstwa, które obywa się bez niecenzuralnych wyrazów. Zamiast te-

go sięga w sferę prywatności „obrabianej” ofiary, odkrywa się jej słabości, które nie mają związku z stanowiskiem czy zawodem, który wykonuje, ale znakomicie pełnią funkcję niszczycielską (vide casus Durczok). Bardzo często są to zwykłe pomówienia czy insynuacje. Nie szkodzi. W naszej tradycji to zawsze na osobie, której się coś zarzuca publicznie, spoczywa obowiązek udowodnienia, że nie jest wielbłądem. Trudno sobie wyobrazić mniej komfortową sytuację.

To, co leży u podstaw takiego zachowania polityków, związkowców czy mediów, to przekonanie, iż ten styl prowadzenia dialogu (?) znajduje chętnego odbiorcę. Ci pierwsi przekonani są, że ich klientela właśnie na to czeka i takie wypowiedzi najpełniej zrozumie. Podobny tok myślenia towarzyszy medialnym publikacjom i komentarzom do nich. Na zasadzie „swój do swego, swoim językiem”. Trochę mnie to przeraża. Czy jako społeczeństwo na nic innego nie zasługujemy? Czy chamstwo powszechnie zdominowało już do tego stopnia styl naszego życia? Pamiętam z czasów służby woskowej pewnego sierżanta, który słuchając pouczeń, jakie musiałem wygłosić do żołnierzy tzw. służby zasadniczej (dziś już przeżytek), skomentował to tak: – Daj pan spokój. Tak to do nich nie dotrze. I przełożył moją wypowiedź na rozbudowany strukturalnie błuzg. Z wielkim zdziwieniem zauważyłem, że twarze części wojska wyraźnie się rozjaśniły. Wreszcie ktoś przemówił zrozumiałym językiem. Czyżbyśmy zatem byli na tym poziomie?

Jest jednak nadzieja, że nie. Zdarzają się media, nawet internetowe, które zdają się nie płynąć tym rynsztokowym nurtem. Bywają politycy, którzy nawet w czasie ostrych debat i polemik potrafią zachować przyzwoity styl. A my? Na szczęście nie musimy tego wszystkiego czytać, nie musimy oglądać tych telewizyjnych kanałów, nie musimy odwiedzać tych portali i nie musimy czytać chamskich komentarzy. Chyba że ktoś lubi. Ale na to nie ma rady.

A w Górkach? Wiosna, jak wszędzie indziej i obietnica zmian, jak co roku. A że nie mamy na ich tempo wpływu? Nie szkodzi. To akurat nie powoduje, że pączki na gałęziach stanę się mniej obiecujące a śpiewające coraz głośniejszy i śmiały ptaki zaczną fałszować. I tak jest dobrze. W Górkach i wszędzie indziej.

## Śladami Georga i Emila Zillmanów

Na stronie internetowej zabytki techniki. pl czytamy: „Questing po obiektach Szlaku Zabytków Techniki to okazja, aby odkryć tajemnice arcydzieł architektury przemysłowej. Questy to specjalnie przygotowane scenariusze zwiedzania, pozwalające odkrywać tajemnice dziedzictwa industrialnego regionu”. Przemierzając śląski szlak Georga i Emila Zillmanów mamy okazję poznać prawdziwe perły poindustrialne. Zanim chętni przystąpią do odwiedzania tych miejsc, warto wiedzieć, kim byli Zillmanowie. Starszy Emil (1870 – 1937) to kuzyn młodszego Georga (1871-1958). Obaj byli niemieckimi architektami i absolwentami Królewskiej Wyższej Szkoły Technicznej (Königliche Technische Hochschule) w Berlinie. W ich dorobku znajdują się tak spektakularne projekty jak katowickie osiedle Nikiszowiec i osiedle-ogród Giszowiec. Są też oni jednymi z bohaterów niezwykle książki – „Czarny ogród” Małgorzaty Szejnert, w której autorka opowiada dzieje Nikiszowca i Giszowca od chwili powstania, poprzez popłatane losy przedwojnia, wojny i czasu powojennego. Pomiędzy bohaterami – autentycznymi postaciami tych osiedli znajdują się i bracia Zillmanowie. Ale to nie jedynie ich dokonanie. Na Śląsk ślady prowadzą także do dzielnicy Bytomia – Szombierki, której korzenie sięgają średniowiecza, a w czasach późniejszych będących świadkiem rozkwitu działalności przemysłowej Karola Goduli – jednego z najbogatszych przemysłowców górnosląskich. W szombierskiej kopalni „Hohenzollern” uruchomiono pierwsze podziemne elektrownie. Zmierzając dalej śladami Zillmanów warto odkryć żeliwne skarby tzw. „Nowych Gliwic” czyli odrestaurowanego kompleksu budynków dawnej kopalni „Gliwice”, wśród których na szczególną uwagę zasługują kolejne dzieła Zillmanów czyli zaadaptowane historyczne obiekty dla współczesnych potrzeb.

W Katowicach poza Nikiszowcem i Giszowcem nie należy pominąć zabudowy terenu dawnej kopalni „Gische”, z galerii sztuki funkcjonującą w jednym obiektach pod nazwą „Szyb Wilson”. Tu kończy się podróż, podczas której można było poznać dzieła Emila i Georga Zillmanów. Jak rozpocząć wędrowkę? Wystarczy wejść na wspomnianą stronę internetową i zajrzeć do zakładki Odkryj więcej. Poszczególne miejsca opatrzone są informacjami o trasie dojazdowej, o obiektach wartych uwagi, i krótką historią. A zabawa polega na uzupełnianiu na specjalnych ulotkach brakujących informacji. W ten oto sposób można połączyć rodzinną wędrowkę rekreacyjną z aspektem edukacyjnym, a przede wszystkim z poznawaniem niezwykłych miejsc, które na co dzień często mijamy, ale nie zatrzymujemy się przy nich, nie zadajemy sobie trudu, by poznać ich historię. Questing jest szansą na zatrzymanie się – a warto!

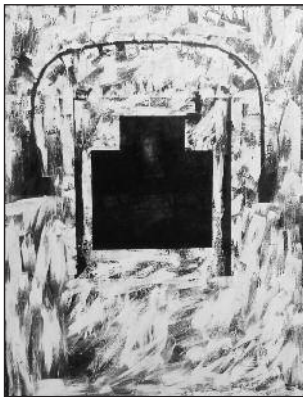
WIESŁAWA KONOPELSKA

## KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

### Malarstwo Linttnera w galerii „Ateneum”

W Galerii Teatru Lalki i Aktora Ateneum można oglądać wystawę malarstwa Macieja Linttnera, zatytułowaną „170x130” [Pole dramatycznych przypadków], Maciej Linttner urodził się w Walczu, ma 49 lat, za sobą studia na katowickim Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom z projektowania graficznego i malarstwa uzyskał w 1993 r. pod kierunkiem prof. Zbigniewa Pieczykolana i prof. Andrzeja S. Kowalskiego), 10 wystaw indywidualnych i 50 zbiorowych w kraju i zagranicą, stypendium Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego (2002) oraz wiele nagród i wyróżnień. Jest laureatem m.in. Grand Prix w konkursie Okręgu ZPAP na Pracę Roku (Katowice 1999) i pierwszej nagrody na wystawie Praca na papierze, zorganizowanej pod auspicjami ONZ (Warszawa 1999). Aktualnie prowadzi jedną z Pracowni Rysunku na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach.

W biografii artysty pod hasłem krótki opis twórczości czytamy, że zajmuje się malarstwem oraz książką artystyczną i uporczywie szuka sposobów na łączenie tych dwóch dziedzin, przyglądając się ich wzajemnym relacjom. – Od wielu lat staram się w mojej twórczości łączyć elementy z obszaru malarstwa i literatury. – pisze Maciej Linttner. – Te dwie odrębne artystyczne dyscypliny są dla mnie płaszczyzną do poszukiwania własnej, autorskiej formy. Od zawsze ważne są dla mnie próby formułowania osobistej wypowiedzi, które zdają się być bliskie takim terminom, jak notatka (chwilowy zapis), dziennik czy pamiętnik. Prace moje są formalnym i treści-



Czy to nie czasem Bastian Schweinsteiger, 130x170cm, olej, płótno.

### Jednym zdaniem

- Teatr Prowincja zaprasza 28 lutego na premierę spektaklu „Katyń – ... w tył głowy”.
- W Muzeum w Chorzowie odbyła się promocja 15. tomu „Zeszytów Chorzowskich” pod redakcją Jacka Kurka.
- W 70. Jubileuszowym sezonie artystycznym wzniesienie sceniczne „Tannhäuser” Ryszarda Wagnera w Operze Śląskiej w Bytomiu, w reżyserii Laco Adamika, ze scenografią Barbary Kędzierskiej i pod kierunkiem muzycznym Tadeusza Serafina, odbyło się 21 lutego br.
- W siedzibie Działu Teatralno-Filmowego Muzeum Historii Katowic odbyło się w cyklu

wym zapisem wielu chwil i fragmentów nie zawsze zachowujących logiczną ciągłość. Nie interesuje mnie przekazywanie treści, a raczej zbioru emocji będących odbiciem złożoności i wielowymiarowości naszego czasu. Codziennosc i jej skomplikowana sfera rzeczywistości i duchowa ma dla mnie bezpośrednie przełożenie na malarski kolaż, a więc budowanie kompozycji za pomocą odrębnych fragmentów.

W teatralnej przestrzeni Galerii Ateneum malarskie Pole dramatycznych przypadków zyskuje dodatkowy walor.

### Jak Jurek został scenografem

Wspólny pokój, Rękopis znaleziony w Saragossie, Szyfry oraz Sanatorium pod Klepsydrą to jedne z najbardziej znaczących i znanych polskich filmów, do których scenografie przygotował Jerzy Skarżyński. W Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego można było oglądać prace artysty powstałe w okresie dzieciństwa i wczesnej młodości.



Jerzy Skarżyński, lat 14 – rysunek inspirowany sylwetkami aktorów z filmu Marocco z 1930 r.

Jerzy Skarżyński, uhonorowany w 2000 roku Koryfeuszem Scenografii Polskiej, stworzył m.in. projekty scenografii do filmów z tak zwanego nurtu kina historycznego, realizowanych w latach sześćdziesiątych XX wieku, w tym do ekranizacji Historii żółtej cizemki, ale także komiksy i ilustracje do książek Philipa Dicka, braci Strugackich czy Joe Alexa, których wydania do dzisiaj są uznawane za kanoniczne. Możliwość kontaktu z rysunkami Skarżyńskiego mieli także czytelnicy „Przekroju” i „Życia Literackiego”, jako że przez wiele lat ilustrował on zamieszczane w nich opowiadania.

Na ekspozycji prezentowane były prace będące rysunkami artysty z dzieciństwa i wczesnej młodości, które pozwalały prześledzić kształtujący się talent przyszłego malarza, scenografa i rysownika, dostrzec rodzące się pasje, stanowiące inspirację wielu jego później-

„Przyjaciele Barbary i Stanisława” spotkanie z Dariuszem Niebudkiem zatytułowane „Po karawale... czas na spotkanie”.

■ Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” przygotowała w Akademii Muzycznej koncert w cyklu „Szkice do opery”, w którym wykonane zostały fragmenty „Carmen” Georges’a Bizeta, którego wykonawcami byli: Anna Burucka (mezzosopran), Ewa Tracz (sopran), Vasył Grokholjsky (tenor), Stanisław Kierner (baryton) i Larisa Czaban (fortepian).

■ Z kolei w koncercie „Popołudnie z Gershwinem” IPiUM „Silesia”, który odbył się w Bi-

szych dzieł. Jedną z nich było kino, toteż na ry- sunkach można było zobaczyć m.in. przeniesio- nych wprost z ekranu Indian i kowboi oraz karykatury wcielających się w jego ulubione postaci aktorów. Oprócz stworzonych na pa- pierze bohaterów literackich popularnych powieści odwiedzający poznali również jego szkolnych kolegów, a także pierwsze „sceno- grafie” teatralne.

### Rok Juliusza Rogera

W styczniu Gliwice obchodziły 150. rocznicę śmierci zasłużonego dla ziemi gli- wickiej i Górnego Śląska: lekarza, spo- łeczniaka, folklorysty, entomologa – Juliusza Rogera. Urodzony w 1819 r. w Niederstot- zingen obok Ulm, w 1847 r. trafił na Gór- ny Śląsk w charakterze Królewskiego Rad- cy Sanitarnego. Szybko stał się człowiekiem cenionym nie tylko ze względu na swoją wiedzę, ale też z uwagi na wyjątkową ofiar- ność. Zainicjował budowę szpitala w Rudach Raciborskich, rozbudował i unowocześnił szpital klasztorny w Pilchowicach, pomagał w pracy sierocińca w miejscowości Lyski. Jego największym osiągnięciem było powo- łanie do życia szpitala dla kobiet w Rybniku. Owe światłe przedsięwzięcia dr Roger finansował ze składek społecznych oraz dzięki hojności przyjaciół z całej Europy. Był również zapalonym entomologiem, a ludo- we pieśni śląskie fascynowały go tak bardzo, że nauczył się języka polskiego, by móc je dokumentować i przechować w pamięci potomnych.

W późniejszych latach prowadził korespon- dencję z Pawłem Stalmachem, polskim publi- cystą i działaczem społecznym, oraz z Józefem Lompą, włączając do swej kolekcji niektóre z zebranych przez nich pieśni. Przy- jaźń łączyła go także z Augustem Friedrichem Hoffmannem von Fallersleben, autorem m.in. późniejszego niemieckiego hymnu narodowe- go, *Das Lied der Deutschen*.

Juliusz Roger zebrał ogółem 546 pieśni, w tym 294 z melodiami, które pogrupował w osobnych działach. W 1863 r. ukazał się zbiór pieśni pt. „Pieśni ludu polskiego w Gór- nym Szląsku z muzyką. Zebrał i wydał Juliusz Roger”.

Dr Juliusz Roger zmarł nagle 7 stycz- nia 1864 r. Został pochowany na cmentarzu



Fot. arch. Muzeum w Gliwicach

Dr Juliusz-Roger

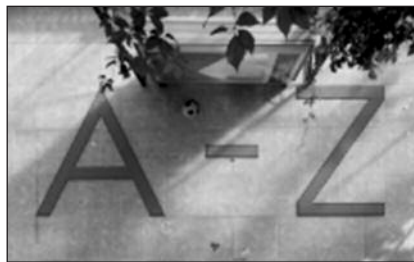
w Rudach, gdzie do dziś znajduje się jego grób, ufundowany przez księcia Wiktora I.

W ciągu 2015 roku Muzeum w Gliwicach będzie przypominać wyjątkową postać dr. Rogera, jego dokonania i pasje.

### „A-Z” Andrzeja Tobisa

CSW Kronika w Bytomiu oraz Fundacja Bęc Zmiana zapraszają na premierę książki Andrzeja Tobisa *A-Z. Słownik ilustrowany języka niemieckiego i polskiego*.

Po siedmiu latach lingwistyczno-wizualnej podróży Andrzeja Tobisa przez Polskę, zbiór *A-Z (Gabloty edukacyjne)* ukazał się nakładem Fundacji Bęc Zmiana i Instytutu Adama Mickiewicza w postaci polsko-niemiecko-angielskiej publikacji. Zawiera ona 100 fotogra- fii ilustrujących hasła słownika *Bildwörter- buch Deutsch und Polnisch*, wydanego w 1954 roku w Niemieckiej Republice Demokra- tycznej.



Tworząc swój projekt, Tobis przyjął nastę- pujące założenia: zdjęcia mogą być wykona- ne wyłącznie na terenie Polski; sfotografowa- ne sytuacje i obiekty nie są aranżowane ani cyfrowo montowane – muszą być odnalezio- ne; każde hasło w wersji niemieckiej i polskiej opatrzone jest numerem indeksu z oryginal- nego słownika; zdjęcia oraz umieszczone pod nim na białym pasku hasło stanowią in- tegralną całość.

Projekt Andrzeja Tobisa *A-Z (Gabloty edu- kacyjne)* miał swoją premierę wystawienni- cą w CSW Kronika w Bytomiu w 2007 ro- ku. Później Kronika prezentowała go na wystawach w Instytucie Polskim w Berli- nie w 2008 roku oraz w Instytucie Polskim w Düsseldorfie w 2009 roku. Obecnie część prac z cyklu *A-Z* można zobaczyć w ramach wystawy *Plica Polonica* w Kronice.

W ubiegłym roku w Kronice miał miejsce również premierowy pokaz nowego cyklu ma- larskiego Tobisa *Dowody rzeczowe*.

Andrzej Tobis to artysta wizualny, malarz, fotograf, pedagog. W wieku 20 lat przepro- wadził się do Katowic, gdzie odtąd z przerwa- mi mieszka do dziś. W 1995 roku ukończył Akademię Sztuk Pięknych, w której obecnie prowadzi jedną z dyplomujących pracowni malarstwa.

### Filmowa rozbiegówka w CSP

Centrum Scenografii Polskiej zaprasza do udziału w kolejnych spotkaniach poruszających różne aspekty przestrzeni filmowej oraz teatralnej. Rozpoczęła je prapremiera słuchowiska „Bestiariusz”, a następne to spotkanie

z Dorotą Roqueplo oraz projekcja filmu wskazanego przez charakteryzatorkę Ewę Drobiec

Podczas pierwszego spotkania uczestnicy bę- dą mieli okazję wysłuchać premiery audycji o naturze diabła – jej wielowymiarowości i wie- lowarstwowości. Dzięki zderzeniu prozy oraz wierszy Feliksa Netza (z tomiku „Trzy dni nie- śmiertelności”) z fragmentami Pisma Święte- go szatan przestawiony został nie tylko w kon- tekście wielkich historycznych wydarzeń, ale również w sytuacjach intymnych, prywat- nych – mając za tło indywidualne ludzkie tra- gedie lub po prostu chwile zwątpienia.

Dialogi i dźwięk nagrywano w istniejących przestrzeniach, takich jak bunkier w siedzi- bie Polskiego Radia Katowice przy ulicy Li- gonia czy bazylika św. Ludwika w Katowic- ach-Panewnikach, natomiast prace nad zarejestrowanym materiałem odbywały się w specjalnie zaaranżowanym, zbudowanym niemal od podstaw studiu mieszczącym się w siedzibie katowickiego radia. Na potrzeby słuchowiska muzykę skomponował Krzys- tof Kurek z zespołu „Thaw”, który wykonu- je ją w towarzystwie Józefa Skrzeka oraz żeń- skiego chóru. Dzięki nagraniu materiału w systemie 5.1, czyli z wykorzystaniem dźwięku przestrzennego utrwalonego oraz od- twarzanego na sześciu kanałach, odbiorca może znaleźć się w środku wydarzeń i poddać się magii słuchowiska, które mocą wyobraźni nie- postrzeżenie przekształca się w niezwykle spektakl.

Z kolei Dorota Roqueplo francuska kostiu- mografka pracująca na stałe w Polsce, autorka kostiumów do filmów „Miasto 44”, „Młyn i krzyż”, „Sala samobójców”, była wśród gości kolejnego spotkania, poświęconego specy- ficie kostiumu filmowego, a także jego roli w procesie kreowania postaci przez aktora. Zaproszeni goście, wśród których byli obec- ni reżyserka Magdalena Łazarkiewicz, Zofia Wichłacz, aktorka nagrodzona podczas 39. Festiwalu Filmowego w Gdyni za rolę Biedron- ki w „Mieście 44” oraz Adam Sikora, autor zdjęć m.in. do filmu „Essential Killing”, „Cztery noce z Anną”, „Młyn i krzyż”, mó- wili o trudnościach, jakie niesie ze sobą pra- ca nad filmem wojennym i megaprodukcja- mi, w których kostium nie może przykryć rozgrywającej się historii.

Natomiast podczas trzeciego spotkania można było zobaczyć film pt. *My favourite things* wybrany przez Ewę Drobiec, charak- teryzatorkę pracującą m.in. z Wojciechem Smarzewskim

Projekt realizowany w ramach przygotowań do III Festiwalu Nowej Scenografii, który od- będzie się w dniach 22-26 września 2015 roku.



biłotece Śląskiej, wystąpili: Karolina Wieczorek (so- pran), Maksymilian Gruchlik (klarnet), Jakub Cze- kierda (fortepian), Sebastian Gabryś (baryton) i Jo- anna Steczek (fortepian).

■ Utwory Piotra Czajkowskiego zaprezentowa- li Roksana Wardenga (mezzosopran) i Michał Szku- rienko (fortepian) podczas koncertu w MDK „Ko- szutka”.

■ W ostatni dzień lutego podczas koncertu „Bach i muzyka francuska na violę i klawesyn” w MDK „Ko- szutka” wystąpili Mark Caudle – wiolonczelista i gambista, znany angielskim wykonawcom od po- nad 30 lat oraz Marek Toporowski – klawesynista i or-

ganista, profesor klasy klawesyni i historycznych prak- tyk wykonawczych w Akademii Muzycznej w Kato- wicach.

■ Na koncert z cyklu „Muzyczne Poranki” pt. „Karnawalowe arie i duety” zapraszało Muzeum w Chorzowie.

■ Ukazał się XXV tom Rocznika Muzeum w Gli- wicach.

■ Z okazji pierwszej rocznicy śmierci ks. bpa Ta- deusza Szurmiana parafia ewangelicko-augsburska w Katowicach zapraszała do katedry Zmartwychsta- nia Pańskiego na koncert „Solus Christus” w wyko- naniu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

■ Związek Polskich Artystów Fotografików zapra- szał na wystawę fotografii Antoniego Kreisa pt. „Święci”.

■ W Muzeum w Chorzowie odbyło się spotkanie z cyklu „Granice historii – historia bez granic”: „Dandys w Warszawie. Polska w twórczości zachod- nych muzyków” – wykład poprowadził dr Jacek Ku- rek.

■ Muzeum Miejskie w Tychach zaprasza na pre- lekcję prof. zw. dr. hab. Ryszarda Kaczmarka „Ślą- zacy w Wehrmachcie”.

■ Muzeum Śląskie w Katowicach ogłosiło konkurs kompozytorski na hejnał i zawołanie Muzeum.

## Ratujmy muzeum w Bielsku-Białej!

Przy kilku stopniach poniżej zera Tadeusz Modrzejewski wychodzi ze swego Prywatnego Muzeum Literatury im. Władysława Reymonta, aby się zagrząć, bo w grubych, zatechłych murach jest zimniej niż na ulicy. Idzie wtedy do domu handlowego Klimczok. Tam ogrzewa zziębnięte, poskręcane reumatyzmem członki. Mija właśnie 26. zima, którą spędza w muzeum bez ogrzewania i ciepłej wody. Od pięciu lat do muzeum nie dociera prąd. Za dnia ciemno tam jak „u Murzyna”. Dobrzy ludzie czasem zawieszają na drzwiach reklamówkę ze świecami. Ostatnio dostał z firmy produkującej świeczki w Poznaniu paczkę, która wystarczyła mu na trzy miesiące.

Po godzinie „krioterapii” w muzeum musiałem się położyć na tydzień do łóżka z objawami infekcji górnych dróg oddechowych – nienawykły do dłuższego przebywania w zatechłym, zagrzybiałym, mroźnym pomieszczeniu.

Tadeusz Modrzejewski ekspozyty przygotowane własnoręcznie. Przepisuje i ilustruje książki W. Reymonta i innych polskich pisarzy. Muzealnikiem może się pochwalić już ósmą księgą pamiątkową z wpisami turystów ze wszystkich kontynentów. Ostatnio miał gości z Chin, Japonii, Maroka, Tajlandii, Malesji i Monte Carlo! Zwłaszcza poddani Jego Najjaśniejszej Wysokości księcia Monako Alberta II byli zdumieni losem muzealnika w najbardziej prężnie rozwijającym się kraju Współnoty w XXI wieku. Czyżby i w innych polskich metropoliach powiatowych kultuwanie wartości odbywało się przy świecach, w temperaturze minus 5 czy nawet 10 st. C? Czy to nie kapitalistyczna groteska?

Kustosz jest zadłużony. Miasto ścięga od niego czynsz za to, że w tych szczególnie zimnych murach może sobie popisać i oprowadzać gości, szerząc pamięć po polskim nobliście. Dług sięga ok. 10 tys. zł. Kilkaście lat temu władze miasta chciały go eksmitować za podobne opóźnienia płatnicze. Wsparty go jednak media, głównie radiowa „Trójka”. Co godzinę nadawano komunikat o datkach. Dzięki temu udało się uratować muzeum, bo – jak mawiał mistrz – w bez nadziei jest nadzieja.

Tadeusz Modrzejewski otrzymuje od podopiecznych domu dziecka życzenia świąteczne, do których dołączona jest zawsze symboliczna złotówka. Kustosz powiada, że jest warta więcej niż milion! Dlatego jeszcze mu się chce zabierać do kaligrafii i ilustrowania książek wybitnych polskich mistrzów słowa. Tacy ludzie przynoszą mu w sercach ciepło, a dobro wraca dobrem. Ostatnio na drodze dobrych ludzi pojawił się iranista Jakub Gajda. Poruszony jego losem wymyślił akcję „Ratujmy Muzeum Literatury w Bielsku-Białej”. Stworzył też profil akcji: Jakub Gajda powiada, że w ZGM grożą Tadeuszowi Krajowemu Rejestrem Długów oraz sądem. – Próbowaliśmy zrobić zbiórkę crowdfundingową na Polakpotrafi. pl, ale okazuje się, że na takie cele, jak splata długu nie można tam zbierać. Nie składamy jednak broni i wraz z żywiliowymi osobami staramy się zorganizować inną zbiórkę. Tymczasem zadłużenie Tacka rośnie, więc namawiam ludzi do wpłat na konto ZGM w Bielsku-Białej: BANK PEKAO S.A. 89 1240 4142 1111 0000 4825 9332 z tytułu: Tadeusz Modrzejewski Muzeum Literatury ul. Pankiewicza 1/1 43-300 Bielsko-Biała. Tyle Jakub Gajda, który uważa, że Tadeusz znaczy tyle dla Bielska-Białej, co Nikifor dla Krynicy. Ja nie siegam aż tak wysoko. Marzę, żeby dla władz miasta Tadeusz Modrzejewski znaczył tyle, co Maciej Korzym....

JAN PICHETA

## BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

### Gwiazdozbiór „zadymiarzy”

Od 23 lutego do 1 marca w Bielsku-Białej i Katowicach trwał XVII Lotos Jazz Festiwal – Bielska Zadymka Jazzowa. Gwiazdą gali w sali koncertowej NOSPR był Wayne Shorter, laureat tegorocznej nagrody Grammy, o którym się mówi, że Milesowi Davisowi zastąpił Johna Coltrane’a... W Katowicach zaprezentował projekt Wayne Shorter Symphonice. Muzykom zespołu towarzyszyli Esperanza Spalding i NOSPR pod dyr. Clarka Rundella. Zadymka zagościła w Katowicach po raz pierwszy. Nic jednak dziwnego, skoro miłośnicy muzyki pod Klimczokiem wciąż narzekają na brak w stolicy Beskidów dużej sali koncertowej z prawdziwego zdarzenia. Gospodarzem Gali Polskiego Jazzu w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej był Włodek Pawlik, a jego gośćmi Lora Szafran, Marek Bałata i Gary Guthman. Dla bielskiej publiczności wystąpili m.in. laureat dziesięciu nagród Grammy – Arturo Sandoval z sekstem, Nicholas Payton z Miles Electric Band oraz Soweto Kinch, Mydy Rabycat i wiele innych formacji i solistów z coraz wspanialszym młodym pokoleniem polskich jazzmanów. Świetnie koncertowali muzycy z Weezdob Collective, kwartetu Mateusza Pałki i Szymona Miki oraz trio Kajetana Borowskiego. Zadymiał także z okazji swej 30-letniej już działalności zespół Walk Away. Brązowego Anioła Jazzowego autorstwa Lidii Sztwiertni odebrał tym razem Włodek Pawlik. Impreza zakończyła się jak zwykle w pobliżu gwiazd astronomicznych – w schronisku na Szydźnielni.

### Niewyrzeźbione pasje

8 stycznia pożegnano w Jeleśni Adama Wróbla. Miał lat 70. Był rzeźbiarzem, o czym raczej nie wiedzieli ludzie władzy i biznesu, z którymi spotykał się na co dzień – jako wójt Jeleśni (1990-1994), a następnie wieloletni przewodniczący Międzygminnego Związku ds. Ekologii w Żywcu. Był wyrazistym, bezkompromisowym społecznikiem. Miał wobec siebie i innych sporo dystansu. Mówił z sarkazmem, że

na Żywiecczyźnie ludzie przede wszystkim walczą „to swe”. W latach 90. minionego wieku i początkach XXI stulecia był wydawcą kilku czasopism regionalnych i lokalnych, do których pisywał felietony. Patronował m.in. „Samorządowej” – miesięcznikowi powiatu żywieckiego. Dbał także o rozwój kultury muzycznej na Żywiecczyźnie. Sporo zawdzięcza mu – jako organizatorowi i dobrodziejowi – żywiecka szkoła muzyczna. Był dumny z sukcesów edukacyjnych, artystycznych i inwestycyjnych placówki. Cieszył się, że wreszcie na emeryturze będzie mógł oddać się swej rzeźbiarskiej pasji, którą – jak zwykle zbyt szybko – przerwała śmierć.

### Projektowanie możliwości

Bardzo obfity był program obchodów dziesięciolecia Zamku Cieszyń (początkowo Śląskiego Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości). Brylowała jak zwykle „Pani na Zamku” Ewa Gołębiowska, której instytucja „łączy ludzi, środowiska i pomysły”. – Nie mamy gotowych recept i odpowiedzi na wiele pytań, ale jedno jest pewne: projektujemy możliwości – stwierdziła Ewa Gołębiowska. Świętowano od 27 lutego do 1 marca. Otwierano ciekawe wystawy, m.in. „Dizajn tuStela” artystów wzornictwa związanych ze Śląskiem Cieszyńskim czy „Projektowanie w drodze/Design na cestę” – Jacka Mrowczyka i Pavla Nogi. Odbyło się mnóstwo dyskusji z twórcami, przedsiębiorcami czy organizatorami projektów. Po zabytkach cieszyńskiego moderny oprowadała prof. Irma Kozina, a po wytartym z polskiej pamięci Zaozliu Jarosław Jot-Drużycki. Warsztaty prowadzili Karol Śliwka, Karol Franek, Bogdan Kosak, Agnieszka Mazur, Tomasz i Małgorzata Rygalik. Z uwagi na prestiż śląskiej placówki w środowisku polskich artystów i także przedsiębiorców – dziesiąte urodziny Zamku Cieszyń były świętem polskiego dizajnu.



Wycieczka na Zaozliu w okazji 10-lecia Zamku Cieszyń. Jarosław Jot-Drużycki nad grobami na cmentarzu w Stonawie, w których leżą obrońcy polskości zamordowani przez żołnierzy armii czechosłowackiej w 1919 r.

Fot. Beata Tyrna

### Jednym zdaniem

■ Od 7 do 14 lutego w MDK w Czechowicach-Dziedzicach odbył się Karnawałowy Ogródek Teatralny.

■ 14 lutego na deskach Teatru Polskiego odbyła się tzw. repremiera spektaklu „Hotel Nowy Świat” w reżyserii Magdaleny Piekorz i choreografii Jakuba Lewandowskiego.

■ 16 lutego w bielskiej ATH zorganizowano konferencję naukową pn. „Bielsko-Biała: historia – kultura – sztuka”.

■ Bielska galeria B&B prezentowała w lutym zdjęcia Leszka Fidusiewicza i Katarzyny Łaty-Wrony.

■ Zespół Państwowych Szkół Muzycznych I i II st. w Bielsku-Białej zorganizował 20 lutego I Ogólnopolski Konkurs Kontrabasowy im. Bonawentury Nancki.

■ 21 lutego w czechowickim MDK odbyła się promocja płyty „Love Revisited” wokalisty Wojciecha Myrczka i pianisty Pawła Tomaszewskiego.

■ Autorka książki „Sprawa Stanisława Gustawa Jastera ps. Hel” Daria Czarnecka 23 lutego spotkała się z czytelnikami w Książnicy Beskidzkiej.

■ Od 27 lutego do 5 marca DKF „Fafik” i kino „Pias” zorganizowały XXII Cieszyńskie Prezentacje Filmowe.

■ 28 lutego w Galerii Szarej w Cieszynie odbył się wernisaż Janusza Łukowicza pt. „Prace na papierze”.

■ Do 30 kwietnia 2015 r. można zgłaszać prace na konkurs XLII Biennale Malarstwa „Bielska Jesień”, który organizuje Galeria Bielska BWA.



## Spotkania z monodramem

W programie wydarzeń OPK „Gaude Mater” nieustannie pojawiają się nowe propozycje. Odbijają się wernisaże, koncerty, spotkania miłośników opery, członków stowarzyszeń poetyckich, kolekcjonerów czy miłośników kina religijnego, natomiast na scenie coraz częściej prezentowane są monodramy przygotowane przez aktorów związanych z naszym miastem. Zaczęło się chyba od „Eksperymentu” Hanny Zbryt-Giewont w maju zeszłego roku. Na przełomie stycznia i lutego wystąpili Andrzej Jurczyński z fragmentami „Pana Tadeusza” oraz Paula Kwietniewska z „Kaliną 12”.

Aktorzy reprezentujący różne pokolenia postanowili zapoznać częstochowian ze swoim warsztatem oraz wrażliwością. Andrzej Jurczyński pracował w Teatrze im. Adama Mickiewicza w latach 1977–1987, w okresie 1982–1984 był dyrektorem. Dla młodzieży przygotował „Spór o zamek, czyli ostatni zajazd na Litwie”. Wybór odbiorcy zdecydował o kompozycji przedstawienia: najpierw krótka biografia Mickiewicza, geneza epepej, a następnie jej fragmenty – „Inwokacja”, opowieść Gerwazego o historii rodu Horeszków, klótnia podczas wieczerzy i opis bitwy. Jurczyński wcielił się w wiele postaci; jest kolejno Mickiewiczem, narratorem, Hrabią, Gerwazym, Protazym, Sędzią, Bernardynem, Podkomorzym, Plutem, Rykowem..., i każdego z nich wyposaża w nieco inny sposób mówienia (uwzględnia intonację, akcent, tempo...), gest i mimikę. Ocierając się o szarzę, ujawnia komiczne pokłady epepej narodowej.

Deklamacja została uzupełniona elementami ruchu scenicznego, kostiumu, kilkoma rekwizytami, a także muzyką, o którą zadbał Szymon Janikowski; to utwory Chopina, a także dźwiękowe elementy świata przedstawionego – trąbki myśliwych czy zapowiedź burzy przechodzącej nad Sopicowem.

Jurczyński mówi niezwykle szybko; być może, przyświeca mu cel dydaktyczny, by zapoznać słuchaczy z jak najwięcej fragmentem epepej, albo naśladując wykonawców rapu, zaadaptować ją do współczesności. W jego wykonaniu trochę ginie trzynastozgłoskowiec, a tekst przekształca się w mowę potoczną. Mimo to, a może właśnie dlatego, Mickiewicz triumfuje.

Natomiast Paula Kwietniewska, absolwentka ZSM w Częstochowie (klasa fletu poprzecznego), także niemal przez 10 lat współpracowała z częstochowskim teatrem, została nagrodzona m.in. na XI Ogólnopolskim Festiwalu Komedi Talia w Tarnowie za rolę Gerdy w „Alibi” Łukasza Wylęzałka. Swoją monodram zbudowała na biografii Kaliny Jędrusik i postanowiła przypomnieć domowe i codzienne życie artystki-częstochowianki, która martwi się o domowy budżet i dlatego decyduje się na objazd po kraju ze swoimi piosenkami. Z tego również powodu wspomina ważnych mężczyzn w jej życiu – jest więc ojciec Henryk, mąż Stanisław, starsi panowie (u których staje się niemal etatowym dosmuczaczem)...

Kwietniewska doskonale śpiewa, ale nieco gorzej radzi sobie z zadaniem aktorskim. Trochę jakby bała się sceny, wybiera kulisy, pozostawiając odbiorcę z dość ubogą scenografią. I choć powołuje się przy tym na monolog Jędrusik wygłaszane spoza kadru w „Lekarstwie na miłość”, do którego wyraźnie nawijał początek, jej monodram był przede wszystkim recitale, o czym Kwietniewska i Michał Ciesielski marzyli od kilku lat. Aktorka nie naśladowała Jędrusik ani głosem, ani charakterystyką, a jednak nieco zmodernizowane piosenki, m.in. „Kalinowe noce, kalinowe dni, Bo we mnie jest sex, Ciepła wdówka, Ja się boje sama spać, Ja nie chcę spać czy Utwierdź mnie”, zabrzmiały naprawdę dobrze i przekonująco.

JOANNA KOTKOWSKA

# CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

## Współczesne pejzaże

W Sali Śląskiej Miejskiej Galerii Sztuki do 15 lutego można było oglądać prace nadesłane na II Międzynarodowy Konkurs Artystyczny *Pejzaż współczesny* Częstochowa 2014. Pomysł wyszedł od profesor Krystyny Szwałkowskiej, a organizacją zajęła się Okręg Częstochowski Związku Polskich Artystów Plastyków. Jury w składzie: U. Lyko-Katus, E. Idczak-Lydzba, K. Szwałkowska, W. Kulej, C. Tarczyński oraz R. Strent (przewodniczący), zakwalifikowało na wystawę 109 prac 89 artystów; zagranicę reprezentowali: Masoud Ghafaru (Iran), Louis Spoelstra (Holandia).

Grand Prix otrzymała praca *Agglomercja XXVIII* Juliusza Kosina, Nagrodę Dyrektora MGS – *Przestrzenie ujawnione XXII* Pawła Sloty, Nagrodę Prezesa Związku Polskich Artystów Plastyków Okręg Częstochowski – *Łagodne światło pory gwałtownych burz* Jerzego Pietruczka. Poza tym wyróżnienia przyznano: Justynie Smoleń za *Pracę 2*, Monstfurovi za *Uwaga gaz*, Łukaszowi Gierlakowi za *Zbliżenie III* oraz Joannie Pałys za *Element modernistyczny*.

Jedynie kilka pokazanych na wystawie prac było tradycyjnym pejzażem, a ich autorzy za pomocą rozmaitych technik (m.in. druku cyfrowego) próbowali utrwalić rzeczywistość. Taki cel przyświecał chyba Annie Świtalskiej-Jończyk, Agnieszce Miturze, Jakubowi Podłowskiemu. Większość natomiast była głosem autorów w dyskusji na temat procesu widzenia i obecnych w nim elementów (światła, rozmaitych zapór), artystycznego utrwalania, a nawet procesu myślowego (*To już wszystkie myśli na ten temat* Doroty Kulickiej). Ich autorzy igrali tradycją mimesis – *Lustro* Krzysztofa Bryły, tytułem – *Zapis przestrzeni horyzontalnej* Andrzeja Desperaka, *Szorstkie przestrzenie* Marii Konopackiej czy *Granice działalności* Ewy Głowackiej, oraz zastosowaną techniką, gdy np. tkanina artystyczna naśladowała dziecięcą wrażliwość. Próbowali także utrwalić współczesne przestrzenie, np. szklane blokowisko przypominające jakąś futurologiczną wizję pokazane z wykorzystaniem tradycyjnej perspektywy centralnej (Iwona Gabrys *Blok, blok, blok*), ale przede wszystkim interesowały ich ślady, (re) konstruowanie struktury czy poszukiwanie niewidzialnego, niedostrzeganego, ukrytego za horyzontem czy zapomnianego.

W ten sposób zamiast przeglądu miejsc godnych pokazania powstał raczej zapis stanu współczesnej dyskusji o artystycznych możliwościach pejzażu wyrażonej w wielu technikach, czasami dość rzadkich – węgiel, akryl na papierze fotograficznym, emalia na blaszce czy quilling (odmiana papieroplastyki).

Jednym zdaniem

■ Wystąpili: Filharmonia Częstochowska – Andrzej Piaseczny, Maciej Maleńczuk, Grzegorz Turnau (z Dorotą Miśkiewicz); TTP – Tune; Rura: LemOn; MDK – Alicja Majewska i Włodzimierz Korcz, An Dreo & Karina; Bazylika Jasnogórska – Trebunie-Tutki; klub Five O'Clock – Wojciech Kamiński; Disco Ray – Iwan Komarenko.  
■ Wystawy: OPK „Gaude Mater” – *Zbroja* Marzeny Zacharewicz; Galeria Art-Foto w ROK-u – malarstwo Cezarego Sowy, wystawa poplenerowa *Albania 2014*; CPM – rysunki Janka Kozy; MGS – *Za oknem* Antoniny Janus.

## Fizyka w służbie sztuki

W Sali Gobelinowej wystawa *I stało się światło. Niezwykła historia zwykłej fali elektromagnetycznej* wpisala się w obchody Międzynarodowego Roku Światła. Na początku XX wieku tajemnica światła została bowiem zadekretowana i uznano wówczas, że jest to jednocześnie fala i cząsteczka (dualizm korpuskarno-falowy). Wystawa przypominała historię fali elektromagnetycznej, ale również prezentowała sposób wykorzystania odkryć naukowych o świetle – opowiadała o teleportacji możliwej dzięki przekroczeniu prędkości światła, zjawisku podczerwieni czy polaryzacji, dawała szansę rozszczepienia światła, ale przede wszystkim przypominała historię związków fizyki i sztuki.

Interaktywna wystawa została przygotowana przez Instytut Fizyki UJ w Krakowie (komisarz Ewa Kądziaława-Major oraz Jan Major, doktoranci UJ) oraz Instytut Fizyki AJD (działania edukacyjne). Oczywiście, wystawę można było również zwiedzać indywidualnie. Na ścianach znajdowały się bowiem nie tylko szczegółowe informacje o kolejnych zjawiskach, ale również polecenia – *wejdź i zobacz...*

Oczywiście były też filmy, hologramy, projekty multimedialne, czyli sztuka wykorzystująca fizyczne właściwości światła, a także lampy o niezwykłym dizajnie. Swoje prace pokazali: Antoni Porczak, Jerzy Olek, Kuba Garść, Jakub Jagiełło, Mateusz Sołtyś, Justyna Rybak, Paulina Ortenburger, Dominik Lejman, studenci ASP w Warszawie i PWSTiF w Łodzi. Kuratorką części artystycznej była Barbara Major.

## Fenomen kobiecości

W Sali Poplenerowej do 15 lutego można było zajrzeć na wystawę *Nomen Woman* przygotowaną przez Łaźnię Radomski Klub Srodowisk Twórczych i Galerii, Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach oraz MGS w Częstochowie. Zaproszeni artyści – m.in. Barbara Bańda, Izabella Gustowska, Ewa Kuryluk, Aldona Mickiewicz, Anna Poduszynska, Leszek Sobocki, Paweł Susid, Dariusz Vasina czy Jerzy Waltoś – próbowali zdefiniować kobiecość oraz kulturowe archetypy, stojące u podstaw narracji o niej. Właściwie biblijną Zuzannę, Judytę, ale również bohaterki literackie – Szekspirowską Ofelię, kobiety z portretów europejskich mistrzów malarstwa, a także ikony świętych.

Siłą tej wystawy była różnorodność. Artysty wywodzili się z rozmaitych środowisk, a ich prace prezentowały różne techniki, pojawił się np. haft, kiedyś przecież jednoznacznie uznany za jedną z głównych aktywności kobiet w czasie wolnym. Wystawa nie stawiała sobie za cel zdefiniowania „kobiecości”, ale raczej zaproszenia do dyskusji – mężczyźni analizowali wyobrażenia kulturowe, natomiast kobiety poszukiwały jednocześnie własnej tożsamości. Zastanawiano się, co tworzy kobiecość: cielesność (Tadeusz Boruta podjął temat masektoimii w *Trzech okresach z życia kobiety*), codzienne rytuały, otaczające przedmioty, typowe przestrzenie, a może wzorce utrwalane w kolejnych (auto) portretach.

■ W Filharmonii Częstochowskiej *Msza kredo* Ariela Ramireza w wykonaniu zespołu Sierira Manta oraz Collegium Cantorum, pod dyrekcją Janusza Siadłaka.

■ W OPK Gaude Mater spotkanie z księżką poetycką Marcina Zagady *Cały w słońcu* oraz promocja tomiku Barbary Strzelbickiej *Czułość*.

■ Z okazji rocznicy wyzwolenia Częstochowy w Ratuszu zaprezentowano dokumentalny zapis wejścia Armii Czerwonej – 3 Armii Pancerniej Gwardyjskiej pod dowództwem gen. pułk. Pawła Szymionowicza Rybalki oraz 32 fotografie wyzwolonej Częstochowy (wiosna 1945 – czerwiec 1946).

## Szczekanie ostatniego psa

„Prawy nawet bydlątka w miłości piastuje, lecz dusza okrutnika – serca w nich nie czuje” tym cytatem z Księgi Przysłów Salomonowych rozpoczyna swoją najnowszą publikację Harry Duda. Tomik „Szczekanie ostatniego psa – wykład poetycki w obronie zwierząt i przyrody” ukazał się nakładem Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Emanuela Smolki w Opolu. Autor, poeta i publicysta, wieloletni działacz społeczny w dziedzinie ochrony przyrody, wielokrotnie podejmował działania na rzecz ekologii i medycyny – był pomysłodawcą i organizatorem tzw. plenerów poetyckich w parkach narodowych, współpracownikiem profesora medycyny Juliana Aleksandrowicza z Krakowa i współautorem jego książki „U progu medycyny jutra” (1988). Harry Duda wielokrotnie występował w obronie zwierząt zarówno w liryce, artykułach jak i na antenie radiowej. Przywołany w tytule pies, występujący wielokrotnie jako bohater liryczny – według autora tomiku – symbolizuje wszystkie inne zwierzęta i świat przyrody. W prologu do wierszy poeta przypomina, że społeczeństwa, które nie chronią słabszych (m.in. dzieci, starców, zwierząt) są społeczeństwami współczesnych barbarzyńców, niezależnie od barwy politycznej danego kraju i form sprawowania rządów. W poszczególnych wierszach autor ukazuje bezmiar cierpień zadawanych zwierzętom przez zwyrodniałego człowieka, uznającego je za stworzenia niższe, gorsze, pozbawione wartości, które można bezkarnie otaczać pogardą, uznając za synonim czegoś co jest podłe, brudne, złe, zasługujące na piętno obelg i najgorszych porównań: zwierzę nie człowiek, bydlak, łże jak pies, świnia, zbydlęcenie, zezwierzęcenie. Przypomina jednocześnie czytelnikowi, że w wymiarze etycznym zwierzęta są zawsze bez winy w przeciwieństwie do człowieka. Pośród stref Amazonia jest krainą czystą z kart Genesis, delfin autochtonem prawdziwym oceanu, zaś birkut o świcie rozpościerający skrzydła godłem Chrobrego, a pszczoły nianki w mateczniku ula larwy piastują. Kot wdrujący tylko sobie znanymi ścieżkami nosi tytuł podczesnego nocy, a wierny pies godny jest miana jednego z najbardziej udanych dzieł Stwórcy. Dla poety „bracia mniejsi” Biedaczyni z Asyżu stanowią rzeczywistą wartość duchową a nie jedynie skrót myślowy powielany w słowotokach. Dlatego Harry Duda autentycznie wierzy ze zwierzętami, dając liryczne świadectwo bezmiaru okrucieństwa ludzi (albo bestii), żywcom mordujących zwierzęta dla wyszukanych dań i futer, albo do zaspokojenia zbrodniczych skłonności w różnych kręgach kulturowych, religijnych i na różnych kontynentach. Okrucieństw popelnianych na zwierzętach nie musimy jednak poszukiwać w odległych kręgach globu i wśród nacji obcych. Autor „Szczekania ostatniego psa” w zapisach lirycznych przypomina hantebne czyny rodzimych młodych zwyrodniałców, którzy w lipcu 2008 r. dla zabawy żywcem spalili psie szczenię. Sceny tego barbarzyństwa trafiły do Internetu, pokazywane również były przez stacje telewizyjne, które poeta wprost nazywa „lajdackimi”. Stąd wiersz „Sezon polowań na fokki” opisujący masowy mord u wybrzeży Kanady, popelniony na fokach odbieranych żywcem ze skóry, autor kończy wierszami wolażącymi o pomstę: Zmiluj się, Panie, nad fokami / ...uratuj, Panie, wszystkie psy bez winy, ale nie lituj się sercu kamiennemu. / wytrać nas. Wykład poetycki w obronie zwierząt Harry’ego Dudy jest ważnym głosem wolażącemu do sumień ludzi, bo skoro nie zachowają oni szacunku do „braci mniejszych” zapewne również okrutni będą wobec swoich bliźnich. Epilog do wierszy stanowi przywołanie zapisów Światowej Deklaracji Praw Zwierzęcia, uchwalonej przez UNESCO w 1978 r. W artykule 2 czytamy: Każde zwierzę ma prawo oczekiwać od człowieka poszanowania, opieki i ochrony.

JANUSZ WÓJCIK

## OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

### Chiński Nowy Rok

W opolskiej hali widowiskowej Dom-Expo odbyły się uroczyste obchody Chińskiego Nowego Roku, najważniejszego święta w tradycyjnym kalendarzu chińskim. Impreza już po raz siódmy została zorganizowana przez Politechnikę Opolską przy współudziale Centrum Współpracy Polska-Chiny „Instytut Konfucjusza” oraz władz samorządowych miasta i regionu. Artyści z Chin zdążyli już przyzwyczaić opolską publiczność do bardzo wysokiego poziomu występów. W poprzednich latach na scenach Filharmonii Opolskiej i Teatru im. Jana Kochanowskiego publiczność zachwycały występy zespołów tanecznych (bajeczne kolorowe kostiumy) oraz akrobatów i żonglerów, prezentujących numery na najwyższym światowym poziomie. Program tegorocznego koncertu obejmował przedstawienie w wykonaniu interdyscyplinarnej grupy artystycznej z szanghajskiego konserwatorium i akademii teatralnej. Chińscy artyści zaprezentowali m.in. tradycyjne występy instrumentalno-wokalne, pokazy tańca nowoczesnego i popisy iluzjonistyczne, akrobacje gimnastyczne i żonglerkę, a także wywodzącą się z seczuańskiej opery, „zmianę twarzy”. Widowisko umożliwiło wybrać się w ekscytującą podróż po tajemniczym i magicznym Szanghaju i poznać po raz kolejny niezwykle bogatego kulturowo Państwa Środka. Według horoskopu chińskiego rok 2015 będzie upływał pod znakiem owcy, symbolizującej piękno, czystość i sprawiedliwość. Obchody Chińskiego Nowego Roku w Opolu co roku są zwieńczeniem bogatej i różnorodnej współpracy polsko-chińskiej, której liderem jest Politechnika Opolska kierowana przez jej rektora prof. Marka Tukien-dorfa.

### Święto Uniwersytetu Opolskiego

Najważniejszym akcentem tegorocznego święta opolskiej uczelni (z okazji 21. rocznicy utworzenia Uniwersytetu Opolskiego) było nadanie tytułu doktora *honoris causa* profesorowi Franciszkowi Gruczy, wybitnemu germaniście związanemu z Uniwersytetem Warszawskim. Rektor UO prof. dr hab. Stanisław Sławomir Nicieja podkreślił niezwykle bogaty dorobek uczonego, zwłaszcza jego nieoceniony wkład w rozwój glottodydaktyki, podejmowanie problematyki polsko-niemieckiej koegzystencji kulturowej. Następnie przebieg przewodu doktorskiego oraz sylwetkę laureatusa przedstawił dr hab. Andrzej

Ciuk, dziekan Wydziału Filologicznego UO, mowę pochwalną wygłosiła zaś dr hab. Maria Katarzyna Lasatowicz. Prof. Grucza dołączył do grona wybitnych osobistości, które wyróżniono przed laty tytułami doktorów honorowych (byli wśród nich m.in. Jan Paweł II, Wojciech Kilar, Tadeusz Różewicz, Zbigniew Religa, Władysław Bartoszewski, Dorota Simonides). Uroczystość nadania tytułu uświetnił Chór Akademicki Uniwersytetu Opolskiego pod dyrekcją dr Elżbiety Trylnik oraz liczne grono znakomitych gości reprezentujących najważniejsze środowiska życia społeczno-kulturalnego województwa opolskiego. Po zakończeniu podniosłej ceremonii obchody święta uniwersytetu przeniosły się do Studenckiego Centrum Kultury, gdzie wysłuchano koncertu opolskich wokalistów, absolwentów uczelni. Jarosław Wasik, Anna Piechurska, Gabriela Machaj, Barbara Beuth, Łukasz Szuba i Michał Bober zaśpiewali w nowych aranżacjach przeboje z repertuaru gwiazd opolskiego Festiwalu Piosenki Polskiej m.in. Anny Jantar, Marka Grechuty, Czesława Niemena, Jonasza Kofty (trzej ostatni mają swoje pomniki na Wzgórzu Uniwersyteckim w Opolu). Piosenkarzom towarzyszył zespół instrumentalistów złożony ze studentów uniwersytetu.

### Dziadek z Wehrmachtu

W Muzeum Śląska Opolskiego zaprezentowano wystawę „Dziadek z Wehrmachtu. Doświadczenie zapisane w pamięci”, przygotowaną przez Stowarzyszenie Genius Loci z Rudy Śląskiej wspólnie z gliwickim Domem Współpracy Polsko-Niemieckiej. Wystawa jest efektem projektu edukacyjno-dokumentacyjnego, podczas którego zebrano relacje 48 osób z Górnego Śląska, Pomorza, Warmii i Mazur. Większość z nich stanowili mężczyźni, wcieleni do Wehrmachtu, głównie szeregowi żołnierze. Organizatorzy zastrzegli, że nie jest to wystawa o Wehrmachcie, tylko próba pokazania (przy krytycznej opinii o tym, czym był Wehrmacht) doświadczeń jakie zapisały się w pamięci zwykłych ludzi. Tak, aby nie oceniając ani nie wartościując, udokumentować losy byłych żołnierzy wcielonych do niemieckiego wojska i porozmawiać z wieloma żyjącymi w Polsce, którzy niegdyś nosili niemiecki mundur. Na wystawie zgromadzono zdjęcia, pamiętki i dokumenty, pozwalające ukazać na szerokim tle historycznym i społecznym, zapisy wspomnień świadków (dźwiękowe i filmowe). Podczas II wojny światowej w niemieckim wojsku służyło blisko 500 tys. osób z polskich obszarów wcielonych do III Rzeszy („Polacy w Wehrmachcie” Ryszard Kaczmarek), a także setki tysięcy przedwojennych obywateli Niemiec ze Śląska, Prus Wschodnich i Pomorza Gdańskiego, którzy po zakończeniu II wojny światowej znaleźli się w granicach państwa polskiego. Na Śląsku Opolskim jednym z najtragiczniejszych świadectw tamtych wydarzeń są losy rodziny Franciszka Myśliwca, polskiego działacza z Izbicka.

Jednym zdaniem

■ Dr Magdalena Przysiężna-Pizarska z Zakładu Archeologii Instytutu Historii Uniwersytetu Opolskiego wystąpiła z wykładem „Magia i czary. Kult przodków na Śląsku” w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu w ramach „Śląskiego Forum Krajoznawczego”.

■ Wystawę „Kobiety na zakręcie. W cieniu historii” ukazującą kobiety zaangażowane w walkę niepodległościową, działalność polityczną, naukową i kulturalną zaprezentowano w opolskiej siedzibie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych.

■ Czytelnicy i miłośnicy kina, poznali najnowszą publikację poświęconą Krzysztofowi Kieślow-

skiemu, podczas spotkania w MBP w Opolu z ks. prof. Markiem Lisem, teologiem i filmoznawcą, autorem książki „Kieślowski czyta Dekalog”.

■ Galeria Sztuki Współczesnej w Opolu w ramach cyklu poświęconego mistrzom sztuki współczesnej, przygotowała ekspozycję poświęconą twórczości Jerzego Beresia, znakomitego rzeźbiarza i performera.

■ Do Urzędu Miasta Opola wpłynęło pięć ofert na przygotowanie wystawy stałej w Muzeum Polskiej Piosenki w formie multimedialnej, która ma powstać w ciągu pół roku od wyłonienia wykonawcy, na jej realizację w budżecie miasta zarezerwowano kwotę 8 mln złotych.

## Teatr niezbędny

W potoku nie milknących (i słusznie!) zachwyków na temat dumy regionu (a Katowic szczególnie) czyli nowej siedziby NOSPR, pochwał, które zbierają Filharmonia Śląska po remoncie czy przygotowywane do uroczystej inauguracji Muzeum Śląskie jakoś bez wielkich emocji przemknęła druzgocąca informacja o kłopotach finansowych Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie. Można domyślać się tylko, że nikt nie jest w stanie uwierzyć, aby komukolwiek zaświtała myśl o zamknięciu tej niezwykle płacówka, dzieła Jana Dormana. Ani o tym, czym jest teatr w procesie edukacyjnym każdego dziecka, ani o tym, czym jest ten teatr dla mieszkańców regionu, nawet nie wypada przypominać. Od 1945 roku kolejne bożym pokolenia Zagłębiaków swoją edukację teatralną właśnie tam zaczynały. To nie jest jednak wyłącznie teatr Zagłębia. Województwo śląskie liczy obecnie 4 593 358 mieszkańców (dane z 30.06. 2014). Do dyspozycji maluchów pozostają zaledwie trzy teatry: „Baniałuka” w Bielsku-Białej, „Ateneum” w Katowicach i Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie. Nie ma więc wątpliwości, że każda z tych scen powinna być dopieszczana, pielęgnowana i otoczona wyjątkową opieką, z myślą także o przyszłościowej frekwencji w teatrach dramatycznych.

Kiedy Jan Dorman zakładał w 1945 r. Międzyszkolny Teatr Dzieci, wyobrażał sobie, że Sosnowiec powita jego inicjatywę z otwartymi ramionami. Pewnie tak było, zabrakło jednak odpowiedniego lokalu. Pierwsze przedstawienie, legendarne „Malowane dzbanki” miały swoją premierę w Teatrze Zagłębia. Wkrótce z międzyszkolnego teatru awansował do rangi Eksperymentalnego Teatru Dzieci i otrzymał wówczas siedzibę w domu Związku Zawodowego Górników przy ul. Żytniej w Sosnowcu, była to jednak scena tymczasowa i po kolejnych latach tułaczki, znalazł przytulisko w budynku dawnego domu parafialnego w Będzinie. Rok później, w 1951 roku zespół zyskał rangę Teatru Dzieci Zagłębia. Dlaczego wracam do tej historii? Ponieważ powiało ogromnym smutkiem. Upór, determinacja a przede wszystkim niebawoma miłość do dzieci sprawiła, że starania Jana Dormana zakończyły się sukcesem, kuźnia utalentowanych dzieci i młodzieży zaczęła swoje dzieło. Kiedy zarówno wóldarze Będzina jak i Starostwo Powiatowe nie chronią jednego z najcenniejszych obiektów, dumy miasta, wzytówki równie wzorcowej jak Królewski Zamek czy Pałac Mieroszewskich rodzi się pytanie, czy dzieci chcą, czy też muszą spędzać czas przed komputerami, czy przypadkiem owe technologiczne wynalazki nie są sprzyjającym argumentem, uzasadniającym cięcia dotacji, szczególnie w kulturze i edukacji. Nie wiem, czy ciężar utrzymania jedynej zagłębiowskiej sceny dla dzieci powinien spoczywać wyłącznie na barkach Będzina. Wiem natomiast, że polityka takich oszczędności nie prowadzi do niczego dobrego. Przywołując coraz częściej słowa Jana Zamojskiego: Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie zapominamy, że doradca Zygmunta Augusta i Stefana Batorego mówił dalej... Nadto przekonany jestem, że tylko edukacja publiczna zgodnych i dobrych robi obywateli. Wielki humanista, filolog i mecenas nie przypuszczał chyba, że po ponad 400 latach wciąż trzeba będzie te słowa przypominać.

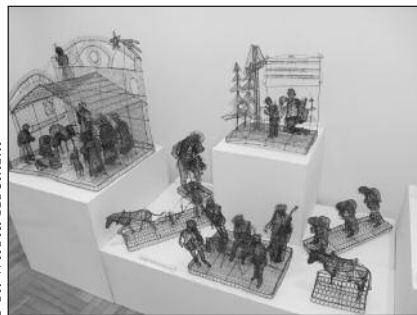
MARIA SZTUKA

# ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY



## Wyczarowane z drutu

Zdawać by się mogło, że temu niezbyt szlachetnemu, by nie powiedzieć pospolitemu, materiałowi, jakim jest drut nie przystoi gościć w muzealnych salach. Wystawa zatytułowana „Dajcie garnki podrutować”, której wernisaż odbył się 13 lutego w Muzeum w Sosnowcu całkowicie tym wyobrażeniem zaprzecza. Ekspozycja przywędrowała z Povażskiego Muzeum w Żilinie i obrazują narodowe rzemiosło ludowe Słowaków – druciarstwo. Warto zobaczyć jak drut, który kiedyś służył słowackim chłopom wyłącznie do naprawy i wzmacniania naczyń ceramicznych, stał się źródłem inspiracji artystycznych. Początkowo wymyślne kłatki dla ptaków, kagańce dla bydła, sita, czerpaki przeobraziły się w dzieła artystyczne, małe rzeźby zwierząt, wręcz koronkowo utkane koguty (tych na wystawie jest chyba najwięcej) później scenki z życia codziennego, ozdoby świąteczne a nawet zaskakujące pomysłowością okazjonalne ozdoby, w sumie ponad 400 ekspozatów.



Fot. Witold Kociński

Gościnną wystawą to efekt wieloletniej współpracy między muzeami w Sosnowcu i w Żilinie. Nie tak dawno mogliśmy oglądać „Dzieje miasta Żiliny” i „Zamek Budatin”, Słowacy natomiast dzięki wystawom takim jak m.in. „Sosnowiec wczoraj i dziś” czy „Trójkąt Trzech Cesarzy na dawnej widokówce” poznali historię grodu nad Przemysły i jego okolice.

## Teatroteka

W 2015 roku mija dwieście pięćdziesiąta rocznica otwarcia pierwszego w Polsce teatru publicznego. W scenariuszu uroczystych obchodów znalazła się między innymi Teatroteka czyli prezentacja ekranizacji teatralnych, które powstały w ramach projektu realizowa-

nego przez Wytwórnę Filmów Dokumentalnych i Fabularnych. Ekranizacje te tworzone przez młodych, często debiutujących twórców, przy wsparciu technologii i infrastruktury filmowej, pozwoliły na realizację ciekawych, nowatorskich utworów.

Idea projektu jest wykorzystanie potencjału technologii filmowej do ekranizacji najbardziej wartościowych osiągnięć „młodej” polskiej dramaturgii teatralnej.

Wśród realizacji znalazły się także prace dojrzałych reżyserów, którzy nie mieli dotąd możliwości stworzenia własnego dzieła audiowizualnego. Wybrane produkcje Teatroteki prezentowane były na tegorocznym Festiwalu Filmowym w Gdyni. Widzowie Teatru Zagłębia podczas comiesięcznych seansów zobaczą osiem spektakli, czyli wszystkie dotychczasowe realizacje powstałe w ramach Teatroteki. Będą to: *Walentyna* Julii Kijowskiej i Wojciecha Farugi w reż. W. Farugi, *Walizka* Małgorzaty Sikorskiej-Miszczuk w reż. Wawrzyńca Kostrzewskiego; *Nad* Mariusza Bielińskiego (scenariusz i reżyseria); *Cukier Stanik* Zyty Rudzkiej w reż. Agaty Puszcz, *Trash story* Magdy Fertacz w reż. Marty Miłoszewskiej; *Koronacja* Marka Modzelewskiego w reż. Sebastiana Chondrokostasa; *Chłopiec malowany* Piotra Rowickiego w reż. Piotra Ratajczaka i *Miss HIV* Macieja Kowalewskiego w reż. Krzysztofa Czezczoła. Start Teatroteki w Teatrze Zagłębia już 4 marca.

## Halny w Będzinie

W lutym w Pałacu Mieroszewskich w Będzinie gościły prace znanego zakopiańskiego rzeźbiarza Czesława Jałowickiego. Zakopiańskiego z wyboru, ponieważ artysta jest rodowitym Górnolazakiem, którego zauroczyły Tatry, kiedy uczył się w słynnej „Kenarówce” (Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Zakopanem). Tytuł wystawy „Halny w Będzinie” nawiązuje do cyklu rzeźb, obrazujących więcej jak dolinom zakopiański wiatr halny. Dlaczego ta porywista bryza przybrała postać kobiety w rzeźbach Jałowickiego? Ponieważ – jak mówił podczas wernisażu artysta – podobnie jak kobieta, halny jest wspaniały, dziki, nieujarzmiony a jednocześnie potrafi być anielski i łagodny jak baranek. Drugą część wystawy artysta poświęcił świętemu Janowi Pawłowi II.

Czesław Jałowicki jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Poznaniu, gdzie studiował na Wydziale Malarstwa, Grafiki i Rzeźby, ze specjalizacją rzeźby. W młodzieńczych pracach artysty widać wpływ starszych kolegów z „Kenarówki”, zwłaszcza Władysława Hasióra. W 1964 r. Czesław Jałowicki powrócił do Zakopanego. Obecnie pracuje jako inżynier ceramiki w Bukowińskim Centrum Kultury – „Dom Ludowy”, posiada w swoim dorobku 14 wystaw indywidualnych i 42 wystawy zbiorowe w kraju i za granicą.

## Jednym zdaniem

■ Z okazji 57. urodzin Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej w lutym w pałacowej galerii sztuki gościła wystawa prac prezentujących obrazy olejne Jerzego Dudy-Gracza (od lat 70.) oraz część prac inspirowanych muzyką Chopina.  
■ W Sosnowieckiej Galerii Extravagance gościła wystawa prac Piotra Kossakowskiego „Dekonstrukcja zdarzeń”.  
■ 9 lutego w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu wystąpił z recitalem fortepianowym Szymon Kowalski.

■ 13 lutego w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej w programie „Trzech tenorów. I ona” koncertowali Agata Widera, Piotr Nikiel, Patrycy Hauke i Damian Chrościński, artystom towarzyszył zespół muzyczny Maes-Trio.  
■ 14 lutego w sali koncertowej ZSM w Sosnowcu odbył się koncert walentynkowy w wykonaniu Kubę Badacha, który wystąpił z zespołem oraz Śląską Orkiestrą Kameralną.  
■ 16 lutego w Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu bawił publiczność Kabaret Umowny.

## Czy Zaolzie doczeka się swojego muzeum?

Polacy mieszkający w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego, zwanej od czasów międzywojennych Zaolziem, coraz mniej wiedzą o historii swojej małej ojczyzny. Jeszcze mniej wiedzą o naszym skrawku ziemi mieszkańcy prawobrzeżnej części regionu, nie mówiąc już o rodakach z głębi Polski. Zdaniem dyrektora Książnicy Cieszyńskiej, Krzysztofa Szelonga, sytuację tę mogłoby naprawić utworzenie Muzeum Zaolzia i pomysł ten przedstawił publicznie w grudniu ur. podczas promocji książki Jarosława Jot-Drużyckiego „Hospicjum Zaolzie”. – Od wielu lat rozważa się w Polsce pomysł stworzenia Muzeum Kresów. Miałoby powstać we Wrocławiu, gdzie potomków Kresowiaków do dziś żyje najwięcej. Muzeum takie jednak na pewno prezentowałoby głównie Kresy Wschodnie. Natomiast tymi południowymi, Zaolziem, nie zajmuje się w Polsce nikt. Powinni się więc tym zająć Cieszyńczycy – wyjaśnia.

Szelong nie postuluje jednak powołania kolejnej instytucji utrzymywanej z pieniędzy lokalnych lub regionalnych. – Chodzi mi raczej o połączenie sił instytucji już zajmujących się historią Śląska Cieszyńskiego: Książnicy, Muzeum Śląska Cieszyńskiego, Muzeum 4. Pułku Strzelców Podhalańskich lub Macierzy Ziemi Cieszyńskiej. Na początek mogłaby to być jakaś Izba, w której dostępna by była stała ekspozycja dotycząca Zaolzia, żyjących tam Polaków i organizacji, szkolnictwa, zespołów... Ta placówka mogłaby też w sposób zinstytucjonalizowany zajmować się inspirowaniem i organizowaniem projektów dokumentacyjnych dotyczących regionu i jego historii – dodaje.

Pomysłodawca uważa, że muzeum powinno powstać przy współpracy z Polakami z Zaolzia, ale miało mieć siedzibę w polskiej części regionu. Jego mieszkańcy bowiem często w ogóle nie wiedzą o tym, że za Olzą nadal mieszkają ich rodacy, a nawet prominentni działacze społeczni z polskiej strony rzeki często o działaczach Kongresu Polaków lub Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego wyrażają się jako o... Czechach.

Szelong nie ukrywa, że jego pomysł ma pewne znamiona prowokacji. – Oburzy się sporo zaolziańskich działaczy, mówiąc: my jeszcze istniejemy, jeszcze mamy chóry, zespoły, posyłamy dzieci i wnuki do polskiej szkoły. Ale powiedzmy sobie szczerze: spisy ludności ujawniają, że co dziesięć lat znika 10 tys. Polaków. Do polskości przyczyną się coraz mniej młodych ludzi. Jak będzie za kolejne dziesięć, dwadzieścia lat? – zastanawia się dyrektor Książnicy. Dodaje, że wysoko ocenia wysiłki Kongresu Polaków lub PZKO, którym udało się zgromadzić imponujące zbiory dotyczące historii regionu. Pochodzące z nich materiały rzadko są jednak prezentowane, można je obejrzeć najwyżej na okazjonalnych wystawach. Można by natomiast wykorzystać przy tworzeniu nowej placówki muzealnej. – Odwiedzaliby ją na pewno mieszkańcy z obu brzegów Olzy, ale trzeba by było zachęcać do tego także wszystkich turystów przyjeżdżających do Cieszyna. Zaolzie i Polacy tam mieszkający to temat, który trzeba po prostu znać – dodaje.

JACEK SIKORA

# ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

## Zmarł aktor Ryszard Malinowski

Teatr Cieszyński, a zwłaszcza Scenę Polską, zamruciała w sobotę 21 lutego wiadomość o śmierci Ryszarda Malinowskiego. Pochodzący z Wrocławia aktor pracował w Scenie Polskiej niespełna 20 lat. Zmarł nagle w wieku 65 lat.

Do zespołu Sceny Polskiej przybył w 1997 r. z Teatru Dramatycznego im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu. We wspomnieniach najczęściej jednak wracał do czasu spędzonego w Teatrze Kalambrur we Wrocławiu. – W Kalambrurze przeżyłem wspaniałych 14 lat. Nauczyłem się też troszeczkę innego teatru, też poetyckiego, ale przy tym rozśpiewanego, rozkrzyczanego i, co ważne, organizującego światowe festiwale teatru otwartego Bogusława Litwińca. To był teatr prapremiery, grałiśmy nigdzie niewystawiane dzieła Dario Fo, późniejszego noblisty, lub Wiesława Myśliwskiego, wielokrotnie później nagradzanego pisarza polskiego – wspomina.

W ciągu prawie 20 lat w Scenie Polskiej zagrał w ponad 70 spektaklach, w komediach, dramatach, spektaklach muzycznych. Lubił komedie, a widownie lubili go w rolach zabawnych, zagubionych facetów, takich jak Bernard w „Perle” Camolettiego, Paweł w „Czarującym lajdarku”, czy Orgon w „Świętoszku” (za tę rolę otrzymał nagrodę podczas 3. Festiwalu Teatrów Moraw i Śląska). Z ról dramatycznych to przede wszystkim Stary Adam w „Moście nad Łucyną”, Ojciec Tempes w „Ondraszku”, Rieger w „Odejsiach” V. Havla, Poncjusz Pilat w „Mistrzu i Małgorzacie” czy też jego ostatnia duża rola – Pan Balboa w „Drzewa umierają stojąc”. Jego charakterystyczny, ciepły głos nadawał szczególnie znaczenia śpiewanym przez niego piosenkom w spektaklach muzycznych („Słodkie rodzyнки, gorzkie migdały”, „W Paryżu żyje się jak... na prowincji”, a przede wszystkim jego ulubione, „Tęśńskie niebo – Cieszyńskie nebe”).

## Język polski w praktyce

O tym, czy mniejszość polska w Republice Czeskiej może używać języka polskiego w takim zakresie, jak przewiduje to Europejska Karta Języków Regionalnych lub Mniejszościowych, przyjechała się przekonać 25 lutego do Czeskiego Cieszyna komisja Rady Europy w Strasburgu, monitorująca stosowanie Karty w RC. W siedzibie Kongresu Polaków na pytania członków komisji odpowiadał przedstawiciel wydawców polskich mediów, organizacji pol-

skich, ugrupowań politycznych oraz szefowie gminnych komitetów ds. mniejszości narodowych.

Europejska Karta Języków Regionalnych lub Mniejszościowych obowiązuje w RC od 2007 roku i dotyczy ochrony języka polskiego w takich dziedzinach, jak szkolnictwo, władze sądownicze, władze administracyjne i służby publiczne, media, działalność kulturalna i obiekty kultury, życie gospodarcze i społeczne oraz wymiana transgraniczna. Wraz z przyjęciem karty językowej RC zobowiązała się umożliwić Radzie Europy przeprowadzanie okresowych monitoringu dotyczących realizacji karty. Za trzy lata komisja ponownie zawita na Zaolzie.

– System naszych pytań wynika z ustaleń Europejskiej Karty Języków Regionalnych lub Mniejszościowych. Pytamy o to, jakie zastosowanie ma karta w praktyce. Nie zadajemy za każdym razem tych samych pytań, ale interesuje nas, jak sytuacja zmieniła się od ostatniego monitoringu. Na podstawie raportu RC, który obejmuje ostatnie trzy lata, skupiamy się na tym, co zmieniło się na lepsze, a co na gorsze – powiedziała Mahulena Hofmannová, członkini komisji. Dodaje, że tym razem pytania dotyczyły głównie składu gminnych komitetów ds. mniejszości narodowych, na co już wcześniej zwracali uwagę przedstawiciele polskiej mniejszości, dwujęzycznego nazewnictwa oraz nowych mediów.

## „Posiady” w ostatkowym klimacie

Stare powiedzenie mówi: „Jak Ostatki, to Ostatki, niech się trzęsą babskie zadki”. I rzeczywiście dawniej zamężne kobiety przez trzy dni szalały w karczmach – mówiła w ostatnią sobotę stycznia w Domu PZKO w Mostach koło Jabłonkowa Małgorzata Kiereś, kierownik Muzeum Beskidzkiego w Wiśle podczas ostatnich „górolskich posiadów” organizowanych przez mosteckich PZKO-wców.

Tym razem ich tematem przewodnim były Ostatki, czyli trzy dni będące finałem mięsopustnej biesiady. Małgorzata Kiereś wygłosiła prelekcję na ten temat. Ostatkowe zabawy, tańce i zwyczajne zaprezentowały zaś Zespół „Oldrzychowice” z Oldrzychowic oraz Zespół „Istebna” z Istebnej. Podczas wieczoru zebrani dowiedzieli się m.in. na czym polegało słynne ciągnięcie kłoca. – Dawniej ostatkowa zabawa była czasem publicznego osądu i karamia niezamężnych kobiet. Babom, które nie chciały się wydać, po prostu przywiązywano do nogi drewniany kłoc i gnało się je na pierwszy lepszy grój. Po takiej próbie baba od razu brała se chłopca – żartowała Małgorzata Kiereś, dodając, że przez trzy ostatnie dni mięsopustu w karczmach rzeczywiście dominowały kobiety. Stoły wypełniały zaś ostatnie tłuste posiłki ze słynną szańską głową na czele.

Sobotnie „górolskie posiady” zostały zorganizowane w ramach projektu „Żywe lekcje tradycji – zachowanie wspólnego dziedzictwa kulturowego górali śląskich na pograniczu polsko-czeskim”. Były ostatnimi, jakie mosteckie PZKO-wcy przygotowali wspólnie z powiatem cieszyńskim. Łącznie w tym i ubiegłym roku odbyło się 15 takich spotkań, 9 w Muzeum Beskidzkiem w Wiśle i 6 w Domu mosteckiego Koła PZKO.

## Jednym zdaniem

■ W Konsulacie Generalnym RP w Ostrawie odbyło się spotkanie ministra Jana Stanisława Ciechanowskiego, szefa Urzędu do Spraw Komendantów i Osób Represjonowanych RP z przedstawicielami Koła Polskich Komendantów oraz Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska”. Rozmowy dotyczyły przygotowań zaolziańskich obchodów 70-lecia zakończenia II wojny światowej oraz 75. rocznicy Zbrodni Katyńskiej.

■ 19 lutego pod dachem Biblioteki Publicznej w Wiśle zebrało się ponad 20 osób, by przez dwie godziny rozmawiać o wspólnym Zaolziu. Gości spotkania zatytułowanego Wieczorek Zaolziański byli dziennikarz Jarosław Jot-Drużycki z Warszawy oraz poeta Marek Słowiaczek z Boconowic, którzy w grudniu wydali swe pierwsze „zaolziańskie” książki.

■ Budynek dworca kolejowego w Hawierzowie nie zostanie wpisany na listę zabytków. Taką decyzję podjął w lutym minister kultury, Daniel Herman.

■ Wypożyczalnia kostiumów Zarządu Głównego PZKO kończy swoją działalność. Powodem jest utrzymująca się od kilku lat strata finansowa. – Wiemy, że kostiumaria jest potrzebna, niemniej nie jesteśmy w stanie jej dalej prowadzić. To przykra decyzja, nie możemy jednak uciekać od rzeczywistości – wyjaśnia prezes ZG PZKO, Jan Rytko.

■ Macierz Szkolna w RC obchodzi w tym roku trzy jubileusze: 25. rocznicę reaktywacji, 130-lecie powstania Macierzy Szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego oraz 95. rocznicę powołania Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji po podziale Śląska Cieszyńskiego. Organizacja uczy jubileusz wystawą i imprezami poszczególnych Kół Macierzy.

■ Dwadzieścia trzy archiwalne „Kalendarze Śląskie” z lat 1966-2007, wydawane przez PZKO są dostępne w internecie na stronie Śląskiej Biblioteki Cyfrowej, a zgodnie z zapowiedziami wkrótce mają się tam pojawić kolejne tomy.

■ Symbolicznie – w Walentynki – na ślubnym kobiercu stanęli 14 lutego pochodzący z Zaolzia artyści: Halina Mlynkova i Leszek Wronka. Ślub znanej piosenkarki i producenta odbył się w Pradze. Wśród weselnych gości nie zabrakło m.in. kolejnej Zaolziańki, Ewy Farnej, oraz czeskich legend muzyki pop – Helyny Vondráčkovéj i Karla Gotta.

■ We wtorek 17 lutego w Galerii Josefa Mánesa w Miejskim Domu Kultury odbył się wernisaż „Karwina w moim sercu”. Podziwiano zwłaszcza prace (krajobrazy i bukiety kwiatów) Rudolfa Zebroka, które zdominowały prezentację. Spore zainteresowanie budziły prace Franciszka Świdra, Otokara Barana, Oldřicha Bijoka czy Tadeusza Wrątnego.

Józek Michalski – nasz Prowansalski grafik takie mi zadał pytanie: Jak się je ortolany, gatunek przelotnego trznadla?

Pierwsze skojarzenia były dalekie od ptaka.

Więc Józek dodał: Waży – 25 gramów. Cena skupu dochodzi dziś do 150 € za sztukę. W wielu regionach już kompletnie wyginął. Polowanie jest ściągane, grozi wieszanie i 15000 € grzywny. Wciąż są jednak łapane i po złapaniu tuczone w niewielkim pudełku z dwoma otworami. Z jednej strony pojemnik z prosem a za drugiej poidło. Po trzech tygodniach tuczonia jest topiony w armianiaku, kuzynie koniaku. Dla wzmocnienia zapachów, podczas jedzenia pod serwetą stawia się duży kielich z czerwonym winem. Od czasów starożytnych zawsze był wykwintnym, królewskim daniem.

Do maila załączył mi filmik w którym – Pani z silnym akcentem południowym, mówi:

„Teraz zacznę jeść mojego trznadla, jest oczywiście gorący, ... teraz robię coś co nie powinnam robić bo nie jest to zbyt przystojne, zaczynam od ssania jego kupra... o święta matko, jakie to wspaniale!”

Wielokrotny minister, dziś kandydat na prezydenta (Pochodzi z Bordeaux, w regionie w którym łapie się najczęściej ortolanów.) opowiada – „... żeby go jeść, starym rytuałem, zakładamy serwetę i wchłaniamy trznadla pod serwetą, pozwala to nic nie uронić z zapachu przeżuwaną trznadla.



Były minister kultury za Mitterranda:

Przeżywamy to, wszystkie soki zawarte w kościach, mięsie, krwi... To jest rozkosznie smakowite...

Wedle zaskazanego zdania, po zjedzeniu ptaszka, tj. długim przeżuciu, pozostaje w palcach tylko dziobek. Ciekawe, choć zastanawiam się czy naprawdę trzeba mordować tak małe stworzenia. Jest w tym coś z nieprzystojności, duży człowiek zjada takie maleństwa, jak mrówkojad to małe mróweczki czy też wieloryb krył morski. Ale hop, z dzieciństwa pamiętam jak i ja wybierałem szpaki a Ciocia mi je smażyła w maśle... nieco później z bratem czyniliśmy to samo z wróbelkami w czasie kiedy byliśmy sami, bo Mama pracowała, że jeszcze wspomnę 5 cm rybki w rowie pod domem, oblepiane gliną i wrzucane do ogniska dla usmażenia.

Chude powojenne lata... a dzisiaj Ortolany, co brzmi podobnie jak owe płaszcze modne w latach pięćdziesiątych. A wiec jesteście niedoszłym ortolanojadem stwierdził Józek. Opowiedz no mi trochę więcej jak te szpaki i insza drobnica Ci smakowała? O smaku szpaka niewiele potrafię powiedzieć jako że był to okres powojenny biedny w ingrediencji dodawane do gotowania, a także dlatego, że nie miałem jeszcze wykształconych czubków smakowych, co nastąpiło dopiero po maturze. Łatwiej byłoby mi opowiedzieć jak smakują ślimaki po polsku.

Byliśmy z Sajdakiem nad morzem, w Mielenku, było tam wiele ślimaków, ktoś z nas podał myśl by je jeść. Zanim wpadliśmy na to jak je przyrządzić wzięliśmy wiadra i poszliśmy je zbierać. Jurek przjął kierownictwo kulinarne, zaczął od tego, że należy je ugotować w ziołach i czosnku. Ktoś podał pomysł żeby się „od pienuły” przez dodanie do wiadra soli. Tak zrobiliśmy i piana rosła w oczach. Nie mogąc na to patrzeć udałem się na długi spacer. Kiedy wróciłem pod wieczór, ślimaki wciąż jeszcze się gotowały – Zapomniałem zgasić kuchenkę – powiedział Jurek, potem zaczęliśmy ucztę. Ślimaki się skurczyły i przypominały z wyglądu suszone grzyby.

Próbowałem w jednym zatopić zęby, bezskutecznie, miały bowiem konsystencję gumy opon sa-

mochodowych. Przelknąłem by Jurkowi nie było przykro. Poprzestałem na tym jednym i na stwierdzeniu, że smakowały podobnie jak żółdki drobiowe, jeno trochę gorzej.

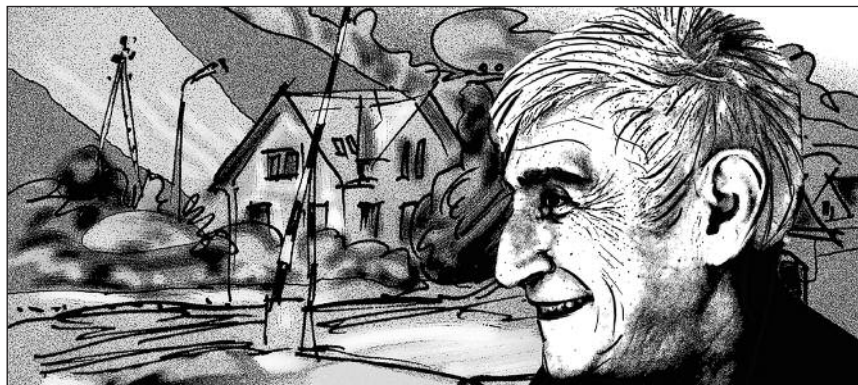
Długo jeszcze potem przy ognisku dyskutowaliśmy nad wyższością tradycji nad eksperymentem kulinarnym jak przystało – czerwonym winem.

Wracając do ortolana, zakazano polować na niego we Francji, dopiero pod koniec XX wieku, ściśle mówiąc w grudniu 1999 roku. W 2013 Unia Europejska przypomniała Francji o przestrzeganiu tego zakazu.

Jerzy Pitera artysta grafik, mieszkał już na ulicy Słowackiego, nim i ja miałem na niej swój adres.

Odwiedzał mnie wielokrotnie, najpierw dla pobycia z sobą, później także dla wydebieniania kawalka lino-leum, którego miałem mały zapas.

Jurek zajmował się także scenografią, był członkiem Telewizji ale i telewizora, lubił patrzeć co się na szkle dzieje. Uczył także w Liceum przy pla-



# Anekdoty

HENRYK BZDOK

cu Wolności. Kiedyś idąc ulicą Słowackiego, zwróciłem uwagę na grupę chichoczącej młodzieży na drugiej stronie ulicy, w środku której stał „profesor” Jurek Pitera, który wskazywał mnie palcem i mówił: Popatrzcie, ten Pan w berecie to wybitny artysta... Nie było to nic nadzwyczajnego jako że przy każdym nawet przelotnym spotkaniu, zwykliśmy sobie prawić dziwne komplementy przeplatane dozą zabawnych i żartobliwych złośliwości. W swych ostatnich latach przesiadywał w „ogródku piwnym” pod teatrem Wyspiańskiego, tam spotkałem się z nim po wyprowadzce z centrum. Był z nim i Otek Morawski fotografik prasowy, powiedział, że udaje się do szpitala i zapraszał by go w nim odwiedzić... wiem, że nie przyjdiesz rzekł do mnie bo Ty nie lubisz martwych natur.

Nie odwiedziłem, później zapraszał ponownie do domu – zrobię coś dobrego, musisz tylko kupić odpowiednie artykuły”. Nie zaszły...

A Jurek zorganizował Plener Malarsko-Wędkarski w Strzyżowie nad Wisłokiem. Z naszych był jeszcze Acio Starczewski i Fumio Kujawa, reszta dojechała z Warszawy i Krakowa.

Zalegaliśmy w budynku którego okna wychodziły na plac z „ruskim targiem”. Ech czego to tam kupić nie było można... Starczewski miał szczególnie dar wynajdowania wiele przydatnych ruskich osiągnięć techniki, ot na przykład uchwyt z pasami tak długimi, że można by nimi opasać i przenosić rakietę SS-20, albo czemodan „piersiówka” z zakrętką wykonany z szlachetnego nierdzewnego srebrzystego metalu do przenoszenia jako i do podręcznego posiadania zapasu wódki o pojemności 5,33 litra. Nabył także noktowizor, musiałem chodzić nocą w chaszczach nad Wisłokiem, a Artur wołał „widzę cię”...

No to małowaliśmy. Ci co chcieli wędkować po pierwszym spojrzeniu na jej nurt, machali ręką przed nosem i odchodzili. Tam wyrosły Jurek Pitera, miał w pamięci rybną rzekę i jak powiedział „patrząc z mostu taaaakie ryby się widziało”. Może i tak było, choć co starsi strzyżowianie jakoś nie pomną by tam kiedykolwiek coś pływało. Niestety, nie te czasy, nie ta rzeka i połowie nazwy pleneru groziło niespełnienie, w odróżnieniu od ryb – pejzaży natłapaliśmy wiele. Zbliżał się koniec pleneru a Jurek dwoił się i troił by urządzić kolację rybną.

Zaglądał nawet do okolicznych sklepów rybnych, ale tam tylko ryba morska a my od Bałtyku daleko, próbował nas do takowej przygotować wstawiając, że ryba morska często do rzek wchodzi. Kiedy jednak w sklepach natrafiał jedynie na śledzia, płastugę i morszczuka – zrezygnował.

A jednak w ostatnim dniu na stół wniesiono karpia duszonego w jabłkach (i to po sztuce na każdego uczestnika), rybę osobiście spreparował Stefan Kujawa też uczestnik pleneru. Okazało się, że Jurek jednak złapał, tyle że nie karpia a burmistrza Chowańca, przemówił doń tak, że ten honorem gospodarza uniesiony osobiście wiadro karpia wieczorem z pobliskich gminnych stawów hodowlanych przystaszczyl. Pełna nazwa pleneru została uratowana.

Bywał z nami przy stole pan Pitera Senior, miły, elegancki ze swadą opowiadający swoje wspomnienia z podkarpackiej młodości. Był taki wieczór, w którym po kolacji nic nie pojawiło się na stole, siedzieliśmy cicho w świetlicy wpatrzni a daleki telewizor gdy odezwał się do mnie pan Władysław: Przeczyszam, czy dzisiaj już nic nie będzie?

Zrobiło się cicho, popatrzeliśmy po sobie, a Senior Pitera ciągnął dalej – Ja nie mam już wiele czasu, czy byłby Pan uprzejmy pójść do mego pokoju i przynieść butelczynę co stoi za tapczanem....

# Franz Josef I, Miłosz i...

JAROSŁAW STARZYK

– Jedziemy do miasta – oznajmił mój sąsiad-biznesmen, kiedy otwarłem drzwi.

– Po co? – chciałem zapytać, ale nagle zafrapowała mnie myśl, że tu wszyscy mówimy „jedziemy do miasta”, niektórzy nawet „jedziemy do Katowic”, choć mieszkamy w mieście, w dodatku w Katowicach. Tymczasem wielu katowiczian mieszka na Brynowie, na Koszutce, na Tysiącleciu albo w Załężu, w Szopienicach, w Zarzeczu... Dlaczego? Doszedłem do wniosku, że szybko tego nie rozstrzygnę, dałem się więc potulnie doprowadzić do samochodu.

– A profesor z nami nie jedzie? – zapytałem.

– Piszę – skrzywił się nasz osiedlowy przedstawiciel klasy średniej. – Artykuł.

Ruszyliśmy. Biznesmen wyjął z kieszeni marchew (żona go odchudza) i zaczął chrupać.

– Boże, jak ja tego nienawidzę! – wykrzyknął po chwili.

– Marchewki?

– Też. Ale chodzi o kupowanie ciuchów. Żona kazała mi kupić kurtkę albo sportową marynarkę, bo na tę szmatę już patrzeć nie może.

Przyjrzałem się i kurtka sąsiada wydała mi się jeszcze całkiem dobra.

– To my jedziemy do miasta kupować panu kurtkę? Czemu nie zabrał pan małżonki?

– Ona ma torbę wielką jak przyczepa campingowa i nie rozumie, że chłop musi mieć w kurtce dużo kieszeni. I ona lubi kolory, których ja nie lubię. I ona robi zakupy najmniej trzy godziny. Pan mi szybko doradzisz, raz-dwa, i dopilnujesz tylko, żebym nie wyglądał jak pajac. A ja za to z panem pójdę do księgarni.

To mnie ucieszyło, zapytałem więc dla podtrzymania rozmowy:

– A jaką pan kurtkę chce nabyć?

– Najlepiej taką samą. A jeszcze lepiej dwie, żebym za trzy lata znowu nie musiał łazić po sklepach.

– Nie lubi pan. Ale to znaczy, że jest pan w elitarnym, ekskluzywnym towarzystwie.

– ?

– No tak. Agnieszka Kosińska, sekretarka Czesława Miłosza wspominała, że nasz noblista nie znosił chodzenia po sklepach, więc kiedy trzeba mu było kupić jakiś ciuch, ona wypożyczała, dajmy na to, kurtkę z jakiegoś butiku, a on ją przymierzał sobie w domu. Jak pasowała – świetnie. A jak mu się nie spodobała, wypożyczała następną.

– To był mądry chłop, choć wiersze pisał dla „Solidarności”. Którego skrzywdziłeś i tam dalej...

– Czytałem też pamiętniki kamerdynera cesarza Franciszka Józefa I, który pisał, że najjaśniejszy pan nosił się bardzo skromnie. Doszło nawet do tego, że służba zrozpaczona stanem jego myśliwskiego munduru (był podniszczony i znoszony do cna) poprosiła przyjaciółkę...

– Miał przyjaciółkę – mrugnął biznesmen.

– Kamerdyner zaklina się w swoich pamiętnikach, że to była bardzo czysta przyjaźń, która zresztą narodziła się już po śmierci żony władcy Sisi. Ta pani była znaną aktorką, nazwisko wyleciało mi teraz z głowy... W każdym razie delegacja służby zwróciła się do niej, aby namówiła cesarza na sprawienie sobie nowego munduru myśliwskiego (bo on w mundurach chodził).

– I to jest to! – zawołał nagle sąsiad. – Pojedziemy do military shopu. Oni mają kurtki z kieszeniami. Wiedziałem, że pan jesteś człowiek na poziomie.

Więc pojechaliśmy. Po przymierzeniu trzech bardzo militarnych okryć osiedlowy biznesmen zdecydował się na jedną, która najmniej go raziła nowością. A potem udaliśmy się do księgarni, w której ja z kolei nic nie kupiłem.

Redakcja miesięcznika „Śląsk” wkraczając w 20. rok istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



## Małgorzata Lazarek

Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydziału Grafiki w Katowicach Dyplom w roku 1987 w Pracowni Malarstwa prof. Jacka Rykały oraz w Pracowni Projektowania Graficznego prof. Tomasza Jury. Za pracę dyplomową uzyskała ocenę bardzo dobrą, a Akademia przyznała jej również medal za całokształt.

W latach 1986-1987 pracowała jako nauczycielka rysunku i malarstwa w Państwowym Liceum Plastycznym w Dąbrowie Górniczej, a następnie jako grafik w katowickim oddziale „Super Expressu”. Od 1997 do 2003 roku była komisarzem Międzynarodowego Pleneru Malarstwa „Jurajskie pejzaże”. Uprawia malarstwo, rysunek, ilustracje i rysunek satyryczny. Rysunki publikowała na łamach wielu tytułów prasowych, m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Gościu Niedzielnym”, „Super Expresie”, „Twoim Stylu” i „Newsweek’u”. W 1999 roku otrzymała Złoty Medal na Międzynarodowej Wystawie Rysunku Satyrycznego „Satyrykon” w Legnicy. Od tego momentu otrzymała tam 13 nagród i wyróżnień. W roku 2013 została laureatką Grand Prix „Satyrykonu”.

W roku 2008 otrzymała 3. nagrodę w konkursie na ilustracje do wierszy Zbigniewa Herberta „Tarnowskie Klimaty” (Tamów, 2008). W roku 2008 zdobyła Grand Prix w konkursie „Praca Roku” organizowanym przez Okręg Katowicki ZPAP.

Prace malarskie i satyryczne prezentuje na wielu wystawach w kraju i za granicą. Przez siedem lat współpracowała z francuską galerią sztuki w Bordeaux, gdzie prezentowała prace malarskie podczas wystaw indywidualnych i zbiorowych.



Małgorzata Lazarek, *Najpierw zdechł kanarek*, olej, płótno

# muzeum prasy śląskiej

Od 30 lat prezentujemy dawną prasę śląską i maszyny drukarskie. Samodzielne drukowanie, warsztaty drukarskie i dziennikarskie.

Pszczyna, Piastowska 26. tel: 32 2101627. [www.muzeumprasy.pl](http://www.muzeumprasy.pl)



Sposob doświadczony na sparzenie.

**K**miotka pewna uwarzywszy bryję, postawiła ją w mufie na ziemię. Wyszedeży z kucini nadezło małej dziecie, a wpadłszy nagie do bryi, strasznie się sparzyło.

Na krzyk matki przybiegła sąsiada a tę iey poradę dała: aby na tych miał w Kurniku świętego miękiego kurzyca, [gnoiu kurzego] nabrała, a w niesolonym maście smażyła, ale wszystkiemu icno raz wyrzuciła, potem wszystko przez chustę linaą przeciągnęwszy, tą maścią sparzelina pomazała.

